



***Linda Style***



***Sprawa Sary  
Jane***

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mężczyzna, który zamordował Morgan, stał po drugiej stronie drogi, niespełna trzydzieści kroków od niej.

Odwróć się, draniu.

Whitney Sheffield, ukryta za słupkiem podpierającym starą estradę dla orkiestry, uniosła aparat fotograficzny do oka i wypstrykała za jednym zamachem pół tuzina klatek. Zrobiła większe zbliżenie, wyregulowała ostrość. W ustach i w gardle miała sucho.

Diabeł wcielony.

Ze ściśniętym ze strachu i wzburzenia sercem obserwowała przez wizjer Rhysa Gannona przechadzającego się jak paw wśród bandy oberwańców na motocyklach. Byli poubierani w skóry i brudne wyświechtane dżinsy, obwieszani łańcuszkami, u których dyndały klucze. Kilku miało głowy obwiązane bandanami albo skórzane czapki naciśnięte na długie, skołtunione włosy.

Rozejrzała się. Gdyby znalazła jakieś miejsce, z którego lepiej by było widać, to może...

Dostrzegła prześwit między grubymi sosnowymi belkami i spojrzała przez wizjer na wąską, górską uliczkę. Potem przesunęła obiektyw na motocykle stojące rzędem przed frontem sklepu jakby żywcem przeniesionego z Dzikiego Zachodu. Przywodziły na myśl żelazne konie uwiązane do żerdzi.

Część motocyklistów siedziała okrakiem na niskich siodełkach albo stała oparta o swe maszyny, inni zachowywali się jak rozwydrzona banda

wyrostków; poszturchiwali się, rozdzielali między siebie kuksańce, pohukiwali i darli się tak głośno, że słycać ich było chyba w Phoenix.

No no... Spójrż w tę stronę...

Wstrzymując oddech, zrobiła jeszcze kilka zdjęć. Niedobrze. Nie odwracał się, a bliżej nie mogła podejść, boby ją zauważyli.

Przyglądała się Gannonowi przez teleobiektyw, jak przechodzi od jednego obdartusa do drugiego, i pomimo nienawiści, jaką czuła do tego człowieka, musiała w głębi duszy przyznać, że jest przystojny. W pewnej chwili zatrzymał się.

O, właśnie! Daj im wreszcie te prochy... i odwróć się, do cholery!

Potrzebowała dowodu. Choć dłonie trzęsły się jej jak w febrze, a serce omal nie wyskoczyło z piersi, postanowiła, że nie odejdzie stąd, dopóki go nie zdobędzie.

Jeden z oberwańców pokazał palcem w jej kierunku. Boże! Schowała się błyskawicznie za słupek i mocno zacisnęła powieki. Czyżby ją zobaczyli? Czyżby przyjeżdżając tutaj, popełniła największy w życiu błąd?

Ale nie miała przecież wyboru. Znalazła w końcu Rhysa Gannona, a nie trzeba było Sherlocka Holmesa, by wydedukować, że ten człowiek w każdej chwili może znowu przepaść jak kamień w wodę. Liczył się czas.

Tak więc, niewiele myśląc, zaangażowała się w coś stojącego w zupełnej sprzeczności z jej uregulowanym trybem życia - i teraz nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek tak się bała.

Odczekała chwilę, a potem wzięła głęboki oddech i ostrożnie wyjrzała zza słupka. Stwierdziwszy, że motocykliści nie patrzą już w jej stronę, odetchnęła z ulgą i powolnym ruchem uniosła aparat do oka.

Gannon nadal stał plecami do niej. Wyglądał dokładnie tak, jak go opisywała Morgan. Kruczoczarne włosy podwijające się na kołnierzu, czarna skórzana kurtka, buty z cholewami i obcisłe dżinsy - krótko mówiąc, typ spod ciemnej gwiazdy. Whitney znalazła go w tej zabitej dechami dziurze po trzech miesiącach poszukiwań.

Były to dla niej trzy trudne miesiące pełne żałoby i rozpaczki po śmierci Morgan. Rozpaczki i niepewności, czy kiedykolwiek uda jej się odnaleźć córeczkę siostry.

Tropiła uparcie tego łotra i w końcu go dopadła. Stał teraz trzydzieści kroków od niej wysoki, barczysty i promieniujący pewnością siebie charakterystyczną dla mężczyzn, którzy nie dadzą sobie w kaszę dmuchać.

Znowu ruszył w rundkę od motocyklisty do motocyklisty, przybijając z każdym piątkę. Jeden z oberwańców zapuścił silnik i podgazował go. Zaraz potem ryknął drugi silnik, i następny. Chłodne październikowe powietrze wypełniły dzikie pohukiwania. Spod tylnych kół trysnęły strugi żwiru i stalowa kawalkada ruszyła z kopyta, oddalając się w kłębach kurzu i spalin.

Myśląc, że Gannon odjedzie z nimi, Whitney chwyciła torbę i przygotowała się do podjęcia pościgu. Ale kiedy kurz opadł, okazało się, że Gannon został. Wsunął rękę do kieszeni kurtki i wyciągnął małą paczuszkę.

Whitney przeszedł dreszcz podniecenia. Teraz! Poderwała aparat do oka, ale zanim zdążyła nacisnąć spust migawki, Gannon schował paczuszkę z powrotem do kieszeni, wszedł po drewnianych schodkach i zniknął we wnętrzu sklepu.

Kurczę! Whitney spojrzała na zegarek, a potem na niebo. Piąta godzina, a już się ściemnia. I co teraz? Zacisnęła zęby, założyła ręce na piersi i wlepiała oczy w drzwi sklepu motocyklowego. Zaczeka, obojętne jak długo miałyby to potrwać.

A jeśli motocykliści wrócą? Wzdrygnęła się na tę myśl i zatarła zziębnięte dłonie.

Czekała, przeklinając człowieka, przez którego się tu znalazła. Rhys Gannon. To nazwisko jest prawdopodobnie tak samo fałszywe jak wszystko, co go otacza. Ale obojętne, jak się naprawdę nazywa, to on, w jej przekonaniu, jest odpowiedzialny za śmierć siostry.

Nie, nie zamordował jej w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale przyczynił się do jej śmierci. Wciągnął Morgan w narkotyki i zmuszał ją do prostytucji, żeby samemu mieć za co ćpać, a kiedy w końcu się zbuntowała i odeszła, porwał ich dziecko, by zmusić Morgan do powrotu.

Whitney zacisnęła pięści. Tak, jest winien, zupełnie jakby to on własnoręcznie wepchnął Morgan do gardła tę garść prochów.

Teraz za to zapłaci.

Whitney poczuła dławienie w gardle, do oczu napływały jej łzy. Zamrugowała. Żal mieszał się w niej z poczuciem winy. Nie było jej przy siostrze, kiedy ta jej potrzebowała, i nic już tego nie zmieni.

Walcząc z wyrzutami sumienia, wciągnęła w płuca haust powietrza. Za późno już, by pomóc Morgan - ale jeszcze nie za późno, by wypełnić jej ostatnią wolę.

Odnajdzie Sarę Jane, trzyletnią siostrzenicę, której nigdy nie widziała. Odnajdzie ją i wywalczy prawo do opieki, tak jak to obiecała Morgan. Nie zawiedzie siostry po raz drugi.

Przysiadła na zakurzonych drewnianych schodkach prowadzących na estradę, żeby wymienić obiektywy. Ale profanacja! - przemknęło jej przez myśl. Profesjonalny sprzęt, którym fotografowała sławnych i bogatych, wykorzystywany jest teraz do robienia zdjęć jakiemuś degeneratowi. W połowie tej czynności dostrzegła kątem oka jakiś ruch i podniosła wzrok. Na pustym drewnianym pomoście przed sklepem stał Gannon - nogi rozstawione, kciuki wetknięte w kieszenie dżinsów. Niczym szeryf lustrował wzrokiem ulicę od końca do końca.

I nagle spojrział prosto na nią.

Odskoczyła w tył i uderzając plecami o kant słupka, skrzywiła się z bólu. Wstrzymała oddech. Zauważył ją? Czy tylko patrzył w tym kierunku?

Instynkt kazał jej uciekać, ale rozsądek podpowiadał, że jeśli to zrobi, facet na pewno ją zauważy. Przeklinając zeszywniałe z zimna palce, próbowała założyć nowy obiektyw. Gdy w ciszę wdarł się ryk zapuszczanego silnika, aż podskoczyła.

Hałas, potęgowany odbitym od gór echem, przywodził na myśl eksplozje na polu bitwy. Przerażona Whitney zerknęła znowu tam, gdzie ostatnio widziała Gannona, i zobaczyła czarny, połyskujący chromem motocykl, który jechał w jej kierunku.

O Boże! Boże drogi!

Zmartwiała. Krew pulsowała jej w skroniach. Trzęsącymi się rękami wepchnęła "aparat pod żakiet. Wielki motocykl prowadzony przez motocyklistę w baniastym, przesłaniającym twarz kasku zatrzymał się obok niej, pomrukując basowo na jałowym biegu. Whitney, tłumiąc krzyk

strachu, zerwała się na równe nogi. Torba potoczyła się po trawie i znieruchomiała przy bucie mężczyzny.

- Pomóc w czymś? - zapytał motocyklista. Nie doczekawszy się odpowiedzi, podniósł z ziemi torbę i oddał ją Whitney.

Była bliska omdlenia, ale starała się nie dać tego po sobie poznać. Zresztą nie było powodu, żeby tak się denerwować. Nawet gdyby się domyślał, co ją tu sprowadza, to co mógłby jej zrobić w samym środku miasteczka?

Rozejrzała się ukradkowo po cichej, wyludnionej ulicy i kolejny dreszcz przerażenia przebiegł jej po plecach. Spokojnie. Spokojnie. Ścisnęła mocniej aparat i spróbowała skoncentrować się na celu, w jakim tu przyjechała.

Odnaleźć Sarę Jane.

Nie pomogło.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak zbita z pantałyku. Sięgając do umiejętności nabytych na próbach szkolnego teatrzyku, przywołała na usta najpromienniejszy ze swego repertuaru uśmiechów i wzięła od niego torbę.

- Nie... wiem - wybąkała.

W głowie miała kompletną pustkę. Odgarnęła pasmo włosów, które wiatr zdmuchnął jej na twarz, i wepchnęła je pod klamrę na karku.

- To pański motocykl? - spytała, wskazując ruchem głowy maszynę.

- Jakiś... eee... nietypowy.

Kask zasłaniał Gannonowi większą część twarzy i nie widziała jej wyrazu. Ale teraz uniósł przesłone i zobaczyła jego oczy. Miała nadzieję, że zmarszczki, jakie dostrzegła w ich kącikach, oznaczają uśmiech.

- Interesuje się pani motorami? - W jego schrypniętym barytonie pobrzmiwały nutki rozbawienia. A może sarkazmu?

Tak czy siak, nie ulegało wątpliwości, że jej plan - sfotografować go z ukrycia, jak sprzedaje narkotyki, a potem zaproponować jakąś sumę za zrzeczenie się praw rodzicielskich do Sary Jane - nadawał się już tylko do kosza.

- Czy może interesuje panią coś innego?

Takiej właśnie reakcji można się było spodziewać po człowieku jego pokroju. A jednak to pytanie ją ubodło. Za nic nie mogła znaleźć na nie odpowiedzi - a przynajmniej takiej, w której nie występowałoby określenie „obmierzły gnojek” albo „zapyziały śmieć”.

Spojrzenie ciemnych oczu Gannona zsunęło się na jej szyję, a potem wspięło ku ustom. Krew pulsowała jej w żyłach; czy to ze strachu, czy z gniewu, sama nie wiedziała.

Nagle ich spojrzenia się spotkały.

Oczy miał kobaltowoniebieskie i głębokie niczym ocean. Tak głębokie, że utonąła w nich kompletnie jak oniemiała idiotka.

Whitney, weź ty się w garść. Powiedzże coś! Zrób coś! Szybkim ruchem schowała aparat do torby i zasunęła suwak.

- Tak. Interesuję się motocyklami, w pewnym sensie - zełgała, klekąc na poczekaniu swoją historyjkę. - Jestem tu służbowo. - Z udawaną uwagą studiowała maszynę. - Fotografuję motocykle.

Pomimo panującego w powietrzu chłodu fala gorąca rozeszła się po całym jej ciele. Szerokim gestem ręki wskazała na motocykl.

- Fotografie. Do książki - uściśliła. Milczał.



Gorąco rozlało się po klatce piersiowej, podpełzło do szyi i pieło się dalej, ku policzkom. Zimne, badawcze oczy Gannona doprowadzały ją na skraj paniki. Czyżby przejrzał ją na wylot?

Odrzuciła od siebie tę myśl. Liczy się tylko Sara Jane.

- Tak... - Odchrząknęła i brnęła dalej: - To książka o motocyklach, a ja dopiero zaczynam robić do niej zdjęcia i niestety, jeszcze nie bardzo się orientuję w tym temacie. - Wzruszyła ramionami i wyciągnęła rękę. - Nazywam się Whitney Sheffield.

Uznała, że może bezpiecznie podać swoje prawdziwe nazwisko. Morgan po ucieczce z domu, a nie miała wówczas szesnastu lat, przestała go używać; dlatego właśnie Whitney, choć bardzo się starała, długo nie mogła wpaść na ślad siostry. A zresztą może kiedyś zapomnieć, że przedstawiła się teraz fałszywym nazwiskiem, i wszystko trafi szlag.

Gannon, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów, zaczął powoli ściągać z dłoni czarną skórzaną rękawiczkę. Usiłowała zachować spokój, lecz czuła, że się pod tym spojrzeniem coraz bardziej rozkleja.

Morgan dobrze scharakteryzowała Rhysa Gannona, ale mimo to Whitney nie była przygotowana na taką obcesową lustrację.

Wziął ją za rękę. Dłoń miał gorącą, uścisk silny. Zmieszana tym kontaktem, spuściła głowę i jej wzrok padł na wytarte granatowe dzinsy opięte na muskularnych udach, oparte o pomrukujący na jałowym biegu motocykl.

Boże, niemal czuła dziką, zwierzęcą siłę, która w tym mężczyźnie drzemała - tę seksualną agresywność, której nagłe stała się świadoma.

Co też jej przychodzi do głowy? Ani na chwilę nie wolno jej zapominać, że to człowiek pozbawiony sumienia. No, ale przecież

musiałyby być ślepa, żeby tego nie zauważyć. Dobry fotograf zawsze zwraca na takie rzeczy uwagę.

Odetchnęła głęboko rześkim, pachnącym sosną powietrzem, wyzwoliła dłoń z jego uścisku i zmusiła się do spojrzenia mu w oczy. Zobaczyła w nich żar i wyzwanie.

Ten człowiek wprost promieniował męskością. Choć widziała tylko jego oczy, rozumiała teraz dobrze, czym zauroczył Morgan. Jej młodsza siostra zawsze była wrażliwa na żywiołową, fizyczną stronę życia. A Rhys Gannon powinien mieć wypisane na piersi czerwoną odblaskową farbą, że jest niebezpieczny.

Ale to Morgan, nie ona, uznała tego osobnika za atrakcyjnego. Morgan zawsze była bardziej odważna... i bardziej łąsa na męskie wdzięki.

- Przejeżdżając przez Phoenix, usłyszałam, że powinnam zajrzeć do Estrade. Podobno był tu kiedyś Bruce Sprigsteen ze swoją motocyklową świtą - powiedziała, przypominając sobie swą sesję zdjęciową z piosenkarzem.

Gannon roześmiał się.

- Droga pani, dobrze pani trafiła, ale trochę się spóźniła.

- Jak to? Na co się spóźniłam?

- To był kiedyś bar dla motocyklistów. - Gannon wskazał na sklep, z którego przed chwilą wyszedł. - Teraz mieści się tam sklep z częściami zamiennymi.

- A ci motocykliści... ?

- Przejezdni.

Whitney ściągnęła brwi. Nie była teraz pewna co robić. Z jednej strony chciała ciągnąć go dalej za język w nadziei, że dowie się czegoś

bliższego o siostrzenicy, z drugiej miała ochotę uciekać, gdzie pieprz rośnie.

- No cóż... - mruknęła. - A pan mógłby mi coś opowiedzieć o swoim motocyklu... to znaczy, motorze? - Przymrużyła oczy i uważniej przyjrzała się maszynie.

Gannon zerknął na zegarek.

- Niestety - odparł, zawracając motocykl. - Jestem umówiony. Ale niech pani wpadnie do mnie jutro. - Urwał, a potem dodał. - Może do tego czasu wrócę. - Podkręcił gaz.

Akurat, wrócisz. Prędzej mi tu kaktus wyrośnie.

Cholera! Cholera i jeszcze raz cholera. Jeśli teraz odjedzie, to kto jej zaręczy, że jutro rzeczywiście wróci? I co ona będzie przez ten czas robiła? Spała w samochodzie? Nie zauważyła w tej miejscinie żadnego hotelu ani motelu.

Westchnęła sfrustrowana.

Przyleciała rano z Nowego Jorku, wypożyczyła samochód, jechała tu trzy godziny krętymi górskimi drogami, a potem czekała całe popołudnie, aż Gannon pojawi się w sklepie.

Niełatwo było go tu odnaleźć i gdyby nie imię „RHYS” na tablicy rejestracyjnej, pewnie do tej pory jeszcze by go szukała.

Boże, ależ była zmęczona. Cała obolała. Zrobiła w powietrzu zamach ramionami, żeby rozprostować zdrtwiiałe mięśnie barków.

- A gdzie mogłabym się tu zatrzymać? - spytała.

Gannon przyglądał jej się przez chwilę badawczo, a potem wyciągnął rękę.

- Proszę wsiadać! - zawołał, przekrzykując ryk silnika.

Zesztywniała, zarzuciła torbę z aparatem na ramię i cofnęła się. Ani myślała wsiadać na motocykl prowadzony przez handlującego narkotykami kidnapera.

Wskazał ruchem głowy przed siebie.

- Pokażę pani.

Dziwne, ale wyłowiła w jego tonie zrozumienie. Naprawdę oferuje jej pomoc, czy też jest w tym coś więcej? Morgan mówiła, że jak chce, to potrafi być bardzo układny. Mówiła również, że jest okrutny, niebezpieczny i wybuchowy.

I Whitney nie miała powodów, żeby w to powątpiewać.

Nie cofał wyciągniętej ręki, toteż pokazała palcem białe auto, które wynajęła na lotnisku w Phoenix.

- Jestem samochodem - powiedziała, siląc się na pewność siebie, której wcale nie czuła. - Proszę mi tylko wskazać drogę do hotelu. Sama trafię.

Spojrzał na samochód i opuścił rękę.

- Pojadę za panem - dorzuciła szybko.

- Jechała już pani motorem? Przygryzła wargi i pokręciła głową.

- Boi się pani?

Jeszcze jak! Wypięła dumnie pierś.

- Też mi coś - prychnęła. - Ale nie znam pana. Nic o panu nie wiem.

Spuścił wzrok, splótł dłonie i z trzaskiem stawów rozprostował palce. Boże. Chyba nie palnęła gafy? Czy on naprawdę stara się być dla niej uprzejmy, czy tylko sprawdza wiarygodność jej historyjki?

- No wie pan, mimo wszystko jest pan dla mnie obcym człowiekiem.

Milczenie. Przedłużające się w nieskończoność milczenie.

- Ściemnia się - odezwał się w końcu - a tam trudno trafić. Jeśli pani wsiądzie, zawiozę panią. - Patrzył jej teraz prosto w oczy. - I jeśli rzeczywiście chce się pani dowiedzieć czegoś o motocyklach, to najlepiej zacząć od bezpośredniego kontaktu z maszyną.

Znowu milczenie.

- Podrzucę panią potem z powrotem do samochodu. - Znowu wyciągnął rękę. - Obiecuję.

Boże! Co robić? Stawką jest tutaj bezpieczeństwo Sary Jane. Jeśli nie wsiądzie, to Gannon może znowu zniknąć i szukać potem wiatru w polu. A jeśli z nim pojedzie, to może w rozmowie uda jej się wyciągnąć z niego, gdzie szukać siostrzenicy.

- Śmiało, spodoba się pani - ponaglił.

Serce waliło jej jak młotem. Co może jej grozić? Jeśli uwierzył w tę historyjkę o księżce, raczej nic.

Nie mogła się jednak zdecydować. Czuła w ustach kwaśny smak strachu. A może on ma wobec niej jakieś nieczne zamiary, i skoro tylko znajdą się poza miastem...

Wzdrygnęła się z odrazą na tę myśl, ale zaraz przypomniała sobie siostrzenicę. To dziecko, którego dalsze losy zależą teraz tylko od niej. Nie ma rady. Musi to zrobić.

I dopóki będzie zachowywała zimną krew, nic jej nie grozi. Tak. Dobrze.

Wreszcie, zaciskając zęby, podała Gannonowi rękę. Żołądek podszedł jej natychmiast do gardła, a dziwna słabość ogarnęła kończyny, kiedy przerzuciła nogę nad tylnym siodełkiem.

Było mniejsze, niż się wydawało, i tak wyslizgane, że zsunęła się i chcąc nie chcąc, przywarła do pleców Gannona. Spróbowała się odsunąć, ale znowu się ześliznęła. Obejrzał się i wskazał palcem swój kask. Chce jej go oddać? Nie, chyba pyta, czy chce dla siebie drugi...

W tej chwili pragnęła tylko mieć już tę jazdę za sobą. Pokręciła głową i motocykl wyrwał do przodu. O mało nie spadła. W ostatniej chwili odruchowo objęła Gannona rękami w pasie.

Pędzili krętą, górską drogą w tym samym kierunku, w którym odjechała banda oberwańców. Kiedy miasteczko zostało za nimi i skurczyło się do rozmiarów plamki na zboczu góry, Whitney uświadomiła sobie całą powagę sytuacji. Byli zupełnie sami i gnali górską drogą z taką szybkością, że odwrót nie wchodził w rachubę.

Łykając zapierający dech w piersiach wiatr, postanowiła skoncentrować się na swoim następnym posunięciu. Zaczęła zwracać uwagę na okolice i zapamiętywać charakterystyczne punkty orientacyjne - na wypadek, gdyby przyszło jej wracać do miasta samej.

Pędzili w zapadającym zmierzchu, mijając szmaragdowe drzewa o guzłowatych, poskręcanych, srebrnosiwych pniach, odcinające się od urwistej, cynobrowej ściany kanionu.

Obejmowała kurczowo Gannona. Wyczuwała jego siłę i pewność, z jaką prowadził motocykl krętą drogą. Podchwyciwszy rytm przechylów maszyny, wtuliła się dla ochrony przed wiatrem w jego plecy, przyciskając policzek do skórzanej kurtki. Zjechali meandrami na dół i skręcili w gruntową drogę opadającą jeszcze głębiej w kanion.

Ostry prąd powietrza smagał jej twarz i szarpał rozpuszczone włosy. Płuca wypełniał upojny zapach sosen, a ją ogarniało coraz większe uniesienie. Poczwała się nagle wolna.

I na kilka surrealistycznych sekund czas jakby się zatrzymał. Pozostała jedynie świadomość chwili... i Rhysa Gannona. Człowieka, którego z całego serca nienawidziła. Człowieka, którego dotknięcie na krótki moment przyprawiło ją o zawrót głowy. Człowieka, którego mięśnie to się naprężyły, to rozluźniały przy każdym zakręceniu, który brał. Gdyby byli dwojgiem innych ludzi, może nawet delectowałyby się tym uczuciem, może podniecałby ją kontakt z jego muskularnym, silnym ciałem. A tymczasem byli, kim byli. I niebezpiecznie jest w ten sposób myśleć.

Gdy droga przestała opadać, zwolnili. Ogłuszający ryk silnika przeszedł w głęboki gardłowy pomruk. Gannon zjechał na skraj urwiska. W dole rwał wezbrany deszczem potok, roztrzaskując się o głazy i zwały kamieni. Jego grzmot odbijał się echem od granitowych ścian przełomu i unosił w górę.

Whitney, wdychając ciężki zapach gnijących liści i przenikającej powietrze wilgoci, rozejrzała się wokół. Otaczały ich gęsto rosnące drzewa i... ani żywego ducha.

Spojrzała ze ściśniętą krtanią na spieniony potok. Ogarnęło ją na chwilę poczucie bezradności, ale szybko się z niego otrząsnęła. Nie cierpiała się bać, a jeszcze bardziej nie cierpiała czuć się bezradna. Nie dało się jednak ukryć, że w tej chwili nie panowała nad sytuacją. Czekwała spięta, gotowa w każdej chwili rzucić się do ucieczki, a Gannon siedział w milczeniu, zapierając się długimi nogami o ziemię.

O czym myślał?

I nagle dostrzegła wąską dróżkę. W tym samym momencie Gannon zatoczył ręką szeroki łuk i wskazał na nią. Dróżka prowadziła do małego, drewnianego mostku przerzuconego nad potokiem, a po drugiej jego stronie zaczynała się piąć w górę.

Whitney przymrużyła oczy. Stał tam dom. Ogromny stary dom. Odetchnęła z ulgą i skarciła się w duchu za zbyt wybujałą wyobraźnię.

Gannon odwrócił głowę i spojrzał na nią.

- To tutaj. Jedyne miejsce w okolicy, gdzie może pani znaleźć nocleg.

- Trzeba mieć rezerwację? Chyba trochę na to za późno.

Roześmiał się ciepło, niemal serdecznie. I dopiero teraz uświadomiła sobie, że ściska nogami jego uda, które lekko wibrują w rytm pracującego silnika.

- Jesienią w Estrade nie trzeba mieć rezerwacji - powiedział i poprowadził motocykl w stronę dróżki. - Zapamiętała pani, jak tu trafić? - zapytał przez ramię.

- Oczywiście, jeśli mózg mi się nie zlasował od tej ostrej jazdy - odparła, podnosząc głos, żeby ją usłyszał.

- Co pani może wiedzieć o ostrej jeździe, pani Sheffield. - Podkręcił gaz i ryk silnika odbił się rykoszetem od ścian kanionu.

Ruszył ostro z miejsca. Siła bezwładności odrzuciła Whitney w tył. Chwyliła go w talii.

Pędzili pod górę z karkołomną szybkością. Oddech wiązał jej w krtani. Brali ostro zakręty, zjeżdżając na sam skraj wąskiej, nie zabezpieczonej barierką drogi, za poboczem której otwierała się pionowa



przepaść, by zaraz potem otrzeć się niemal o granitową ścianę po drugiej stronie.

Prąd powietrza rozwiewał jej włosy i wyciskał łzy z oczu. Umierała ze strachu, ale zaparła się, że nie da tego po sobie poznać.

Wpadli na pełnym gazie do miasteczka. Gannon nacisnął ostro na hamulce, motocykl wszedł w kontrolowany poślizg, obrócił się w obłoku kurzu o sto osiemdziesiąt stopni i zatrzymał z piskiem opon przy wynajętym samochodzie Whitney. Gannon, nie gasząc silnika, odchylił się w tył i pomógł jej zsiąść.

Oparła się o bagażnik swojego samochodu i stała tak dłuższą chwilę z zapartym tchem, czując, że nogi ma jak z waty.

- Ostra była jazda? - spytał Gannon, unosząc przesłoną kasku.

Odgarnęła do tyłu splątane włosy i otarła załzawione oczy.

Mobilizując resztki godności, wyprostowała się.

- Ujdzie.

I znowu dostrzegła te zmarszczki w kącikach jego oczu, których znaczenia nie potrafiła zgłębić. Wzięła głęboki oddech.

- Dużo jeszcze muszę się nauczyć. - Próbowwała ukrywać emocje, lecz gniew wyostrzał jej ton.

Bawili się w kotka i myszkę, i teraz uświadomiła sobie, że wcale nie ma pewności, kto tu jest drapieżnikiem. Rodziło się w niej podejrzenie, że ten człowiek wabi ją w jakąś pułapkę. A może próbuje nastraszyć?

Tak czy owak, nie pozwoli mu przejąć inicjatywy.

- Wiem - powiedział, znowu podnosząc obroty silnika. - Może pani szef powinien przydzielić to zlecenie komuś innemu.

Arogancki sukinsyn. Nie da mu się sprowokować. Wzięła jeszcze jeden głęboki oddech i policzyła do dziesięciu.

- Wykluczone. Nie zdarzyło mi się jeszcze nie wywiązać z zadania - odparła. - I nawet pan nie wie, jak wdzięczna panu jestem za tę lekcję jazdy. Nie mogę się już doczekać jutra i następnej lekcji.

Roześmiał się.

- Nadal chce się pani zadawać z motocyklistami? Nie da się ich nazwać śmietanką towarzyską, pani Sheffield - powiedział, wymawiając jej nazwisko wolno i z wyraźnym naciskiem.

Zmroził ją strach. Chyba nie wie, kim ona naprawdę jest. Morgan powiedziała, że nic mu o niej nie mówiła. A podobne nie były, bo Morgan farbowała sobie włosy i miała jaśniejszą cerę. Whitney wstrzymała oddech, kiedy Gannon znowu uważnie mierzył ją wzrokiem.

- A pani wygląda mi na osobę nawykłą do życia na poziomie. - Jego słowa ociekały prowokacją-

- Jestem zawodowym fotografem i...

- Może być niebezpiecznie.

Znowu wyczuła w jego tonie wyzwanie.

- Niebezpieczne sytuacje nie są mi obce - odparła z wymuszonym uśmiechem. - Mam pracę do wykonania i wykonam ją, jeśli nie tu, to gdzie indziej.

Wyciągnął rękę i obleczoną w rękawiczkę dłonią dotknął jej twarzy. W pierwszym odruchu Whitney chciała się cofnąć, ale nie zrobiła tego. Przesunął powoli palcami po jej policzku, ujął pod brodę i zmusił, żeby na niego spojrzała. Sam ani na chwilę nie spuszczał z niej wzroku.

Gdyby nie miał na głowie kasku, pomyślałaby, że chce ją pocałować.

Zacząła szybciej oddychać, serce zamarło jej w piersiach, w ustach zrobiło się sucho. Zwilżyła wargi koniuszkiem języka i tłumiąc panikę, pozostała w całkowitym bezruchu.

- Jest pani bardzo ładna - powiedział i trzymając ją wciąż pod brodę, potarł leciutko palcem jej dolną wargę. Rozchyliła mimowolnie usta. - I jestem przekonany, pani Sheffield, że dostaje pani zawsze to, czego chce.

RS

## ROZDZIAŁ DRUGI

Przechadzał się tam i z powrotem po chodniku przed oknem wystawowym. Zatrzymywał się co jakiś czas i spoglądał w głąb ulicy, przeklinając się w duchu za to, że poprzedniego dnia nie utrzymał języka za zębami. Nie powinien był się z nią umawiać.

Czemu więc to zrobił?

Postukał czubkiem skórzanego buta w oponę motoru. Dobrze wiedział czemu. Bo jest idiotą. I zaintrygowała go ta pani z Wyższych Sfer.

Kiedy zobaczył, jak robi zdjęcia, obudziła się w nim podejrzliwość. Od dawna żył ze świadomością, że ktoś może szukać Sary Jane. Kobieta wyjaśniła, że robi zdjęcia do książki o motocyklach, nakłonił ją więc do przejażdżki, by się przekonać, jak daleko gotowa jest się posunąć, by uwiarygodnić swoją historyjkę... żeby się przekonać, czy mówi prawdę. Prowokował ją i w ogóle zachowywał się jak ostatni sukinsyn, którym przecież nie był.

Owszem, powiedział i zrobił wiele, żeby ją do siebie zrazić, i być może mu się to udało. Nie ma się czym przejmować. Ona prawdopodobnie już się tu nie pokaże. Czy aby na pewno?

Jest nieprzewidywalna, to nie ulega wątpliwości. Zaskoczyła go, wsiadając z nim na motor. Naiwność czy lekkomyślność? Przecież mógł być gwałcicielem. Albo jeszcze gorzej.

Łatwo byłoby wykorzystać sytuację i starał się jej to uzmysłwić. Kiedy jednak z błyskiem determinacji w tych jasnoniebieskich oczach oświadczyła, że wykona swoją pracę, jeśli nie tu, to gdzie indziej,

uwierzył, że tylko to ją tu sprowadziło. Ale chociaż starała się nadrabiać miną, miał wrażenie, że nie czuje się pewnie.

Ręka jej drżała, kiedy pomagał jej wsiąść na motor. I wyraźnie zeszywniała, kiedy dotknął jej policzka. Tak, ta kobieta była napięta jak gitarowa struna.

Ale miała do tego pełne prawo; planowała przecież penetrację subkultury motocyklistów. I musiał przyznać, że pani Whitney Sheffield, pomimo obaw, jakie nią miotają, jest zdecydowana dopiąć celu.

Uśmiechnął się na wspomnienie jej dzielnie maskowanego przerażenia, kiedy o mało nie spadła z motoru. Tak, miała ikrę. Lubił takie kobiety. Zwłaszcza w łóżku.

Ale to bez różnicy. Na pierwszy rzut oka rozpoznał w niej kobietę bardzo podobną do Stephanie, jego zmanierowanej byłej żony - kobietę z gatunku tych, których przodkowie przybyli do Ameryki na statku „Mayflower” i z gatunku tych, którym rodzice zabraniają zadawać się z takimi jak on typkami.

Był z założenia kimś gorszym, chłopakiem nie z tej prywatki. Nigdy nie pozwolono mu o tym zapomnieć. Ani w szkole, ani w krótkotrwałym małżeństwie. Zaślepił go styl i klasa Stephanie. Zaślepiło wyzwanie.

Tak, od razu poznał się na Whitney Sheffield. Ten jej dystans, uprzejmy chłód, ta ostentacyjna elegancja. Ubranie od dobrego krawca, modulowany, kulturalny głos noszący wyraźne ślady obróbki w jakiejś szkole dobrych manier ze wschodnich stanów.

Whitney Sheffield była repliką jego byłej żony oraz większości kobiet z jego dawnego życia. Ale jemu przeszło już bezpowrotnie zauroczenie kobietami z wyższej klasy.

Wiedział, czym ono pachnie. Zawsze pragnął tego, czego mieć nie mógł, a one chciały tylko poigrać z ogniem, pobawić się przez chwilę. Potem żądały, by wtopił się w ich środowisko. W przypadku Stephanie był jeszcze na tyle głupi, że próbował.

Nic z tego. Nie pójdzie już tą drogą.

Kiedy jednak patrzył w oczy Whitney Sheffield, budziła się w nim, cholera, ta sama pierwotna reakcja.

Szmaragdowe jałowce i czerwone skały kanionu rozmywały się za oknem w wielobarwną smugę. Whitney, przyciskając pedał gazu do dechy, wybiegała myślami do spotkania z Gannonem. Poprzedniego dnia wieczorem bez trudu trafiła z powrotem do zajazdu, zameldowała się i poszła prosto do swojego pokoju, by opracować plan działania.

Teraz jednak, kiedy zbliżała się do Estrade, zaczynały ją nękać różne wątpliwości. A jeśli Gannon nie będzie skłonny do współpracy? Co wtedy? A jeśli w ogóle nie wróci?

Zdecydowanie potrzebny jest jej alternatywny plan, ale nie ułoży go bez dodatkowych informacji. Dopóki prywatne śledztwo prowadzone przez Alberta nie przyniesie czegoś nowego, musi postępować ostrożnie, krok po kroku.

Postanowiła trzymać się wymyślonej historyjki z książką o motocyklach. To da jej pretekst do kontaktów z Gannonem. Jeśli będzie trzeba, zaproponuje mu zapłatę. A kiedy już zdobędzie jego zaufanie, spróbuje wprosić się na któryś z wywiadów do jego domu, gdzie może znajdować się dziecko. Jednak najlepiej by było, gdyby udało się jej sfotografować go w trakcie sprzedawania narkotyków.

Tylko gdzie może mieszkać takie indywiduum? Jaką opiekę może zapewnić trzyletniemu dziecku? Morgan mówiła, że żyje z dnia na dzień, z rozprowadzania narkotyków, sutenerstwa i kradzieży. Ostrzegła, że chociaż potrafi oczarować każdą kobietę, jest wcielonym diabłem skorym do stosowania przemocy.

Whitney odetchnęła głęboko, ale płuca nie wypełniły się do końca powietrzem. Pewnie przez tę wysokość. Estrade leży wysoko. Ale były też inne przyczyny tego niedotlenienia.

Wprowadziła samochód na miejsce parkingowe przed sklepem. Dopiero teraz zauważyła nazwę nad oknem wystawowym: „Na Szlaku”. Stosowna, zważywszy na to, że zaopatrywały się tu obieżyświaty.

Zerknęła na zegarek. Gdyby Gannon raczył podać godzinę, nie musiałaby przyjeżdżać tak wcześnie i czekać nie wiadomo ile. Kto wie, czy nie przesiedzi tu całego dnia, a on się i tak nie zjawi.

Nie było jeszcze dziewiątej. Kilka kroków od niej, po prawej stronie, parkował ciemnozielony jeep, po drugiej stronie stał motocykl przypominający maszyny z „Easy Ridera”. Poza tym uliczka była cicha i wyludniona jak poprzedniego wieczoru.

Widząc przez szybę, że po sklepie ktoś się kręci, Whitney uznała, że jest już otwarty. Zamknęła samochód i weszła do środka. W głębi zobaczyła dwóch rozmawiających mężczyzn. Starszy, brzuchaty, stał plecami do niej, drugi, okularnik w typie urzędnika, układał coś na półkach.

Tracąc do reszty wiarę, że Gannon się pojawi, Whitney wzięła w dwa palce metkę z ceną przyczepioną do czarnej kurtki wiszącej na stelażu

obok. Powietrze w sklepie przesycone było charakterystycznym zapachem skóry.

Tak pachniały zawsze samochody jej taty. Z wyjątkiem rolls-royce'a, którego mieli od lat. Tego z barkiem w środku. Odpędziła te myśli, bo przywoływały nieprzyjemne wspomnienia.

Przed witryną stało kilka harleyów davidsonów, resztę wnętrza zajmowały półki z akcesoriami, częściami zamiennymi do motocykli, skórzanymi kurtkami, goglami, czapkami, kamizelkami, rękawicami, książkami, a nawet kasetami wideo. Krótko mówiąc, ze wszystkim, czego motocykliście do szczęścia potrzeba.

Ale dla Gannona ten sklep stanowił bez wątpienia przykrywkę dla handlu narkotykami. Jedno tylko było dziwne. Dlaczego umówił się z nią właśnie tutaj?

Znowu traciła wiarę. On nie przyjdzie. Naiwnością było wierzyć jego zapewnieniom. Jak mogła brać słowa kogoś takiego za dobrą monetę?

Przesunęła palcem po satynowoczarnym baku stojącego obok harleya. Odblaski słońca igrające na chromie i stali sprawiały, że powierzchnia wydawała się ciepła w dotyku.

Instynktownie wyobraziła sobie fotograficzny kadr. Zbliżenie, opona pod kątem, kontur czarnego siodełka, na którym siedzi okrakiem mężczyzna... albo mężczyzna i kobieta. Jak wczoraj...

Nawet o tym nie myśl!

Zrobiła z palców ramkę i spojrzała przez nią, wyobrażając sobie fotografowany obiekt, jak robiła to zawsze, jeszcze zanim zajęła się zawodowo fotografią.



Obejrzała się. Mężczyźni w głębi sklepu nadal zajęci byli rozmową. Wyobraziła sobie tego starszego na motorze. Skórzana czapka, skórzana kurtka, wytarte dżinsy, ciężkie buciory z cholewami. Stłumiła szybko chichot.

Tym razem wyobraziła sobie na harleyu mężczyznę w okularach... Zaraz, w jego sylwetce, w tych szerokich ramionach, szczupłej talii i biodrach, w ciemnych włosach podwijających się lekko na kołnierzyku koszulki polo, było coś znajomego.

Poznała go wtedy, kiedy zdjął okulary w drucianej oprawce. Gannon.

Wstrzymała oddech i w tym samym momencie spotkały się ich spojrzenia. Z pewnej odległości, bez motocykla, bez kurtki i kasku, wyglądał zupełnie inaczej i wcale nie tak groźnie. Pomachała mu na powitanie.

Morgan, zanim umarła, zdążyła jej powiedzieć, że Rhys Gannon to kameleon, że potrafi zmieniać swoją powierzchowność zależnie od okoliczności. Ostrzegała jeszcze, że Gannon potrafi być tak przekonujący, że omami każdego. Ona sama ufała mu, bo go kochała.

Ale Whitney nie była podobna do swojej siostry. I dawno temu przestała wierzyć w miłość. Rozprostowała ramiona. Zmiana odzieży nie zmienia człowieka.

- Dzień dobry! - zawołał Rhys z drugiego końca sklepu, kiedy grubas, z którym rozmawiał, wyszedł.

Nie ruszył jej na spotkanie. Stał oparty ramieniem o framugę drzwi prowadzących chyba do kantorku, i przyglądał się jej spod przymkniętych powiek. W spojrzeniu tym było coś wyzywającego, lecz nawet nie próbował tego ukrywać.

- Dzień dobry. - Podeszła do niego, obiecując sobie, że nie da się wyprowadzić z równowagi ani jemu, ani faktowi, że nie może oderwać od niego wzroku.

Sylwetkę miał niemal idealną. Po raz pierwszy od ukończenia college'u naszła ją ochota na zrobienie serii aktów.

Po raz pierwszy w całym dorosłym życiu pomyślała z obawą, że nie potrafi zachować zawodowego dystansu, kontrolowanej rezerwy. Niełatwo o to, gdy kłamie się w żywe oczy.

Z tym że kłamała tylko w sprawie celu swojego przyjazdu. Mimo wszystko fotografem była rzeczywiście i naprawdę zamierzała fotografować motocykle.

- Trafiła pani wczoraj do tego zajazdu? - spytał.

Wyglądał starzej, niż się spodziewała i nie potrafiła wyczytać z jego twarzy, czy jest zadowolony, że przyszła na umówione spotkanie, czy też uważa ją za intruza.

- Trafiłam. Właścicieli nie zastałam, ale przyjęła mnie bardzo miła recepcjonistka.

- Dobrze się spało? Whitney kiwnęła głową.

- Mhm.

Była tak zmęczona, że zasnęła w kilka sekund po przyłożeniu głowy do poduszki. Dziś rano obudziła się wcześnie, ubrała i wyszła, nie spotkawszy żywego ducha.

- Nie wiedziałam, czy pan przyjdzie, ani kiedy. - Wyciągnęła rękę. - Jak już mówiłam wczoraj, nazywam się Whitney Sheffield.

- Rhys. Rhys Gannon. - Uścisnął mocno jej dłoń i uśmiechnął się ujmująco. Po niedawnym prowokującym spojrzeniu nie pozostał ślad.

Szukała rozpaczliwie słów. Słów, które nie zdradziłyby jej zainteresowania jego życiem osobistym.

- Rhys. Tak, widziałam to imię na pańskiej tablicy rejestracyjnej. Walijskie, prawda?

Uniósł ciemne brwi i roześmiał się.

- To rodzinna tradycja. - W jego głębokim głosie pobrzmiwało rozbawienie. - Mój ojciec też tak ma na imię.

Whitney podeszła do półki i wzięła z niej książkę zatytułowaną „Harleyem po Arizonie”. Przerzuciła machinalnie kilka stron, spojrzała na tył okładki. Zachodziła w głowę, gdzie też, u diabła, podziewa się właściciel sklepu. I dlaczego Gannon sprawia takie wrażenie, jakby to on był tu szefem?

- Tak, ładne imię. Podoba mi się. - Podniosła na niego wzrok. - Domyślam się, że pan również przekaze je swoim dzieciom. - Odstawiła książkę na miejsce.

Musi tak pokierować rozmową, żeby wyciągnąć z niego jakieś informacje o Sarze Jane.

- Ale do dziewczynki chybaby nie pasowało, prawda? - Uśmiechnęła się przekornie.

Zauważyła, że zeszywniał. A więc trafiła w czuły punkt.

- Mówiła pani, że fotografuje motocykle - powiedział chłodno. - W czym mogę pomóc?

Złożył ręce na szerokiej piersi, dając do zrozumienia, że tę wstępną pogawędkę uważa za zakończoną. Ramiona miał silne, opalone na brąz, krótkie rękawki koszulki opinały się na wydatnych mięśniach.

Przypomniało jej to twarde jak skała mięśnie brzucha, które wyczuwała wczoraj pod palcami.

Fala gorąca rozlała się po policzkach. Odchrząknęła.

- No więc... jak już mówiłam, robię zdjęcia do książki o motocyklach. To ma być coś w rodzaju albumu. Prawie same fotografie.

Jezu, wczoraj wieczorem, kiedy planowała sobie, co będzie mówiła, brzmiało to zupełnie wiarygodnie, teraz jednak nie była już tego tak pewna.

Skinął głową na znak, że słucha.

- Ponieważ nie wgłębiłam się jeszcze do końca w temat, niewiele o nich wiem. - Zamilkła na chwilę. - To znaczy, nie muszę się znać na motocyklach, żeby je fotografować, ale nieraz się już przekonałam, że im lepiej orientuję się w danej tematyce, tym lepsze wychodzą mi zdjęcia. Zastanawiałam się wczoraj wieczorem nad koncepcją albumu i widzę tu mnóstwo możliwości.

Odgarnęła z twarzy pasemko włosów. Gannon nie odzywał się, zaczęła mu więc opowiadać o swoich pomysłach, które wykorzystywała przy okazji robienia zdjęć do innych książek. I o dziwo, w miarę jak mówiła, rósł w niej zapał.

Zaczęła spacerować tam i z powrotem, wymachując rękami dla zaakcentowania swoich słów.

- Mogłabym spojrzeć na ten temat z historycznej perspektywy albo może skoncentrować się na jakimś konkretnym rodzaju motocykla... albo zestawić stare z nowymi! Mogłabym fotografować ludzi, którzy na nich jeżdżą, pokazać, kim są, co robią, do jakich grup należą, jak się ubierają...

Przechwyciwszy jego rozbawione spojrzenie, urwała i zatrzymała się.

- Cóż, możliwości jest bez liku.

- Widzę, że na żadną się jeszcze pani nie zdecydowała. Dla kogo ma być ta książka?

- No, prawdę mówiąc, to jest dopiero wstępny projekt. Dlatego nie wtem jeszcze, na co położyć szczególny nacisk. Zaproponowałam ten temat swojemu wydawcy i teraz jestem na etapie przygotowań - zełgała gładko. - A tutaj przyjechałam, bo mówiono mi w Phoenix, że Estrade to miasteczko bardzo popularne wśród motocyklistów.

Wzruszyła ramionami i rozłożyła ręce. Była to w zasadzie prawda, z tym że o motocyklistach odwiedzających Estrade dowiedziała się nie w Phoenix, lecz od faceta ze stacji benzynowej.

- Niewiele myśląc, wsiadłam w samochód, no i jestem.

- Jak rozumiem, robiła już pani zdjęcia do innych książek?

Kiwnęła głową.

- Dokładnie do czterech. Jedna była o dzieciach z Belfastu, druga o dachach Paryża, trzecia...

Znowu zamilkła. Najwyraźniej facet nie kojarzy jej nazwiska, lecz nie była tym zaskoczona. Wystawiała swoje prace w znanych nowojorskich i zagranicznych galeriach, jej fotografie zamieszczały wysokonakładowe czasopisma, ale nazwisko nie było szeroko znane. Swoje pięć minut sławy miała przed kilkoma laty, kiedy to w magazynie „People” ukazał się artykuł o niej.

W Estrade w stanie Arizona nikt na pewno nie słyszał ani o niej, ani o jej dorobku.

- Ale pan pewnie nie zna tych książek - dokończyła skromnie.

Rhys ściągnął brwi.

- Tak pani sądzi? Uważa pani nas, prowincjuszy, za zbyt prymitywnych. Myśli pani, że nie wiemy, co się dzieje w wielkim świecie, i że nas to nie interesuje?

Skrzywiła się, słysząc sarkazm w jego głosie. Najwyraźniej poczuł się urażony. Przyjrzała się siateczce drobnych zmarszczek na jego twarzy. Robiła już portrety tylu osobom, że potrafiła dosyć dokładnie określić wiek człowieka. Nawet zakładając, że postarzył go hulaszczy tryb życia, musiał być o co najmniej piętnaście lat starszy od Morgan. Czyli miał minimum trzydzieści pięć lat.

A ta szybka reakcja obronna świadczy o tym, że w jego pancerzu istnieje jednak jakieś pęknięcie. Wczoraj pomógł jej nawet znaleźć nocleg. Może nie jest aż tak zdegenerowany, jak go przedstawiała Morgan.

Instynktownie wyciągnęła rękę i musnęła koniuszkami palców jego przedramię.

- Miałam tylko na myśli, że daleko stąd do Nowego Jorku i te książki mogły tu nie dotrzeć.

Rhys spojrział na dłoń dotykającą jego ramienia; potem podniósł powoli wzrok i popatrzył jej w oczy.

- A więc jest pani słynnym fotografem?

Uśmiechnęła się.

- Nie tak bardzo. Ale jestem znana w pewnych kręgach.

Sięgnęła do swojego plecaka, namacała wizytówkę i wręczyła mu ją. Spojrział na kartonik.

- Druga Annie Leibovitz?

- Nie, tylko Whitney Sheffield - odparowała. Zaskoczyła ją jego wiedza. Nie cieszyła się taką sławą jak jej koleżanka po fachu, ale miała własny styl, który pewnym ludziom tak samo, a może i bardziej się podobał.

- No więc w czym mogę pomóc znanej w pewnych kręgach Whitney Sheffield? - Błysnął w uśmiechu białymi zębami i roześmieli się oboje. Nagle Gannon spoważniał i spojrzał nad jej ramieniem w kierunku wejścia.

Whitney obejrzała się. Dwóch mężczyzn zsiadało przed sklepem z motocykli. Kurczę! Akurat teraz, kiedy zaczynał się już przed nią otwierać. Przewidując, że ich konwersacja zostanie zaraz przerwana, spytała czym prędzej:

- Możemy gdzieś spokojnie porozmawiać?

- Jasne - odparł i zanim się zorientowała, wprowadzał ją już za rękę do kantorku. - Proszę się tu rozgościć. To nie potrwa długo. - Wychodząc, przymknął drzwi, pozostawiając je lekko uchylone.

Rozejrzała się. Duże okno widokowe naprzeciwko drzwi, oprawiony w złote ramki plakat z chicagowskiej galerii sztuki na prawej ścianie, podobny na lewej. Większą część pomieszczenia zajmowało wysłużone dębowe biurko.

Co, u licha? To jego gabinet? Czyżby on był tu kierownikiem? Właścicielem tego sklepu? A może ten cały interes z częściami zamiennymi do motocykli i akcesoriami to tylko przykrywka dla handlu narkotykami, jak to pierwotnie podejrzewała? Ale dlaczego miałyby ryzykować spalenie tej przykrywki, zapraszając tu obcą sobie kobietę?

A może jest teraz taki pewny siebie, bo wraz z odejściem Morgan zniknęło zagrożenie? Morgan przysięgała, że nikomu, nawet Gannonowi, nie opowiadała o swojej rodzinie. Czy on wie o jej śmierci? Czy w ogóle go obchodzi, co się z nią stało? Nie, musi wziąć się w garść i zapanować nad emocjami. Inaczej nigdy nie uda jej się doprowadzić do końca tego, po co tu przyjechała.

Nastawiła ucha, ale mężczyźni w sklepie rozmawiali zbyt cicho. Podeszła do biurka. Stała na nim fotografia oprawiona w mosiężną ramkę. Serce zabiło jej żywiej. Sięgała już po nią, kiedy drzwi otworzyły się. Spłoszona, cofnęła szybko rękę i zastygła.

Do kantorka wszedł Rhys.

- No, załatwione - powiedział, mijając ją i siadając za biurkiem na sfatygowanym fotelu obitym brązową skórą. - Proszę spocząć. - Wskazał ruchem ręki dębowe krzesło i odchylił się na oparcie fotela. Najwyraźniej czuł się tu jak u siebie.

Usiadła zmieszana, w głowie miała kompletną pustkę.

- Co? Co załatwione?

- Klient. Ale przy odrobinie szczęścia będzie ich może więcej. No więc w czym mogę pani pomóc?

Whitney wpatrywała się w niego cielecym wzrokiem.

- Pan... pan tu pracuje? - spytała ni w pięć, ni w dziewięć.

Roześmiał się serdecznie i splótł dłonie za głową.

- Owszem. A co pani myślała? Że jestem jednym z tych motocyklistów, którzy tu wczoraj byli?

Zaczerwieniła się.



Widząc jej konsternację, uśmiechnął się, wyciągnął z kieszonki na piersi cienką brązową cygaretkę, postukał nią o blat biurka, ale nie przypalił.

- To mój sklep - zatoczył ręką szeroki łuk - i dopóki nie ma klientów, jestem do pani dyspozycji.

Czuła się trochę jak Alicja, która po wpadnięciu do króliczej norki stwierdza, że wszystko jest nie takie, jakie być powinno. Podała Gannonowi fałszywy cel swojego przyjazdu, a on chce jej pomagać. Jest narkomanem, a na takiego nie wygląda - a na dodatek do niego należy ten sklep.

Sprawił wrażenie inteligentnego i obytego. Co więcej, nie był dwudziestoletnim punkiem, którego spodziewała się ujrzeć. Miał regularne rysy twarzy, dołeczki w policzkach i zmarszczki w kącikach przenikliwych oczu. Nie mogła odpędzić od siebie myśli, że byłby wspaniałym modelem dla fotografa.

Wszystko tu jest postawione na głowie.

Ale jeśli Morgan mówiła prawdę, to były to tylko pozory. Ten człowiek był podobno mistrzem kamuflażu. Kameleonem. Gdyby zechciał, potrafiłby uwieść nawet tapetę.

A sklep, przypomniała sobie spoglądając w okno, może być tylko parawanem dla handlarza narkotyków.

Wzburzyła ją ta myśl. Ile niewinnych dzieciaków zrujnowało sobie życie, żeby on mógł tu teraz siedzieć? Ile osób wciągnął w nałóg? Ile przedawkowało i umarło jak Morgan?

Pogrzebała w plecaku, wyciągnęła długopis i notes, i spojrzała znowu na fotografię w mosiężnej ramce.

Musi zadać mu to pytanie.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Rhys patrzył w błyszczące niebieskie oczy Whitney Sheffield - najbardziej zdeterminowane oczy, jakie w życiu widział. I był nimi tak samo zafascynowany jak poprzedniego dnia.

Wspomniał niepewność i zażenowanie, z jakim go dotknęła. Podobał mu się ten gest. Czynił ją bardziej realną, mniej nieprzystępną. Ale nie podobała mu się własna reakcja. Mógł ją przypisać faktowi, że już szósty miesiąc stronił od kobiet, ale było w tym coś więcej. Zaliczył już swoją pulę atrakcyjnych kobiet i nie miał dotąd kłopotów z samokontrolą.

Tym razem stało się inaczej. Hormony, które od miesiący z powodzeniem ignorował, zagrały jak u nastolatka.

Studiował jej twarz. Tak, w tym momencie pełne różowe usta i ujmujący uśmiech Whitney Sheffield działały nań zniewalająco. Żeby do końca się nie rozkleić, zaczął szukać mankamentów.

Nie podobał mu się zbytnio kok, w który upinała długie jasne włosy. I rysy twarzy miała zbyt regularne, zbyt doskonałe. I ta gładka skóra, te gęste, ciemne rzęsy, te czystobłękitne oczy... no.... były, jakie były.

Mankamenty? Do diabła, nie dostrzegął ani jednego.

A na dodatek w tym, co mówiła o sobie i swojej pracy, nie było cienia przechwałki czy samouwielbienia. To też mu się podobało. Ta kobieta była przekonująca, przekonujący był też hassel-bląd. Takiego kalibru aparatem nie pstryka się zdjęć do rodzinnego albumu.

Powiedziała, że chce z nim przeprowadzić wywiad. Dobrze, czemu nie? To może być nawet zabawne... jeśli tylko zachowa należytą

ostrożność. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio dobrze się bawił w towarzystwie kobiety.

- To chyba ktoś szczególny, na tym zdjęciu - powiedziała, pokazując długopisem.

Zerknął na stojącą na biurku fotografię.

- Miłość mojego życia, prócz motocykli, o których, o ile się nie mylę, chciała pani ze mną porozmawiać.

Zaterkotał telefon na biurku. Rhys podniósł słuchawkę. Dzwoniono z banku w sprawie pożyczki, o którą wystąpił. Zakrył dłonią mikrofon.

- Przepraszam, to może trochę potrwać. Może poszłaby pani coś przekąsić i wpadła tu później?

Patrzyła na niego zbита z tropu. - Powiedzmy o trzeciej?

Odprawiona jak domokrażczyni. Whitney kopnęła ze złością grudkę ziemi leżącą na drodze obok jej samochodu i patrzyła, jak ta rozsypuje się w proch. Omiotła wzrokiem ulicę.

Spokojnie, Columbo. On nie jest jedyną zwierzyną w tej mieścinie. Kto jeszcze mógłby ci udzielić informacji o panu Gannonie?

Pięć minut później maszerowała już główną ulicą Estrade, rozglądając się ciekawie dookoła. Powietrze było wonne, pachniało płonącym drewnem.

Centrum handlowo-administracyjne obejmowało zaledwie dwie przecznice, dalej droga pięła się zygzakami pod górę i znikwała za jej załomem. Whitney była zaintrygowana ekscentryczną architekturą miasteczka - tym dziwnym zbiorowiskiem budynków: od krytych blachą falistą baraków po domy przypominające bajkowe chatki z piernika. Kilka z nich zaadaptowano na restauracje i sklepy.

Bardzo dobrze. Zje lunch, a potem zajrzy do para sklepików i postara się wyciągnąć od miejscowych trochę informacji.

Wspinając się stromą uliczką, oceniała fotograficzny potencjał miasteczka.

Do skalnego zbocza góry przywierały wałące się budyneczki, na wielu wisiały tabliczki głoszące: „Zamknięte do następnego sezonu”. Inne sprawiały wrażenie opuszczonych, okna miały pozabijane nie oheblowanymi deskami.

Estrade przypominało jej pewien stary, opuszczony plan filmowy, który kiedyś odwiedziła. Ale musiała przyznać, że jest malownicze. Stanowiło jakby relikwinię minionej epoki, innego stylu życia.

A kafejka „U Mabel” z ręcznie spisanim menu, które przyklejono plastrem do drzwi, wyglądała jak przeniesiona wprost z „Ostatniego seansu filmowego”.

Zatrzymała się i zajrzała do środka przez żółtą szybę w drzwiach. Zobaczyła małą salkę z kilkoma kwadratowymi stolikami pośrodku, każdy przykryty obrusem w niebiesko-białą kratę. Po obu stronach sali, pod nie otynkowanymi ścianami z cegły, dostrzegła kilka boksów. W kątach stały donice z roślinami, mniejsze doniczki wisiały na hakach wbitych w sufit.

Sięgnęła do klamki i... napotkała spojrzenie pary oczu patrzących na nią z drugiej strony progu.

Wydała z siebie cichy okrzyk i odskoczyła w bok, omal się nie przewracając o żeliwną ławeczkę. Z trudem odzyskała równowagę i zawstydzona spiekła raka.

- Nie chciałem pani przestraszyć - rzekł staruszek, który otworzył przed nią drzwi. Uśmiechnął się i jego oczy znikły w głębokich fałdach okrągłej, pomarszczonej twarzy. - Chciałem tylko zaprosić do środka.

Wziął ją za rękę i wprowadził do kafejki. Miał co najmniej siedemdziesiąt lat i sądząc po siwym zarostie oraz przykurzonym ubraniu górnika, od dawna mieszkał w tych okolicach.

- Smaczniej niż u Mabel nigdzie tu pani nie zje - zapewnił, obrzucając pełnym uznania spojrzeniem jej strój. - Obojętne, skąd pani pochodzi.

No proszę, a ona włożyła džinsy i dzinsową koszulę, żeby wtopić się w otoczenie.

- Dziękuję. Nie miałam pewności, czy restauracja jest otwarta. - Prowadzona za rękę przez staruszkę, rozglądała się po sali.

- Tak, tak. - Mężczyzna zatrzymał się i potarł dłonią brodę, którą porastała srebrna szczecina. - Sezon turystyczny już się skończył i wszystkie knajpy świecą pustkami.

Doszli do końca sali. Przez otwarte drzwi do kuchni Whitney zobaczyła korpulentną kobietę mniej więcej w wieku staruszki, stojącą przy dużej kafłowej kuchni, która pamiętała pewnie czasy jej prababki.

- Mabel, co tam upichcisz dla tej młodej damy? Kobieta odwróciła się od bulgoczącego na piecu garnka i Whitney ujrzała znajomą twarz. Mabel, bardzo podobna do byłej pierwszej damy, Barbary

Bush, była tą samą kobietą, która wczoraj wieczorem przyjmowała ją w zajeździe. Teraz, wycierając ręce w fartuszek w niebieskie paski, ruszyła do drzwi.

- Dzień dobry, my się już znamy - powiedziała Whitney. - Muszę najpierw skorzystać z toalety. Potem pomyślę o posiłku.

Mabel i staruszek wymienili spojrzenia, a potem równocześnie wskazali ruchem głowy na drzwi w głębi kuchni.

Whitney otworzyła drzwi i weszła do dawno nie odnawianego pokoju, który był zapewne prywatną kwaterą właściciela restauracji. Mabel dreptała tuż za nią.

- Tam. - Mabel pokazała na drzwi za tapczanem nakrytym wytartą narzutą w brązowo-złote pasy.

Whitney rozejrzała się po pokoju. Miała wrażenie, że wpadła w dziurę czasu i została przeniesiona do lat pięćdziesiątych. Coś takiego! Całe to miasteczko było nie lada gratką dla fotografa.

Kobieta rozsiadła się na tapczanie i założyła ręce na piersi. Wszystko wskazywało na to, że zamierza tu pozostać, dopóki Whitney nie wyjdzie z toalety. I tak też się stało.

- Mam zamiar zatrzymać się tu na kilka dni - wyjaśniła Whitney, wracając z depczącą jej po piętach Mabel do restauracji. - Może mi pani opowiedzieć coś niecoś o miasteczku?

Poprzedniego wieczora zdradziła już Mabel, że zajmuje się fotografią i przygotowuje nowy album, tak więc prośba o garść informacji nie powinna kobiety zaskoczyć.

- Specjalność zakładu to zupa jarzynowa z wołową wkładką - zapiszczał staruszek, kiedy weszły do kuchni. Stał nad garnkiem, trzymając w ręku pokrywkę. -I z kaszą jęczmienną. Niebo w gębie. - Z lubością wciągnął w nozdrza unoszący się z garnka aromat i przykrył go z powrotem pokrywką.

- Charley! - ofuknęła go Mabel. - Nie będziesz mi już dzisiaj potrzebny. - Odepchnęła go od kuchni i zwróciła się do Whitney: - Co pani sobie życzy, młoda damo? Jak już powiedział Charley... - tu ściągnęła siwe brwi i posłała Charleyowi groźne spojrzenie - zupa dnia jest dzisiaj jarzynowa na wołowinie. Sama gotowałam.

Uniosła żeliwną pokrywkę i zamieszała gęsty wywar. W powietrze wzbił się smakowity aromat wołowiny i Whitney ślina napłynęła do ust.

- Można ją jeść z grzanką z żółtym serem -dorzuciła, zanim Whitney zdążyła coś powiedzieć.

- Pyszności. - Whitney usiadła przy kontuarze na sfatygowanym drewnianym stołku i odgarnęła z twarzy niesforne pasemko włosów. Nie jadła wczoraj wieczorem kolacji ani śniadania dzisiaj rano. Była wściekle głodna i spałaszowałaby teraz ze smakiem nawet starą oponę.

- Charley, obsłuż panią - zaordynowała Mabel i puszczając do Whitney oko, wyjęła z lodówki zawiniętą w celofan kanapkę, a potem postawiła na piecu poobijaną patelnię.

Charley postawił przed Whitney szklanekę z wodą.

- Chciała pani o coś zapytać - rzuciła od kuchni Mabel.

Whitney uśmiechnęła się.

- Poznałam tu pewnego mężczyznę... Rhysa Gannona. Może mi pani coś o nim powiedzieć?

Mabel ściągnęła brwi.

- A do czego to pani?

- No, tak pytam, z ciekawości. Chcę się dowiedzieć czegoś bliższego o motocyklach, a ponieważ on pracuje w tej branży, to może mógłby mi

pomóc. A gdybym więcej o nim wiedziała, to może łatwiej by mi poszło. - Obracała machinalnie w dłoniach szklanę z wodę. - Ma rodzinę?

Mabel przewróciła kanapkę na drugą stronę.

- My tutaj nie rozmawiamy o swoich z obcymi - oznajmiła, nie odrywając oczu od patelni.

No tak. I to by było na tyle, jeśli chodzi o wywiad w sprawie Gannona. Naciskając, wzbudziła tylko podejrzenia.

- Rozumiem. Tak tylko pytam.

- My tu sobie pomagamy nawzajem i trzymamy buzie na kłódkę. Jesteśmy jedną rodziną. A pani? Ma pani rodzinę?

Na to pytanie wołała nie odpowiadać.

- Nie jestem zameżna - mruknęła wymijająco i z zamiarem skierowania rozmowy na inne tory, zapytała o samo miasteczko.

Tym razem Mabel i Charley ochoczo podchwycili temat, zdejmując jej kłopot z głowy.

Whitney dowiedziała się, że nie są małżeństwem, że Charley mieszka tu od ponad trzydziestu lat i pracował kiedyś w kopalni złota. Od dawna też smalił do Mabel cholewki.

Ale to, co od nich usłyszała, nie przybliżyło jej ani o krok do ustalenia miejsca pobytu Sary Jane. Po lunchu odwiedziła kilka sklepików w nadziei, że tam się czegoś dowie. Ku jej rozczarowaniu ludzie, których zagadywała, byli równie niechętni do zwierzeń jak Mabel i Charley.

Jeśli Gannon rzeczywiście jest taki, jakim opisywała go Morgan, to bezsprzecznie udało mu się zaskarbić sobie podstępem sympatię mieszkańców miasteczka. A może jego sprawy zwyczajnie ich nie obchodzą?



- I co by pan proponował, panie Gannon?

Wzdrygnęła się wewnątrz, myśląc z niechęcią o bombastyczności własnych słów. Przedstawiła mu ogólną koncepcję książki i poprosiła o jakieś sugestie, ale on żadnej nie wysunął. Szybko traciła grunt pod nogami i z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu nie potrafiła skleić prostego zdania bez popadania w napuszony styl.

Za nic nie mogła uchwycić nici porozumienia, jaka rano zaczynała się już między nimi nawiązywać. W ciągu tych dwóch godzin, na jakie stąd wyszła, musiało się coś wydarzyć. Wyczuwała, że Gannon odgradza się teraz od niej murem. Na dokładkę zniknęła fotografia, która stała wcześniej na biurku.

Widocznie nie chce rozmawiać o tej „miłości swojego życia”. Czyżby przeszarżowała? Spłoszyła go?

Gannon pochylił się nagle w przód i wyciągnął rękę.

- Przyjaciele mówią mi Rhys - powiedział, spoglądając jej w oczy. - Proszę się tak do mnie zwracać.

Poprawiła się na krześle. Nie zwykła tak szybko przechodzić na ty, ale jeśli to coś pomoże...

- No więc... Rhys - odezwała się po chwili wahania - skoro wiesz już, o co mi chodzi, to czy mógłbyś mi doradzić, od czego mam zacząć?

Milczał.

- Bo widzisz... - spojrzała mu w oczy - zdaję sobie sprawę, że dużo muszę się nauczyć. Zwłaszcza że temat okazał się szerszy, niż początkowo myślałam. Nie mam pojęcia, od której strony się do niego zabrać, więc może mi coś doradzisz.

Rhys milczał, bębniąc palcami o plik papierów leżących na biurku. Ten głuchy werbel działał jej na nerwy.

Obserwowała dziwną grę emocji na jego twarzy. Tak, zdecydowanie między tym porannym telefonem a chwilą obecną musiało się wydarzyć coś ważnego. I cokolwiek to było, Rhys zamknął się w sobie.

- Mam mnóstwo czasu - podjęła i uśmiechnęła się. - Szybko się uczę. I byłabym ci bardzo wdzięczna.

Patrzył na nią z zaciśniętymi ustami tak, jakby jej nie widział.

- Tak... Nie wątpię, że jesteś bardzo pojętna. Mogę ci pomóc, i jestem przekonany, że mi się odwdzięczysz. - Uśmiechnął się znacząco. - Może nawet uda mi się nauczyć cię tego i owego... - zawiesił na chwilę głos - o motocyklach.

Ten człowiek był niemożliwy. Niby to przejawia chęć służenia pomocą i życzliwość, a zaraz potem staje się nieznośnym arogantem.

I widziała, że robi to celowo. Zupełnie jakby przyłapywał się na tym, że jest za uprzejmy i musi zatrzeć jakoś to wrażenie. A może wcale nie próbuje jej do siebie zrazić. Może wprawianie jej w zakłopotanie sprawia mu przyjemność...

Uświadamiając sobie, że siedzi na samym brzeżku krzesła, wsunęła się głębiej, zdecydowana trzymać język za zębami. Gdyby mu powiedziała, co myśli o jego komentarzach, nigdy nie udałoby się wyciągnąć z niego informacji o Sarze Jane.

- Na pewno ci się uda - odparła z nadzieją, że jej głos nie zdradza zakłopotania. - Jak i kiedy zaczynamy?

Rozparł się wygodnie w fotelu.

- Choćby zaraz.

Puls jej przyśpieszył. O kurczę. I co teraz? Może od razu przejść do rzeczy i powiedzieć, że przyjechała zaproponować mu odstępnę za siostrzenicę. Tak, a on weźmie mnie za ucho i wyrzuci na ulicę. Albo jeszcze gorzej...

- No, czy ja wiem... - Założyła nogę na nogę i spróbowała przywołać na usta niewinny uśmiech, co w tych okolicznościach nie przyszło jej łatwo. Zaczynała się czuć jak nastolatka, która zapomniała języka w gębie.

Czekał, nie spuszczać z niej oka.

- Trochę głupio się czuję. Jak już powiedziałam, decyzję o przyjeździe do Estrade podjęłam właściwie pod wpływem chwili. I teraz, kiedy już tu jestem, nie bardzo wiem, o co pytać. Może najlepiej będzie, jeśli opowiesz mi, jak trafiłeś do branży motocyklowej, a ja będę zadawała pytania w miarę, jak będą mi się nasuwały.

- Interesuje cię mój życiorys? - spytał.

Znowu ten kpiący ton. Cholera. Nie mogła rozgryźć tego faceta.

- Oczywiście, jeśli to nie tajemnica - odparowała słodko. - Możesz też coś zmyślić na poczekaniu.

Patrzył na nią przez chwilę z krzywym uśmiechem.

- Wczoraj wieczorem mówiłeś mi, że dawniej był tu bar - brnęła dalej.

Zamrugnął powiekami, chyba w końcu zdecydował się mówić.

- Tak - przyznał. - Ale wtedy mnie tu jeszcze nie było. Kiedy rok temu kupowałem ten lokal, mieścił się w nim upadający sklep z częściami zamiennymi. Rozszerzyłem asortyment, uruchomiłem pocztę pantoflową i interes powoli się rozkręcił. Mam plany ekspansji, ale to już inna historia. Głównie zajmuję się składaniem motocykli na zamówienie.

- Motocykli na zamówienie? - powtórzyła zdziwiona.
- Jedynych w swoim rodzaju. Warsztat jest na zapleczu.
- Nie rozumiem.

Uśmiechnął się, tym razem zwyczajnie, błyskając oślepiająco białymi zębami.

- Poważnie.

Whitney wracała do zajazdu z poczuciem, że rozmowa z Gannonem nie była mimo wszystko stratą czasu. Nadal nie wiedziała, gdzie jest Sara Jane, ale teraz miała przynajmniej nadzieję. Skoro ten człowiek ma firmę, nie zniknie ot, tak sobie.

Coraz bardziej ją intrygował. Powiedział, że pracował przy motocyklach jako nastolatek, a niedawno kupił sklep i warsztat, żeby zmienić coś w swoim życiu. Nie wspomniał, czym zajmował się wcześniej. Nie wspomniał też o Morgan ani o Sarze Jane. Ale kiedy opowiadał o swoich motocyklach na zamówienie i planach ekspansji, ton mu się zmieniał, twarz ożywiała i przypominał jej chłopca rozprawiającego z podnieceniem o nowej przygodzie.

Tak, Rhys wcale nie wygląda na takiego łotra, jakim opisywała go Morgan. Sprawia wrażenie człowieka zrównoważonego, który z niejednego pieca jadł już chleb i robi dobry użytek ze zdobytego doświadczenia.

Wyraźnie też dba o siebie. Nie wygląda na zaćpanego obwiesia. Takie warunki fizyczne nie są dziełem przypadku.

Coś się tu nie zgadza...

I chociaż przykro jej było o tym myśleć, zaczynała się zastanawiać, czy siostra powiedziała jej całą prawdę. Czyżby do ich rozstania doszło w

innych okolicznościach, a Morgan tak to przeżywała, że postanowiła się zemścić? I kłamała?

Szybko odrzuciła to podejrzenie. Morgan niepokoiła się tylko o los dziecka, o los uprowadzonej przez Gannona córeczki, której nie widziała od dwóch lat. A poza tym Whitney założyłaby się, że po świecie kręci się mnóstwo handlarzy narkotyków, którzy wcale na takich nie wyglądają.

Na szczęście ignorancja, jaką przejawiała, jeśli chodzi o branżę motocyklową, działała na jej korzyść. Po wstępnej rozmowie Rhys zaproponował, żeby na początek pojeździła trochę na motorze albo popracowała w jakimś sklepie, ewentualnie w warsztacie.

Uchwyciła się ochoczo tej szansy.

- A mogłabym tutaj?

Z miny, jaką w pierwszej chwili zrobił, wyczytała, że niezbyt podoba mu się ten pomysł. Potem, przyglądając się jej, przesunął palcem po rozchylnych wargach.

- Czy ja wiem... - Kiwnął powoli głową. - Można by spróbować.

Skoro już to ustalili, postanowiła wrócić do zajazdu i wynająć pokój na jeszcze kilka dni, a jeśli będzie trzeba, to i na dłużej. Potem będzie musiała dokończyć ostatnią sesję zdjęciową i jeśli to możliwe, przenieść na inny termin dwie następne, czekające już w kolejce. Nie może przecież walczyć o prawo do opieki nad Sarą Jane i jednocześnie zajmować się pracą zawodową.

Gannon mógł ukryć małą gdziekolwiek -u przyjaciół albo u rodziny pod miastem, niewykluczone też, że poza granicami stanu. Odnalezienie Sary Jane może trochę potrwać.

Ilekcio próbowała przeanalizować wszystkie możliwości, czuła się bezradna. Musi jakoś zdobyć zaufanie tego człowieka, żeby otworzył się przed nią i sam wyznał, gdzie przetrzymuje dziewczynkę. Od tego będzie zależał jej następny ruch.

Do tego czasu trzeba zachować jak najdalej posuniętą ostrożność. Gdyby Gannon przejrzał jej intencje, mogłaby już nigdy nie zobaczyć siostrzenicy.

Słońce oblewało złotem szczyty górskiego pasma, ale w miarę jak zjeżdżała w kanion, robiło się coraz ciemniej. Obserwując iglaste drzewa i gęstniejące zarośla, wspominała wczorajszą jazdę na motocyklu i swoje graniczące z paniką przerażenie, kiedy Gannon zatrzymał motor nad przepaścią, której dnem rwał spieniony potok. Uśmiechnęła się na wspomnienie, jak głupio się poczuła, kiedy zamiast się na nią rzucić, pokazał jej zajazd.

Przejechała przez mostek i zaparkowała samochód przed wejściem ocienianym przez wielobarwne jesiony i klony.

Wzniesiony w wiktoriańskim stylu zajazd stał pod samym zboczem góry, na niewielkiej działce. Nad dwuskrzydłowymi drzwiami wejściowymi widniał szeroki balkon, skąpany teraz w ciepłym bursztynowym blasku zachodzącego słońca. Szyld pod nim głosił: „Zajazd Estrade”.

Whitney wysiadła z samochodu i jej zmysły pobudził natychmiast świeży zapach rzecznej flory - aromat, który przywoływał wspomnienia o rzece Hudson, nad którą spędziła dzieciństwo. Były to jej jedyne wspomnienia nie wypełnione lękiem i przerażeniem. Inne starała się odpędzać, zanim jeszcze zdążyły się dobrze rozbudzić.

Przymknęła na chwilę oczy, kilkakrotnie odetchnęła głęboko, a potem zadzwoniła i czekała na otwarcie drzwi, rozkoszując się pięknem okolicy. W rogu po prawej stronie stały trzy wiklinowe fotele i ławeczka, na którą rzucono kolorowe poduszki w kwiaty. Za nimi wisiała na łańcuchach huśtawka, a przy niej stały dwa duże bujane fotele i dziecięcy konik na biegunach. Ten konik przypominał jej, po co tu przyjechała. Westchnęła.

Gdyby wiedziała wczoraj, że zostanie tu dłużej, zameldowałaby się od razu na kilka dni i bagaż zostawiła w pokoju, zamiast się z nim wozić. Drzwi otworzyły się i siwowłosy mężczyzna zaprosił ją do dużej recepcji.

- Proszę za mną, zaraz panią obsłużymy jak należy, młoda damo. - Utykając, ruszył w stronę dużego bibliotecznego stołu pod ścianą. - I damy pani klucz do drzwi frontowych. Mabel stara się jak może, ale zapomina czasem o szczegółach.

Whitney podeszła za nim do stołu. Nigdy w życiu nie tytułowano ją „młodą damą” tak często, jak przez ostatnie dwa dni. I skąd on wiedział, kim ona jest i że wróci?

Mężczyzna założył okulary a la Benjamin Franklin, wpisał coś do książki meldunkowej i podsunął ją Whitney do podpisania.

- Mam na imię John. Wszyscy tutaj mówią mi Johnny. Prowadzimy z żoną, Gretą, ten przybytek - oświadczył z dumą, wypinając pierś.

- Miło mi pana poznać - powiedziała. - Nazywam się Whitney Sheffield.

- Wiem. Rhys już dzwonił, że pani się zjawi i prosił, żeby dać pani jakiś ładny pokój. Mówił, że przyjechała tu pani fotografować.

Cóż, to ją zwalnia od udzielania dalszych wyjaśnień. Poczowała ulgę, chociaż zdziwiło ją trochę, że Rhys Gannon uprzedził właścicieli zajazdu o jej przyjeździe. Do myślenia dawał też fakt, że mężczyzna użył imienia Gannona.

- Żony nie ma w tej chwili - ciągnął przepraszającym tonem Johnny - ale tylko jej patrzeć. Pokażę pani pokój. Gretę będzie pani mogła poznać dopiero jutro na śniadaniu. - Spojrzał na nią znad okularów. - O ile pani nie zaśpi.

- Nie, nie! - Whitney pokręciła głową. - To znaczy tak, będę na śniadaniu. No, przynajmniej zejść na kawę - skorygowała i podała mu kartę kredytową celem sfinalizowania transakcji.

- Zamówienia z pokoju realizujemy między szóstą a dziesiątą rano - recytował właściciel, prowadząc ją na górę. - W pokoju ma pani menu. Wystarczy coś wybrać i zatelefonować.

Puścił do niej oko i uśmiechnął się. Tak ciepło dawno jej nigdzie nie przyjmowano.

Johnny otworzył kluczem drzwi i wpuścił ją do środka, żeby się rozejrzała, a sam wrócił po walizkę. Whitney weszła do przestronnego apartamentu, ale zanim zdążyła się rozejrzeć, usłyszała szmer za plecami. Odwróciła się. W progu stała wysoka kobieta.

Ubrana była w długą czarną suknię z włóczki i kowbojskie buty, na przegubach obu rąk miała srebrne, wysadzone turkusami bransolety. Przyszczyżone na pazia ciemne, przetykane siwizną włosy sięgały podbródka.

- Witaj - pozdrowiła ciepło Whitney i przekroczyła próg. - Jestem Greta. Wróciłam trochę wcześniej i przyszłam się przywitać.



Whitney uścisnęła wyciągniętą rękę kobiety i spojrzała w jej niezwykle lazuruowe oczy.

- Miło mi. Jestem Whitney Sheff...

- Wiem. Witamy w Estrade. - Greta, wciąż się uśmiechając, ruchem troskliwej matki zdjęła z ramienia Whitney kawałek czarnej nici. Ciepło bijące od tej kobiety ogrzewało cały pokój.

- Wystarczy wcisnąć ten czerwony klawisz i połączy się pani z Gretą albo ze mną - poinformował Johnny, wchodząc z walizką do pokoju. - Postaramy się zaspokoić wszystkie pani potrzeby. Gdyby chciała pani zadzwonić gdzieś na zewnątrz, to najpierw trzeba nacisnąć dziewiątkę i dopiero potem wybrać żądany numer.

Whitney zrobiła to, ledwie za Johnnym i Gretą zamknęły się drzwi.

- Albert? Whitney z tej strony. Masz dla mnie coś nowego?

- Cześć, Whit, niepokoiłem się o ciebie. Znalazłaś tego gnojka?

- Tak, znalazłam Gannona. Ale plany uległy pewnym zmianom.

- Zmianom? Jakim?

Whitney opisała mu krótko sytuację i spytała, czy odnalazł już akt urodzenia dziecka.

- Ciężka sprawa, Whitney. W całym okręgu Orange nie ma po nim śladu.

- Cholera, byłam przekonana, że Morgan właśnie tam urodziła małą. I co teraz? Próbowalesz szukać gdzie indziej? - Zamilkła i zastanawiała się przez chwilę, spacerując tam i z powrotem po pokoju. - Spróbuj może w sąsiednich okręgach albo nawet w sąsiednich stanach...

Albert westchnął ciężko.

- Widzisz, łatwiej by mi było, gdybym wiedział, jakiego nazwiska używała twoja siostra, albo chociaż znał jej numer ubezpieczenia społecznego, adres... No, cokolwiek. Trudno trafić na czyjś ślad, kiedy się nie ma ani jednego punktu zaczepienia.

- A nie możesz poszukać w Internecie? Masz tam na wyciągnięcie palca wszelkie informacje.

- Tak - mruknął Albert. - To prawda. Ale żeby wyszperać coś w bazach danych, trzeba najpierw wprowadzić jakieś konkretne fakty, bo bez nich komputer nie wie, czego szukać. Próbowałem już wszystkiego, co mi powiedziałaś, ale Morgan używała zmyślonego nazwiska, a jak już mówiłem, nie znam jej numeru ubezpieczenia. W tych okolicznościach trudno jest ruszyć z miejsca. Zwłaszcza że ostatnie pewne informacje pochodzą sprzed czterech lat, kiedy jeszcze mieszkała w domu.

- Ale Gannoną znalazłeś, a Morgan była z nim. Nie możesz pójść tym tropem?

- Whit... - rzekł Albert i zawiesił głos. Usłyszała w słuchawce jego ciężkie westchnienie. - Wiem, co czujesz. Ale nie robię tego pierwszy raz i wierz mi, próbuję wszystkiego. Niektóre osoby zachowują fragment swojego prawdziwego nazwiska albo przybierają nazwisko krewnych, zdarza się również, że posługują się personaliami kogoś zmarłego. Sprawdzenie tego wszystkiego musi potrwać. Badam też ślad Gannoną, ale za tym trzeba trochę pochodzić, cofnąć się trochę, odszukać ludzi, z którymi mógł wtedy przestawać. To żmudna praca. - Urwał, żeby zaczerpnąć tchu. Z jego głosu przebijała frustracja. - Rozumiesz? Whitney ogarnęło rozczarowanie.

- A mam jeszcze innych klientów... no i, co tu ukrywać, życie prywatne. - Zachichotał, ale kiedy znowu się odezwał, wyczuła w jego głosie troskę. - Chętnie rzuciłbym wszystko i poświęcił się tylko szukaniu tego dziecka, ale to nie takie proste. Rozumiesz?

- Mogę ci podnieść stawkę, jeśli to coś...

- Whit! - przerwał jej. - Dobrze wiesz, że nie o to chodzi. - Po dłuższej chwili milczenia i kolejnym westchnieniu, podjął cicho: - Wierz mi, że robię, co się da. Bądź dobrej myśli, znajdziemy ją. Ale... eee... jeśli poczujesz się lepiej, odbierając mi sprawę i zwracając się do kogoś innego, to...

- Przepraszam - powiedziała. - Masz rację. Wiem, że się starasz. - To nie była wina Alberta, że Morgan udzieliła siostrze tak mało informacji.

Zadzwoiła do Whitney na dzień przed śmiercią, podała nazwisko Rhysa, ostatni znany sobie adres, pod którym mieszkał, a potem zaczęła opowiadać, jakie straszne miała z nim życie. Na koniec podała imię i wiek Sary Jane i kazała Whitney przysiąc, że odnajdzie dziewczynkę i wystara się o prawo do opieki nad nią. To wszystko.

Kuzyn Albert pomagał jej od samego początku, nie wycofał się nawet wtedy, kiedy na policji powiedziano im, że sprawa jest z góry przegrana, bo biologiczny ojciec ma wszelkie prawa do swojego dziecka.

Albert wytropił w końcu Gannona i Whitney była pewna, że akt urodzenia również odnajdzie. Ale nigdzie nie było powiedziane, że ten dokument wniesie cokolwiek do sprawy.

Liczyli na to, że Morgan wpisała do niego swoje prawdziwe nazwisko albo datę urodzenia, albo też miejsce urodzenia, co pomogłoby Whitney dowieść, że jest spokrewniona z siostrzenicą. Najważniejsze

jednak było to, czy Morgan wymieniła tam Gannona jako ojca Sary Jane. Jeśli nie, to ten człowiek nie miałby żadnych praw do dziecka. Żeby dowieść ojcostwa, musiałby przeprowadzić badania DNA albo przedstawić akt małżeństwa.

Adwokat, do którego zwróciła się Whitney, twierdził, że akt urodzenia może zarówno wykluczyć pewne rzeczy, jak też je potwierdzić. Ale bez niego Whitney, jeśli nawet odnajdzie Sarę Jane, nie będzie mogła udowodnić, że jest jej ciotką.

- Naszym najlepszym tropem jest Gannon rzekł Albert. - On wie, gdzie urodziło się dziecko i gdzie teraz jest.

- Tak, wiem, Al. Nie wiem tylko, ile czasu zajmie mi wyciągnięcie od niego tych informacji. Muszę działać powoli, żeby nie wzbudzić jego podejrzeń.

- Na pewno nie chcesz, żebym ja się tym zajął? Whitney westchnęła.

- Znowu zaczynasz od początku? Muszę to zrobić sama, i kropka.

- No dobrze już, dobrze. Ale znasz moje zdanie na ten temat. Mam inne sposoby na zdobycie tych informacji, ale to wymaga czasu. Będę robił, co w mojej mocy, a ty uważaj na siebie. Jesteś pewna, że nic ci nie grozi?

- Całkowicie, Al - odparła, ale jakoś bez przekonania.

- Nie słychać tego w twoim głosie.

- Wydaje ci się. Jestem tylko trochę zmęczona. - Zmęczona i wykończona emocjonalnie. - Posłuchaj, Al. - Wyciągnęła z włosów wsuwkę. - Zanim zacznę, muszę załatwić kilka spraw zawodowych. Jeśli nie uda mi się zrobić tego przez telefon, będę musiała polecieć na parę dni do La Jolli. W razie czego tam możesz mnie łąpać. Dzwon na moją

automatyczną sekretarkę albo pod ten numer... - podyktowała mu numer telefonu kiedy tylko na coś trafisz, dobrze? Będziemy w kontakcie.

- Załatwione. No to na razie, kuzyneczko.

- Aha, Albercie - rzuciła szybko Whitney, zanim zdążył odłożyć słuchawkę.

- Tak?

- Dziękuję ci. Dziękuję za wszystko. Whitney rozłączyła się i spróbowała stłumić frustrację. Od początku wiedziała, że odnalezienie aktu urodzenia dziecka nie będzie proste i że jej niecierpliwość jest nieuzasadniona.

Morgan po odejściu z domu używała kilku nazwisk, dlatego właśnie Whitney tak długo nie mogła wpaść na jej ślad. Szukali jej z Albertem przez cztery lata. Serce się jej ścisnęło. Tak, szukali, ale nie przykładali się należycie do tych poszukiwań.

Zawiodła Morgan. Zawiodła pod każdym względem, choć przyrzekała dbać o młodszą siostrę. Od śmierci Morgan minęły już trzy miesiące, a ją wciąż dręczyły wyrzuty sumienia. Wątpiła, czy kiedykolwiek się ich pozbędzie.

Morgan zadzwoniła do niej tuż przed zażyciem śmiertelnej dawki narkotyku. Zanim Whitney dotarła na miejsce, Morgan już nie żyła. Zostawiła list, w którym prosiła starszą siostrę o dotrzymanie obietnicy złożonej przez telefon. To była jej ostatnia wola.

Teraz kluczem do odnalezienia siostrzenicy jest Gannon. Tylko on wie, gdzie jest mała. Whitney ścisnęło się serce na myśl o losie, jaki przypadł w udziale temu biednemu dziecku. Nastoletnia, wciąż przed czymś uciekająca matka, ojciec narkoman... Wzdrygnęła się na myśl o

tym, jak życie w takich warunkach mogło się odbić na osobowości Sary Jane.

Będzie się starała wynagrodzić to siostrzenicy... dać jej bezpieczny dom, w którym będzie wiedziała, że jest kochana i chciana, dom, którego Whitney i Morgan nigdy nie miały.

Z tą myślą kupiła już dom w La Jolli. Wątpiła, czy jakikolwiek sędzia lub sąd uzna jej segment w Nowym Jorku albo apartament w San Diego za odpowiedni i stabilny dach na głowę dla małego dziecka. Wolą nie ryzykować.

Podniosła znowu słuchawkę i wybrała numer swojego wydawcy. Może uda się nadać realny kształt pomysłowi na album o motocyklach. Praca nad nim zbliżyłaby ją do Gannona i, przy odrobinie szczęścia, do siostrzenicy. Czekaając na połączenie, niecierpliwie bębniła palcami w obudowę aparatu. Po kilku sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka:

- Tu mieszkanie Tanyi Elliot. Proszę zostawić wiadomość.

- Tanyu, mówi Whitney. Przepraszam, że nie zadzwoniłam przed wyjazdem z Nowego Jorku, ale obiecuję, że wszystko ci wyjaśnię. Przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł na nowy album. - Urwała, żeby zebrać myśli. - Wychodzę wcześniej rano, zadzwoń więc do mnie przed ósmą czasu arizońskiego, albo zostaw wiadomość na mojej sekretarce.

Podyktowała numer i rozłączyła się. Stała przez chwilę nieruchomo. Uda się. Musi się udać!

Jeśli przekona Tanyę, która była nie tylko jej wydawcą, ale i najlepszą przyjaciółką, do swojego pomysłu na album, to z większą pewnością siebie stanie znowu przed Gannonem.

Ten album będzie pojazdem, na którym wjedzie w życie Rhysa Gannon. A kiedy odnajdzie już Sarę Jane, przystąpi do ataku.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, Gannon nie będzie nawet wiedział, z której strony padł cios.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Rhys wziął skrzynię biegów i kilka innych części do motocykla, nad którym pracował, i włożył je do pudła, żeby zabrać ze sobą do warsztatu. Obmacał wszystkie kieszenie, szukając kluczy. Co prawda w Estrade nie trzeba było zamykać drzwi, ale on robił to z nawyku. Towar zgromadzony w sklepie jest zbyt cenny, by ryzykować.

Wziął z szafki rysunek techniczny i zwinął go w rulon, uśmiechając się mimowolnie. Zajmował się teraz zupełnie czymś innym niż przez ostatnie dwadzieścia lat, i ileż więcej czerpał z tego satysfakcji!

Wyjął z szuflady klucz francuski i przerzucając go z ręki do ręki, rozejrzał się jeszcze raz po pustym sklepie. Ani jednego klienta w zasięgu wzroku.

Kupując przed rokiem ten lokal, miał pewne plany. Nic specjalnego, po prostu plany, które miały mu pomóc w rozpoczęciu nowego życia. Ale potem proces zaczął pochłaniać coraz więcej czasu i pieniędzy, i jakoś nie mógł ruszyć z tymi planami z miejsca.

Prychnął. Nie ma sensu myśleć o czymś, czego nie można zmienić. Zdobędzie jakoś pieniądze. Wrzucił klucz do pudła, podniósł słuchawkę telefonu i wduślił przycisk automatycznego wybierania numeru.

- Cześć, to ja. Co tam słyhać u mojej dziewczynki? Bawi się lalkami? Wszystkimi naraz? -Uśmiechnął się czule.

Sara Jane jest bezpieczna i szczęśliwa. Przynajmniej od tej strony coś się w jego życiu ułożyło. A ponieważ uważał tę stronę za najważniejszą, nie dopuści, by coś ten stan rzeczy zburzyło.



- Nie, nie dzwoniłem do tej fotografki. Może wróci, może nie. Dla mnie to bez różnicy.

Westchnął.

- Jesteś niemożliwa, wiesz? - powiedział z udawanym oburzeniem. - Poza tym mam już czterdziestkę na karku. Myślę, że potrafię sobie ułożyć życie osobiste. - Zawiesił głos. - Chociaż do tej pory nie bardzo mi to wychodziło - dorzucił.

Słuchał przez chwilę.

- Tak, będę o zwykłej porze. Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się do oprawionej w ramki fotografii Sary Jane, którą postawił z powrotem na biurku. Złote loki dziewczynki przypomniały mu blondynkę, która pojawiła się nie wiadomo skąd i o której myślał teraz więcej, niżby sobie tego życzył.

W tej chwili nie potrzebował w swoim życiu kobiety. A kiedy, i jeśli w ogóle, będzie jej potrzebował, to z pewnością nie takiej jak Whitney Sheffield. Damulki w jej rodzaju wybił sobie z głowy raz na zawsze.

Ale z jej strony nic mu już raczej nie groziło. Powiedziała, że ma coś do załatwienia w Kalifornii i wróci najdalej za dwa dni, a mijał już trzeci. Pewnie machnęła na niego ręką, co wcale by go nie zdziwiło. To jest typowe dla takich zapatrzonych w siebie, urodzonych w czepku egoistek. Jak Stephanie.

Zresztą nie zachęcał jej do powrotu.

Zdecydowanym ruchem wziął pudło pod pachę. Najlepszy sposób na wyrzucenie z myśli Whitney Sheffield to ciężka praca.

- Halo, jest tu kto?

Whitney, pchnąwszy dwuskrzydłowe drzwi, weszła do recepcji. Nie słysząc odpowiedzi, wygrzebała z torebki klucz od swojego pokoju. Jeśli Greta i Johnny gdzieś się tu kręcą, to zorientują się, że wróciła, widząc jej samochód przed wejściem. Resztę bagażu wtaszczy na górę później.

Wbiegła na piętro i ruszyła do swojego pokoju. Rzuciła na fotel torbę z aparatem i podeszła do okna. W nozdrza uderzył ją zapach świeżych kwiatów. Na stoliczku przy łóżku stał szklany wazonik ze stokrotkami.

To na pewno Greta, pomyślała, pochylając się, by dotknąć palcem ażurowej serwetki podłożonej pod wazonik. Ktoś zapukał delikatnie do drzwi.

- Tak?! - zawołała. - Proszę wejść.

Drzwi uchyliły się i do pokoju wsunęła się pogodna twarz Johnny'ego.

- Witamy z powrotem. Przyszedłem zapytać, czy nie pomóc pani wnieść bagażu - powiedział, stając w progu.

- O, dzień dobry. Myślałam, że państwa nie ma. - Whitney ujęło to ciepłe powitanie. - I owszem, jeśli pan tak uprzejmy. W bagażniku są tylko dwie torby. - Wręczyła mu kluczyki od samochodu. - Nigdy nie podróżuję obładowana.

- Wiem, wiem. Wszyscy tak mówią - zażartował Johnny i ruszył w kierunku schodów.

Whitney usłyszała śmiech za oknem, ale kiedy wyjrzała, nikogo nie zobaczyła. Johnny wrócił po minucie.

- Proszę, młoda damo - powiedział, stawiając torby na podłodze obok szafy. Otrzeptał ręce i odwrócił się, by wyjść.

Whitney odprowadziła go do drzwi.

- Macie jakichś gości poza mną? - spytała, wskazując na okno. - Słyszałam czyjeś głosy.

Johnny rozpromienił się.

- Nie. To pewnie głos naszej wnuczki. Zabieramy ją do siebie na większą część dnia. Zejdzie pani dziś wieczorem na kolację? - Uniósł pytająco szpakowate brwi. - Moja żona Greta jest najlepszą kucharką w mieście.

- Ciekawe, Charley mówił mi to samo o Mabel - zażartowała Whitney i dodała: - Ale mam jeszcze w ustach smak tych pasztecików, które tu jadłam kilka dni temu, i nie musi mnie pan przekonywać o jej kulinarnych talentach. O której ta kolacja? O siódmej?

- Tak. - Johnny zatrzymał się za progiem. - Jeśli zdecyduje się pani przyjść, to proszę dać Grecie znać najpóźniej o szóstej, żeby- zdążyła przygotować coś smacznego.

Whitney, rada z zaproszenia, uśmiechnęła się.

- To nie będzie konieczne. Już się zdecydowałam. Przyjdę na pewno.

Tak jej było pilno znaleźć się z powrotem w Estrade, że po drodze z lotniska w Phoenix nie zatrzymała się nawet, żeby coś przekąsić. Umierała teraz z głodu, ale chciała jeszcze wpaść do sklepu i ustalić z Rhysem jakiś harmonogram zajęć. Może przy okazji zrobi parę zdjęć.

Na pewno sfotografuje samego Rhysa. Zdziwiłby się, gdyby tego nie zrobiła, bo przecież w tym właśnie celu przyjechała rzekomo do Estrade. A poza tym, chociaż była do tego człowieka wrogo nastawioną, musiała przyznać, że jest wspaniałym obiektem dla fotografa. Nie dało się temu zaprzeczyć.

Nawet bez stroju motocyklisty miał w sobie coś z Jamesa Deana, jakąś ukrytą, tłącą się tuż pod powierzchnią buntowniczość. Właśnie to, jej zdaniem, czyniło go tak interesującym. Z fotograficznego punktu widzenia, ma się rozumieć. I jeśli uda jej się uchwycić to coś na kliszy...

Kiedy podjeżdżała pod sklep, słońce stało już nisko i fasada, obłana światłem koloru miedzi, przywodziła na myśl pożółkłą ze starości fotografię. Whitney wysiadła z samochodu i pstryknęła kilka klitek z różnych ujęć.

W trakcie tej sesji w drzwiach sklepu stanął Rhys. Oparł się ramieniem o framugę drzwi. Miał na sobie wypłowiałe džinsy i czarną bawełnianą koszulkę z krótkimi rękawkami.

Idealnie.

Podniecenie Whitney wzrosło. Zawsze tak się działo, kiedy przystępowała do pracy nad nowym zleceniem. Ruszyła wolnym krokiem wzdłuż fasady sklepu, naciskając raz po raz spust migawki. Starła się uchwycić jak najwięcej, zanim zmienią się warunki oświetlenia albo Rhys wycofa z powrotem do sklepu.

Rhys, nie zwracając na nią uwagi, wyjął z kieszonki koszulki cygaretkę i przypalając ją, odwrócił się w stronę Whitney.

O, tak. Znowu idealnie. Głowa zwieszona, kosmyk czarnych włosów opadający na czoło, ciemne, zamyślane oczy, silnie zarysowany podbródek. Smużka dymu unosząca się z cienkiego papierosa.

Pochłonięta tym, co widzi w wizjerze, drgnęła zaskoczona, kiedy Rhys spojrzał na nią wreszcie i kiwnął głową.

Opuściła aparat i podeszła.

- Cześć.

Patrzył na nią przez chwilę, potem znowu zaciągnął się dymem.

- Idealne oświetlenie - powiedziała tonem usprawiedliwienia i weszła na schodki.

Nie drgnął nawet. Wciąż na nią patrzył. Nieswojo się czuła pod tym spojrzeniem.

- Wszędzie go ze sobąnosisz? - spytał, kiedy stanęła obok niego. Głos miał jakby głębszy, bardziej schrypnięty, niż go zapamiętała.

- Zazwyczaj. Dobry fotograf musi być zawsze przygotowany. Coś pięknego. - Pokazała na zachodzące słońce, a potem dodała: - Palenie szkodzi.

Zaciągnął się jeszcze raz, wydmuchnął dym, zerknął na rozżarzony koniec cygaretki i wrzucił ją do pojemnika na śmieci przy drzwiach.

- Wiem. - Szerokim gestem zaprosił ją do środka.

Przekraczając próg, poczuła zapach nowej skóry.

- Chodźmy do biura - mruknął, wchodząc za nią do sklepu. - Porozmawiamy. - Ruszył przodem.

Wyczuła w jego zachowaniu jakiś dystans. Znowu zaczynała ogarniać ją panika. Czyżby się rozmyślił? Czyżby doszedł do wniosku, że coś mu z jej strony zagraża?

Nalała sobie wody mineralnej do papierowego kubka i usiadła na krześle przed biurkiem. Rhys opadł na swój fotel, odchylił się na oparcie i wbił wzrok w blat.

- Przed kilkoma dniami rozmawialiśmy o ewentualnym podjęciu przez ciebie pracy tutaj - zaczął, dobierając starannie słowa.

Cholera. Czuła, że zaraz usłyszy odpowiedź odmowną. Miał dużo czasu do namysłu i teraz chce pewnie renegocjować umowę, jaką zawarli.

- Pracy w zamian za możliwość zbierania informacji i materiałów - skorygowała szybko, starając się skierować na inne tory rozmowę, która mogła zrujnować jej plany, zanim jeszcze zaczęła wprowadzać je w czyn. - No i za możliwość pobierania nauk u eksperta.

Wyraz jego twarzy nie zmienił się, natomiast oczu owszem. Pojawiła się w nich mieszanina czujności i... pożądania.

Efekt był piorunujący. Ten człowiek, z czysto fotograficznej perspektywy, roztaczał wokół siebie jakąś mroczną aurę niebezpiecznej, zniewalającej zmysłowości z rodzaju tych, które rzucają kobiety na kolana. Kobiety takie jak Morgan.

Ale ona, Whitney, jest na takie rzeczy odporna.

Obawiała się tylko, żeby nie przejrzał jej zamiarów. Musi być miła, układna, być może nawet zachowywać się niezgodnie ze swoją naturą. Ale jeśli tak trzeba, żeby ratować siostrzenicę, to trudno.

- Wyczyściłam swoje sprawy zawodowe. Całkowicie. Jestem teraz wolna. - Chyba nie zawadzi wziąć go trochę pod włos. - I nie marnowałam w Kalifornii czasu. Wyszperałam w Internecie trochę informacji o motocyklach. Muszę przyznać, że mnie wciągnęło. - Oparła się łokciem o biurko w nadziei, że zdoła go sprowokować do rozmowy i oddali w ten sposób groźbę odprawienia z kwitkiem. - Ale wielu rzeczy jeszcze nie rozumiem.

Posłała mu cielejące spojrzenie studentki college'u podziwiającej swojego profesora.

- Możesz mi wyjaśnić, co sprawia, że wybiera się akurat ten motor, a nie inny? Weźmy motocykl, którym przed paroma dniami mnie wiozłeś. Dlaczego jeździsz na takim, mimo że nie jest nawet w przybliżeniu tak

wygodny, jak ten... no... Wielki Bliźniak? - Boże, co ona za idiotyzmy wygaduje?

- Wielki Bliźniak? - spytał z ironicznym uśmiechem.

Nie tylko wygadwała idiotyzmy, ale i czuła się jak ostatnia idiotka. Brnęła jednak dalej:

- Na tak, bo... - wzięła leżący na biurku długopis i zaczęła go obracać w palcach - bo czyż komfort jazdy na mniejszym motocyklu, dajmy na to na takim jak twój sportster, nie jest mniejszy?

Rhys uśmiechał się teraz od ucha do ucha i spoglądał na nią kpiąco.

- Niewygodnie ci się jechało? Nie odniosłem takiego wrażenia.

Fala gorąca rozlała się jej po policzkach. Poprawiła się na krześle, założyła nogę na nogę. Dlaczego tak ją peszą te jego głupie komentarze?

No nic, musi to ciągnąć dalej. Odchyliła się na oparcie krzesła, przygładziła dłonią włosy, upchnęła niesforne pasemko pod wsuwkę i spojrzała mu odważnie w oczy.

- Jechało mi się dobrze - powiedziała cicho -przynajmniej w tamtą stronę.

Posłał jej porozumiewawczy uśmiezek. Odwzajemniła mu się tym samym, nie mogła się powstrzymać. Nie da mu się wyprowadzić z równowagi.

- I bardzo mi się podobało. Zastanawiam się tylko, dlaczego wybrałeś akurat ten motor.

Obserwując go, zauważyła, że rozbawienie na jego twarzy ustępuje powoli miejsca zainteresowaniu.

- Z wielu powodów - rzekł w końcu. - Pierwszym jest przydatność do wyścigów. Mniejsze, lżejsze motocykle, takie jak mój sportster, lepiej się

w nich spisują. - Wskazał na drzwi prowadzące na zaplecze. - Ale ja nie dlatego na takim jeżdżę.

- A dlaczego?

- Kolekcjonuję stare motocykle. Ich wartość z roku na rok rośnie. A poza tym lubię maszyny dynamiczne, a ta właśnie taka jest. - Uśmiechnął się. - Dynamika to jedna z cech, które cenię sobie najwyżej.

- Ja jednak wolę maszyny duże. Uniósł brwi.

- Taką też mam. - Potarł dłonią brodę. - Mogę cię przewieźć.

Będziesz miała okazję ocenić, na jakiej czujesz się lepiej.

Whitney pochyliła się, podparła ręką brodę i przywołała z pamięci strzępy informacji ściągniętych z Internetu.

- Masz... grubasa? HOG-a?

Rhys odrzucił w tył głowę i parsknął śmiechem.

- Tak, mam harleya. Większość moich motorów to harleye. - Wstał, wziął ze stolika pod oknem jakieś czasopismo i wręczył je Whitney.

Wskazując na tytuł, powiedział: - A HOG to czasopismo, nie motocykl. W rozwinięciu Harley Owners' Group, Klub Właścicieli Harleyów.

Uśmiechnął się znowu tym oślepiająco białym uśmiechem.

- Wiedziałam - bąknęła. - To był tylko test. Zamierzałam sprawdzić, czy orientujesz się w temacie. - Uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Tak - powiedział, uderzając w mentorski ton. - Widzę, że trzeba trochę uporządkować twoje wiadomości. - Dał jej gestem ręki do zrozumienia, że ma się przysunąć z krzesłem do jego fotela, a potem wziął z półki kilka książek i spojrzał jej w oczy. - Zacznijmy od rzeczy podstawowych.



Whitney, odświeżywszy się przed kolacją, włożyła granatowy golf i dzinsową koszulę. W głowie huczało jej jeszcze od informacji, którymi zasypał ją Rhys, ale przynajmniej wyglądało na to, że lody zostały przełamane.

Rhys uznał, że Whitney poważnie podchodzi do swojej pracy, a na motocyklach znał się jak mało kto. Powiedział, że zaczął na nich jeździć w wieku piętnastu lat i ma ich w swojej kolekcji dziesiątki. Zapytała natychmiast, kiedy będzie je mogła sfotografować, lecz on ostudził jej zapał. No nic, odczeka trochę i spróbuje jeszcze raz.

Rozejrzała się po pokoju.

W czasie jej nieobecności posprzątano tutaj i posłano łóżko. Była zachwycona gościnnością gospodarzy. Mieszkała w ich zajeździe od paru zaledwie dni, a już czuła się tu jak członek rodziny. Może kiedy będzie już po wszystkim...

Przestań! Jeśli odnajdzie Sarę Jane i uzyska prawo do opieki nad nią, zapewne nigdy już nie wróci do Estrade.

Z zewnątrz dobiegły ją czyjeś głosy. Whitney podeszła w samych pończochach do okna. I tym razem nikogo nie zobaczyła, bo rozmowa toczyła się na zadaszonej werandzie. Usiadła po turecku na ławeczce pod oknem i sięgnęła po słuchawkę.

Wybrała numer pagera Alberta. Musiała mu powiedzieć, czego się dzisiaj dowiedziała, żeby mógł to ewentualnie wykorzystać przy poszukiwaniu aktu urodzenia Sary Jane. Zostawiła mu swój numer, po czym zatelefonowała do Tanyi.

- No nareszcie, mój wydawco. Strasznie trudno cię złapać.

- Dziwisz się? Spróbuj mieć tylu gorących kochanków co ja, to sama zobaczysz - zażartowała Tanya. - Gdzie ty jesteś? I z czym się tak do mnie dobijasz?

Whitney zawahała się. Nie bardzo wiedziała, jak zagać rozmowę.

- Zostawiłaś mi na sekretarce wiadomość, że masz pomysł na nowy album - podpowiedziała Tanya.

- Tak, o motocyklach. Album z motocyklami.

- Moto... Chwila, przepraszam cię, coś chyba nie tak z moim telefonem.

Whitney usłyszała w słuchawce głuchoe postukiwanie, tak jakby Tanya klepała obudowę aparatu.

- No, teraz powinno być lepiej - podjęła po chwili przyjaciółka. - Dałabym sobie głowę uciąć, że słyszę, jak mówisz, że chcesz robić album o motocyklach.

Whitney roześmiała się. Tanya miała autentyczne poczucie humoru, które, jak twierdziła, wyniosła ze swojego mieszanego włosko-żydowskiego domu rodzinnego.

- I dobrze słyszałaś. O motocyklach - potwierdziła Whitney i przedstawiła jej w paru słowach swoją koncepcję. - Ale to dopiero wstępny projekt. Trzeba jeszcze nad nim sporo popracować i zanim zacznę, chciałam się zorientować, czy byłabyś tym zainteresowana.

Milczenie Tanyi sugerowało, że pomysł przypadł jej do gustu, a przynajmniej ją zafrapował. Kiedy coś jej się nie podobało, mówiła to od razu.

- Poza tym byłaby to dobra odskocznia po tym, co zwykle robię.

- Jest jakiś szczególny powód, dla którego chcesz fotografować akurat motocykle?

- Nie tylko motocykle - wyjaśniła Whitney. - Chcę również pokazać ludzi, którzy na nich jeżdżą, gdzie jeżdżą, co robią... Rozumiesz, całą tę otoczkę.

- Sprawdzałaś może, czy ktoś już czegoś takiego nie robi? - W Tanyi odezwał się wydawca.

- Tak, ale jak mówiłam, trzeba by było jeszcze sporo nad tym popracować.

Whitney urwała. Nie mogła się zdecydować, na ile może być szczerą z przyjaciółką. Od czasów college'u, kiedy to dzieliły jeden pokój, Tanya wiedziała o niej niemal wszystko. Wiedziała o Morgan i o tym, że Whitney stara się teraz ustalić miejsce pobytu siostrzenicy. Ale Whitney nie była pewna, czy chce jej wyjawiać, jaką rolę ma w tym wszystkim odgrywać album. Jeszcze na to za wcześnie.

- Zamierzam posiedzieć trochę w Arizonie i poznać temat, praktykując w sklepie motocyklowym, który nazywa się „Na Szlaku”. Dogadałam się już z właścicielem.

- Musiało cię ponieść aż do Arizony? Nie ma takich miejsc w południowej Kalifornii? Tam, gdzie ostatnio kupiłaś dom?

Tanya najwyraźniej węszyła pismo nosem. Za dobrze się znały, żeby nie wyczuła, że coś tu się święci. Ale Whitney zdecydowała, że na razie nic jej jeszcze nie powie.

- Polecono mi Estrade, wybrałam się więc na rekonesans i spodobało mi się.

Znowu chwila milczenia.

- I czego ode mnie oczekujesz? Carte blanche, żeby mieć dobry pretekst do prowadzenia się z tym motocyklistą?

- Tanyu! To tylko praca. A zresztą wiesz, że nigdy nie pociągały mnie typy macho.

W słuchawce rozległ się śmiech przyjaciółki.

- Może powinnaś to jeszcze raz rozważyć. Trochę macho mogłoby ci wyjść na zdrowie.

Whitney też się roześmiała.

- Zważywszy moje dotychczasowe szczęście do mężczyzn, nic gorszego nie może mi się już przytrafić.

Miała za sobą trzy nieudane związki. Nie dało się ukryć, nie znała się na mężczyznach, wybierała zawsze takich, którym bardziej niż na niej zależało na pieniądzach albo popularności, jaką mógł im przynieść ten związek. Brock był najlepszym tego przykładem. Może Tanya miała rację, kiedy żartowała, że podświadomie gustuje w niewłaściwych mężczyznach, bo nie chce wiązać się z nikim na stałe.

- Poza tym trochę odpoczynku na świeżym powietrzu też by mi dobrze zrobiło - dodała Whitney.

- No dobrze. Dość żartów - ucięła Tanya. - Motocykle, powiadasz. Kiedy dostanę konkretny projekt? I kiedy wracasz do Nowego Jorku?

- Niedługo... żeby sprzedać segment. - Whitney spodziewała się okrzyku oburzenia, ale w słuchawce zaległa cisza.

- To konieczne, Tanyu. Jeśli mam wychowywać Sarę Jane, muszę osiąść gdzieś na stałe.

Nadal cisza.

- Daj spokój, Tanyu. Postaw się w mojej sytuacji. Wiele o tym myślałam. La Jolla to lepsze miejsce do wychowywania dziecka niż Manhattan.

Whitney przygotowała się na protesty. Była jedną z nielicznych przyjaciółek Tanyi i wiedziała, że ta boleśnie odczuje jej wyprowadzkę z Nowego Jorku.

- Czy ty aby nie stawiasz wozu przed koniem? - odezwała się w końcu Tanya. - Nie chcę krakać, ale co będzie, jeśli nie odnajdziesz swojej siostrzenicy? Albo jeszcze gorzej, odnajdziesz ją, ale nie uzyskasz prawa do opieki?

Whitney wzięła głęboki oddech.

- Jestem już na tropie. A mój adwokat mówi, że z uzyskaniem prawa do opieki nie powinno być większych problemów. Wystarczy wykazać, że ojciec nie jest w stanie zapewnić dziecku należytych warunków rozwoju, co nie powinno być specjalnie trudne, bo to, oględnie mówiąc, bardzo nieciekawy facet.

- Nawiązujesz do tego, co ci powiedziała siostra?

- Naturalnie. I do tego, co ustalił Albert.

- Jaki Albert?

- Mój kuzyn. Jest prywatnym detektywem i pomaga mi w poszukiwaniach.

- Rozumiem. A jeśli mimo wszystko sąd nie przyzna ci prawa do opieki? Trzeba to brać pod uwagę. - Tanya zniżyła głos. - Bawię się w adwokata diabła, bo nie chcę, żebyś robiła sobie wielkie nadzieje, a później gorzko się rozczarowała.

- Taka możliwość zawsze istnieje - przyznała Whitney. Wiedziała, że Tanya ma na uwadze tylko jej dobro. - Na razie chcę to rozgrywać powoli, krok po kroku.

- No właśnie. I radzę ci nie pozbywać się tego nowojorskiego mieszkania, dopóki nie wiesz, jaki będzie twój następny krok.

Whitney już to wiedziała. Chciała - nie, musiała - tak uporządkować swoje życie, by nie było najmniejszych wątpliwości, że jest w stanie zapewnić siostrzenicy opiekę.

- Możesz spać spokojnie. Nie zamierzam robić czegokolwiek na łapu-capu. Mam jeszcze na głowie inne sprawy, a jedną z nich jest ruszenie z miejsca z tym albumem.

- Wiesz, zastanawia mnie ta twoja nagła fascynacja motocyklami - oznajmiła Tanya z melodramatycznym westchnieniem. - Porwałeś się z takim zapałem na tyle rzeczy naraz: szukanie siostrzenicy, starania o odebranie małej ojcu, i w ogóle, a teraz, jakby jeszcze ci było mało, zamierzasz ni z tego, ni z owego zadać się z bandą motocyklistów? Przyznasz chyba, że trochę to dziwne.

- To skomplikowana sprawa, Tanyu. Zbyt skomplikowana, żeby w nią teraz wnikać. Ale obiecuję, że przy pierwszej sposobności wszystko ci wyjaśnię.

Ta rozmowa dała Whitney do myślenia. Dzisiaj tak się starała uwiarygodnić w oczach Rhysa, że zasypując go mnóstwem fachowych pytań, zapomniała zupełnie o innych informacjach, które miała przecież od niego wydobyć. Uświadomiła to sobie dopiero wtedy, kiedy sam wspomniał, że do Estrade przybył zaledwie rok wcześniej, a przedtem mieszkał w Chicago.

Napomknął również, że był kiedyś żonaty i że ma z tego małżeństwa jedno dziecko, a zaraz potem stracił humor i zamknął się w sobie. Whitney miała nadzieję, że nie było to małżeństwo z Morgan, a dzieckiem nie jest Sara Jane, bo wtedy uzyskanie prawa do opieki nad małą byłoby o wiele trudniejsze.

Potrzebowała niezbitego dowodu, że Rhys jest niezdolny do wychowywania dziecka, a po dzisiejszej z nim rozmowie obudziła się w niej obawa, że udowodnienie tego nie będzie takie proste. Na pewno nie był narkomanem. Miała znajomych, którzy brali i potrafiła rozpoznać takich ludzi.

No dobrze, i o czym by to świadczyło? Mógł przecież wyrwać się z nałogu i zająć handlem narkotykami, wykorzystując w charakterze przykrywki sklep motocyklowy.

Tak, ale sklep sprawiał wrażenie całkiem normalnego i nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłoby być inaczej. Nie mogła też jakoś dopasować

Rhysa do osoby, którą opisała jej Morgan. Poza tym, że był czarujący, przystojny i seksowny. Pod tymi względami pasował idealnie do opisu Morgan. A co z całą resztą?

Whitney usłyszała znowu głosy na zewnątrz i przyłożyła czoło do okiennej ramy. Z dołu dolatywał dziecięcy śmiech. To pewnie wnuczka Johnny'ego i Grety.

Zadzwoił telefon. To Albert odpowiadał na przesłaną na pager prośbę o kontakt. Przekazała mu wszystko, czego się ostatnio dowiedziała. Albert obiecał, że pójdzie tym tropem i poszuka aktu urodzenia w Chicago. A potem zaczął się znowu dopytywać, kiedy pojawi się wreszcie w La Jolli.

Słyszając znowu śmiech dziecka, Whitney rozchyliła koronkowe firanki i zobaczyła szkraba w niebieskiej kurteczce z kapturkiem, bawiącego się przed domem z Johnnym i Gretą w kółko graniaste. Serce się jej ścisnęło na myśl, że Sara Jane jest prawdopodobnie w tym samym wieku. Puściła firankę rozczulona tą ciepłą rodzinną scenką.

Już niedługo, pomyślała. Wkrótce ona też zatańczy radośnie przed domem z Sarą Jane. Szkoda tylko, że dziewczynka nie będzie miała takich kochających dziadków jak Johnny i Greta. Nie wolno dopuścić, by starzy Sheffieldowie zniszczyli jeszcze jedno życie.

- Nie mogę sfinalizować przeprowadzki do Kalifornii, dopóki nie skończę tego, co zaczęłam, Albercie, albo dopóki nie będę pewna, że tutaj nie mam już nic do roboty. Teraz za wcześnie o tym mówić.

- Posłuchaj, Whitney. Płacisz mi za prowadzenie dochodzenia. Może pozwolisz, że będę to robił po swojemu? Byłoby ci łatwiej.

- Płacę ci za zbieranie informacji, Albercie. A skoro już mowa o informacjach, to masz dla mnie coś nowego?

Zdawała sobie sprawę, że jeśli nawet odnajdzie siostrzenicę, to Rhys tak łatwo jej nie odda. Trzeba też było brać pod uwagę reakcję Sary Jane. Jak się zachowa, kiedy zorientuje się, że chce ją zabrać ktoś obcy?

Whitney aż za dobrze wiedziała, że nawet maltretowane, zaniedbywane dzieci szukają miłości u swoich naturalnych rodziców - przynajmniej do czasu, kiedy dorosną i zrozumieją, że jej u nich nie znajdą.

Tak, problemów było więcej, niżby się z pozoru wydawało, i przekona się o tym na własnej skórze, kiedy odnajdzie siostrzenicę.

W słuchawce telefonu rozległo się ciężkie westchnienie Alberta.



- No dobrze. O tym, że Gannon przed przeprowadzką do Arizony mieszkał w Kalifornii, już wiesz. Z tym Chicago chyba kłamie, albo bawił tam tylko przelotnie. Jeśli chodzi o nowości, to ostatnio dowiedziałem się od jego byłych kumpli, że żył przez rok, a może i dłużej, z młodą dziewczyną, która miała na imię Isabelle.

- Morgan nazywała tak swoją ulubioną lalkę - wyszeptała Whitney, przykrywając oczy. - Mów dalej.

Jeśli chce zdobyć zaufanie Rhysa, musi o nim wiedzieć jak najwięcej. Jeśli Rhys nie trzyma dziecka w Estrade, jeśli podrzucił je jakimś swoim znajomkom albo krewnym, albo nie daj Boże oddał małą do adopcji, to muszą zdobyć wskazówkę, gdzie jej szukać.

Z tego, co ustalił Albert, wynikało, że Rhys i Morgan - Whitney była przekonana, że dziewczyna imieniem Isabelle to Morgan - wiedli życie nomadów, nigdzie nie zagrzali dłużej miejsca, utrzymywali się z detalicznego handlu narkotykami. Podobno Morgan brała tylko okazjonalnie, za to Rhys był narkomanem „całą gębą”.

Interes kręcił się nieźle, ale całe zyski pochłaniał jego nałóg. Kiedy krucho robiło się z pieniędzmi, Rhys sprzedawał usługi swojej dziewczyny, komu popadło.

Whitney słuchała tego ze ściśniętym sercem. Jak można było upaść tak nisko. Na szczęście po zajściu w ciążę Morgan zerwała zarówno z narkotykami, jak i z alkoholem. Informator Alberta twierdził, że bardzo chciała zmienić tryb życia, założyć normalną rodzinę, i naciskała na Rhysa, żeby poddał się kuracji odwykowej. Kiedy kazał jej iść do diabła, zostawiła go i zniknęła.

- Od tamtej chwili ślad się urywa - ciągnął Albert - ale Morgan musiała utrzymywać z nim jednak jakieś kontakty, bo inaczej skąd by wiedział, gdzie szukać jej i dziecka.

Whitney krtań miała tak ściśniętą, że nie była w stanie wykrztusić słowa. Głos Alberta docierał do niej jakby zza grubej kurtyny. To, co mówił o pożyciu Morgan z Rhysem, przyprawiało ją o mdłości. Nie mogła sobie darować, że nie pośpieszyła młodszej siostrze z pomocą. Boże, była temu tak samo winna jak rodzice. I nic tej winy nie zmaże.

- Dziękuję ci, Albercie - powiedziała w końcu. - Dobrze się spisałeś.  
- Wiele jeszcze pytań pozostawało bez odpowiedzi, ale najpierw musi posegregować to, co już wie, oddzielić fakty od domysłów i hipotez.

Skoro Albert, zaczynając praktycznie od zera, nie miał większych trudności z ustaleniem aktualnego miejsca pobytu Rhysa, to dlaczego Morgan się to nie udało? Czy ona w ogóle próbowała odzyskać dziecko? I dlaczego dopiero przed samą śmiercią wyznała Whitney, że je ma?

Whitney zobaczyła za oknem światła reflektorów. Odchyliła nieco firankę. Obok Johnny'ego,

Grety i ich wnuczki zatrzymał się ciemnozielony jeep. Drzwiczki otworzyły się i mała rzuciła się na szyję... Rhysa Gannona?

Do licha! Co on tu robi? Whitney ogarnął niepokój. Czyżby ją przejrzał? A może przyjechał tylko z wizytą do Johnny'ego i Grety.

Rhys zakręcił się z dzieckiem w kółko i małej zsunął się z głowy kapturek. Na widok kaskady złotych pukli, które rozsypały się po plecach dziewczynki, Whitney zabiło żywiej serce. Przycisnęła czoło do szyby i wyteżyła wzrok.

Rhys wprost promieniał. Trzymając wciąż małą na rękach, pochylił się i cmoknął w policzek najpierw Grete, a potem Johnny'ego.

- O Boże! - szepnęła Whitney. Słuchawka wysunęła się jej z ręki.

- Whitney, jesteś tam? Halo? Whitney? Halo!

W ustach miała sucho, dudnienie w uszach zagłuszało wszystkie dźwięki. Patrzyła oniemiała, jak Rhys sadza dziewczynkę na tylnym siedzeniu, zapina jej pas bezpieczeństwa i całuje w czubek główki.

Zanim zdążyła otrząsnąć się z szoku, Rhys zatrzaskał drzwi, wsiadł za kierownicę i odjechał.

- Halo, Whitney?! - wołał wciąż Albert. - Jesteś tam? Whitney?



## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Pomóc w czymś? - Whitney cisnęło się na usta tysiące pytań. Całą siłą woli starała się opanować podniecenie, w jakie wprawiło ją dokonane przed chwilą odkrycie.

- Dziękujemy - powiedział Johnny. - Goście nie są od pomagania. Usiądź sobie gdzieś i spokojnie czekaj. Kolacja będzie zaraz gotowa. Kocktajle wypijemy w salonie.

Whitney przyglądała się gospodarzowi. Nic dziwnego, że Johnny wydawał jej się jakiś znajomy. Przecież to oczywiste. Jak mogła sobie tego dotąd nie skojarzyć?

Skoro ta dziewczynka była wnuczką Greta i Johnny'ego, to Rhys jest ich synem. Że też ona, taka bystra obserwatorka, od razu tego nie zauważyła.

Obaj mężczyźni byli wysocy, podobnie zbudowani, z tym że Johnny ustępował Rhysowi muskulaturą. No i Johnny miał zmarszczki wokół ust i oczu. O dziwo, te zmarszczki nadawały jego twarzy wyraz szczęścia. Za trzydzieści lat Rhys będzie wyglądał bardzo podobnie.

W jednej chwili wszystkie elementy układanki trafiły na swoje miejsca. I jednocześnie pojawiły się nowe pytania. Whitney rozboleła głowa, kiedy próbowała to wszystko uporządkować. Jak to możliwe, że tacy uroczy ludzie jak Greta i Johnny wychowali takiego wyrodnego syna jak Rhys? Jak to się stało, że ich dziecko tak się stoczyło? Boże, ona oddałaby za takich rodziców wszystko, co odziedziczyła.

Ale najważniejsze, że odnalazła wreszcie swoją siostrzenicę. Tylko to się teraz liczyło.

Na myśl o Sarze Jane zalała ją nowa fala podniecenia. Naprawdę ją odnalazła! Śliczna dziewczynka, którą obserwowała przez okno, była Sarą Jane. Córeczką Morgan.

Pijana swoim odkryciem Whitney przeszła do pokoju gościnnego i usiadła w jednym z dwóch głębokich foteli. Ta mała była tu cały czas, tuż pod jej nosem. Wierzyć jej się nie chciało. W tym momencie Johnny wprowadził do pokoju jakąś kobietę i mężczyznę.

- Przedstawiam wam Whitney Sheffield - powiedział. - Whitney, to państwo Blaelow.

- Carl i Helen - dodał korpulentny mężczyzna, kiedy Whitney podniosła się z wyciągniętą ręką z fotela. - Proszę nam mówić Carl i Helen. - Uśmiech rozjaśnił jego twarz.

Whitney ogarnęło rozczarowanie. Tyle miała pytań, ale nie będzie ich przecież zadawała przy obcych. Oczy i podstawa czaszki pulsowały jej tęnym bólem. Rozpamiętując wciąż złożoność sytuacji, potarła dłonią tył głowy.

- Miło mi was poznać - mruknęła, ściskając rękę Helen, a potem Carla.

Johnny przeprosił ich i wrócił do kuchni. Carl zaczął opowiadać o podróży, którą odbyli z Helen. Whitney słuchała go jednym uchem.

- Chardonnay? - Johnny wrócił z wielką tacą przekąsek i z winem. Postawił to wszystko na stoliku. - Czy może merlot?

- Ja poprosiłabym raczej o dwie aspiryny - powiedziała Whitney, wstając. - Chyba opuszczę przekąski i położę się na chwilę. Wrócę na samą kolację.

Wchodząc po schodach na górę, podejrzewała, że nie uleży ani chwili. Zbyt wiele pytań nie dawało jej spokoju.

Nie mogła się doczekać, kiedy pozna na nie odpowiedzi. Odkrycie, że Greta i Johnny są rodzicami Rhysa, wytrąciło ją zupełnie z równowagi. Dlaczego Greta i Johnny, wiedząc, jakim wykolejencem jest Rhys, nie postarali się o prawo do opieki nad Sarą Jane? Jeśli był takim degeneratem, jakim przedstawiała go Morgan, to dlaczego Greta i Johnny tego nie widzą? Czyżby ich też omamił?

Na szczęście aspiryna zadziałała i Whitney, przyłożywszy głowę do poduszki, zapadła od razu w głęboki sen.

Obudziło ją ciche pukanie do drzwi. Otworzyła szeroko oczy. Przez koronkowe firanki przesączał się blask księżyca.

Nie do końca jeszcze obudzona, zwlokła się z łóżka i nie zapalając światła, poczłapała do drzwi, by otworzyć. W korytarzu stała Greta ze srebrną tacą w rękach.

- Nie zeszłaś na kolację, doszliśmy więc do wniosku, że źle się czujesz, ale coś zjeść przecież musisz.

Whitney otworzyła szeroko drzwi i zaprosiła ją do środka.

- Która to godzina? - Przeciągnęła się. - Długo spałam?

- Dziewiąta. - Greta postawiła tacę na stoliku przy oknie i zapaliła lampę w stylu Tiffany'ego ze szklanym różowo-zielonym kloszem. - Już lepiej?

Whitney potarła palcami skronie.

- Tak, ból głowy mi przeszedł. - Wdzięczna była Grecie za troskę i za posiłek. - Umieram z głodu. Dziękuję ci, Greto. Przepraszam, że nie zeszłam na kolację. Tak chciałam ją z wami zjeść.

- Jeszcze to nadrobimy - powiedziała rzeczowo Greta, zdejmując talerze z tacy. - Najważniejsze, że lepiej się czujesz. A poza tym nic nie straciłaś. Głodna spać nie pójdziesz, a rozmowa - tu westchnęła - i tak się nie kleiła.

Greta sprawnie rozstawiała talerze na stole. Oczy miała tej samej kobaltowoniebieskiej barwy co Rhys. Gdy skończyła, obrzuciła Whitney zatroskanym spojrzeniem i dotknęła jej ramienia.

- Na pewno dobrze się czujesz, kochanie? Jakaś blada jesteś.

- Nic mi nie jest. Naprawdę. - Whitney dała Grecie gestem ręki do zrozumienia, by usiadła naprzeciwko. - To tylko zmęczenie. - Teraz i u Greta dostrzegła podobieństwo do Rhysa.

Jeśli Rhys liczy sobie około trzydziestu pięciu lat, to Greta musi mieć co najmniej pięćdziesiąt pięć, ale wyglądała trochę starzej. Mimo to nadal była przystojną kobietą i nie ulegało wątpliwości, po kim Rhys odziedziczył urodę.

- Widziałam dzisiaj, jak Rhys... zabiera waszą wnuczkę.

Greta uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- Przywozi ją tu każdego ranka i odbiera po zamknięciu sklepu.

Mamy taki układ.

- Zaskoczył mnie jego widok. - Whitney zawahała się. - Pokazując mi ten zajazd, nie wspomniał, że jesteście... eee... spokrewnieni.

Greta ściągnęła na chwilę brwi, a potem oczy jej złagodniały.

- Tak, nie dziwi mnie to. Ma ostatnio dużo zmartwień. Zwłaszcza odkąd... - Urwała. - Cóż, w zeszłym roku wiele się w jego życiu pozmieniało i jest teraz trochę nieufny. Stara się odnaleźć w nowej sytuacji.

Przez twarz Greta przemknął uśmiezek zażenowania, tak jakby uznała, że za dużo powiedziała, i to komuś, kogo ledwie zna.

- Macie śliczną wnuczkę - rzekła Whitney, spragniona informacji.

Greta wstała.

- Sara Jane jest światłem naszego życia. Rhys też.

- To widać na pierwszy rzut oka. Ma szczęście, że opiekują się nią tacy dziadkowie jak ty i Johnny. Dziecku nie jest łatwo, kiedy rodzice pracują. - Whitney miała nadzieję, że Greta zostanie i porozmawia z nią o Sarze Jane albo o Rhysie, albo o obojgu.

Ale kobieta ruszyła do drzwi.

- Niestety, Rhys nie ma wyjścia. Sara Jane została porzucona przez matkę, kiedy była jeszcze niemowlęciem. - Uniosła dumnie głowę. - Ale staramy się jej to z nawiązką zrekompensować i otaczać miłością.

Whitney ścisnął się żołądek. Greta myśli, że matka porzuciła Sarę Jane? Przecież to absurd. Morgan umierała z imieniem córeczki na ustach.

- Matka ją porzuciła? - wykrztusiła. - Jesteś tego pewna?

Greta spojrzała na nią dziwnie.

- Pytam, bo nie chce mi się wierzyć, że można porzucić bezbronne dziecko - dodała szybko Whitney.

Greta znieruchomiała z ręką na klamce. Pocierała ją przez chwilę kciukiem, potem zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi.

- Prawda? - Westchnęła głęboko i spojrzała na Whitney. - Nigdy tego nie zrozumie.

- Zaczekaj, nie wychodź. - Whitney wstała. - Napij się ze mną herbaty.

Twarcz Greta złagodniała.



- Dziękuję ci, kochanie - powiedziała. - Chętnie bym została, ale mam jeszcze trochę pracy w kuchni. A ty zjedz sobie spokojnie, a potem kładź się spać. Musisz wypocząć. Naprawdę nie wyglądasz najlepiej.

Łatwo powiedzieć, pomyślała Whitney, kiedy za Gretą zamknęły się drzwi. Siedziała oparta łokciami o blat stołu i dziobała widelcem liść szpinaku zdobiący sałatkę w kamionkowej miseczce. A więc Rhys nakłamał im, że matka porzuciła Sarę Jane. Oszukał własnych rodziców. Cóż za nikczemność! Jak mógł im to zrobić?

Teraz przeżyją wstrząs, kiedy ona wywalczy prawo do opieki i odbierze im Sarę Jane. Nawet gdyby powiedziała im całą prawdę o Rhysie, nie uwierzą jej. To oczywiste. Którzy rodzice by uwierzyli?

Greta napomknęła coś o zmianach, jakie nastąpiły w życiu Rhysa w ostatnim czasie. Powiedziała, że próbuje się odnaleźć w nowej sytuacji. Ale co to były za zmiany? Co to wszystko miało znaczyć? Czy to możliwe, że Rhys przeszedł jakąś wielką metamorfozę i rzeczywiście przyjechał tu z córeczką, żeby rozpocząć nowe życie? Czy mężczyzna, którego opisała Morgan, mógł się do tego stopnia zmienić? Jeśli tak, to co będzie z jej staraniami o przyznanie prawa do opieki nad dzieckiem?

Przed oczami stanął jej Rhys z Sarą Jane na rękach, kochający ojciec, dla którego córeczka jest, jak to określiła Greta, światłem życia.

Whitney rozebrała się i położyła do łóżka, ale wizja Rhysa trzymającego Sarę Jane na rękach nadal ją prześladowała. Długo przewracała się z boku na bok pod puszystą kołdrą, w głowie miała mętlik. W końcu zapadła w niespokojny sen.

Ocknęła się raptownie i usiadła na łóżku. Serce jej waliło, była mokra od potu. Przez chwilę wpatrywała się półprzytomnie w przestrzeń, usiłując pozbierać rozbiegane myśli.

Rhys Gannon miał z jej siostrą dziecko, które następnie uprowadził, zostawiając Morgan chorą i samotną. I Morgan tak w końcu umarła. W samotności. Bez mężczyzny, którego kiedyś kochała. Bez rodziny. Bez swojego dziecka.

Morderca. Kidnaper. Jak mogła choć przez chwilę myśleć o Rhysie inaczej?

Trzask drzwiczek samochodu rozbudził ją do końca. O Boże, to już rano.

Wyskoczyła z łóżka i podbiegła do okna, pewna, że to Rhys przywiózł dziecko. Nie mogła się już doczekać, kiedy porozmawia z siostrzenicą. Do sklepu pojedzie później, ale musi to tak zaaranżować, żeby nie wzbudzić żadnych podejrzeń.

Wyjrzała ostrożnie zza firanki i ścisnęło ją w dołku. To rzeczywiście był Rhys.

Nie spotka się z nim teraz. Zaczeka, aż sobie pojedzie, a potem zadzwoni do sklepu i powie, że spóźni się dzisiaj jakąś godzinę, bo ma trochę spraw do załatwienia.

Zadzwonił telefon. Drgnęła zaskoczona. A to kto o tak wczesnej porze? Kto w ogóle wie, że ona tu jest? Z ociąganiem podniosła słuchawkę.

- Jeszcze śpimy? - To był niewątpliwie głos Rhysa.

- Nie. - Dlaczego dzwoni? Czyżby Greta powtórzyła mu wczorajszą rozmowę? - Coś się stało?

- Skądże znowu - odparł pogodnie. - Chciałem tylko zapytać, czy zabierzesz się ze mną, bo jedziemy w to samo miejsce, i w ogóle. - Zawiesił na chwilę głos, a potem jeszcze dodał: -I oboje w to samo miejsce wracamy.

Na chwilę ją zamurowało.

- Nie, dziękuję. Chętnie bym skorzystała z propozycji, ale mam parę spraw do załatwienia i dzisiaj przyjadę do sklepu trochę później. - Nie było to wierutne łgarstwo, naprawdę miała coś do załatwienia. - Powiedzmy za godzinę, dobrze?

- Nie ma sprawy. - Whitney usłyszała w tle dziecięcy chichot. - Chwileczkę, aniołku.

Głos Rhysa był stłumiony, chyba odsunął słuchawkę od ucha. Whitney wyteżyła słuch.

- Zaczekaj, wiercipięto, pomogę ci to zdjąć. -Znowu pauza. - Przepraszam, Whitney. Tak, możesz przyjechać, jak ci wygodnie. Pomyślałem sobie tylko, że cię zapytam.

Podziękowała mu jeszcze raz i odłożyła słuchawkę. Kiedy usłyszała, że samochód rusza spod domu, wskoczyła szybko pod prysznic, a potem włożyła dżinsy i białą koszulkę, zarzuciła na nią dżinsową koszulę i zbiegła po schodach na dół.

Greta smażyła w kuchni naleśniki i jeszcze gorące układała na półmisku. Obok stał wiklinowy koszyk na pieczywo wyłożony serwetką w kwiatki. Whitney rozejrzała się wokół. Gdzie jest Sara Jane?

Ścisnęła ją w dołku, była coraz bardziej podniecona. Obawiała się tak po prostu spytać o małą, bo Greta mogłaby zacząć coś podejrzewać.

Kuchnia była jak z obrazka. Takie właśnie widywało się w czasopiśmie na fotografiach wewnątrz wiejskich domów.

Na wbitych w ścianę hakach wisały różnych rozmiarów miedziane garnki i patelnie. Na półeczce obok lodówki stały książki kucharskie, nad białym kafłowym piecem kuchennym rozmieszczono strategicznie uchwyty z drewnianymi łyżkami i drucianymi ubijaczkami.

W powietrzu unosił się aromat chleba domowego wypieku i świeżo parzonej kawy.

- Dzień dobry - przywitała ją Greta, wręczając Whitney dwa kopiaste koszyki z chlebem.

Whitney wzięła je automatycznie, zdziwiona trochę, że Greta zatrudnia ją dzisiaj do pomocy, chociaż poprzedniego wieczoru stanowczo odrzuciła jej ofertę. Ale mniejsza z tym; dobrze było czymś się zająć. Ruszyła więc z pełnymi koszykami w kierunku drzwi do jadalni.

- Cieszę się, że zeszłaś na śniadanie - dodała Greta, kiedy Whitney otwierała biodrem drzwi.

- To te smakowite zapachy mnie zwabiły - odparła Whitney. - Pięknie się ten dzień zaczyna.

Humor jej się popsuł, kiedy wszedłszy do jadalni, zobaczyła Blaelowów siedzących przy dębowym stole niczym dwa posążki buddy od kompletu. Cholera. Zupełnie zapomniała o Blaelowach.

Zdobyła się na grzeczny uśmiech, postawiła przed nimi koszyk z pieczywem i czmychnęła z powrotem do kuchni.

- Nie jestem już taka pewna, czy to rzeczywiście piękny początek dnia. - Zrobiła zbolalą minę i wskazała ruchem głowy na drzwi do jadalni.

Greta roześmiała się.

- Rezygnujesz ze śniadania?

- Niestety, to nie wchodzi w grę po tym, jak spróbowałam wczoraj twoich wypieków. Nie opuszczę już odtąd żadnego posiłku. - Whitney przechyliła się przez kontuar i wyszeptała: - Nawet Blaelowowie mnie nie odstraszą.

W tym momencie otworzyły się z hukiem drzwi od podwórka i do kuchni wpadła mała dziewczynka. Za nią postępował Johnny.

- Zobacz, babciu. Przynieśliśmy kwiatki. -Mała rzuciła na stół pod ścianą naręcze jesiennych kwiatów, trzciny i chwastów i nie zwracając uwagi na Whitney, zaczęła pchać krzesło w kierunku kredensu.

- Chwileczkę, młoda damo - powstrzymał ją Johnny. - Dokąd to z tym krzesłem?

Dziewczynka wskazała paluszką półeczkę nad książkami kucharskimi.

- Tam stoją wazon babci.

- A, chcesz wazon. Poczekaj, zdejmę ci jeden. Nalejemy do niego wody i wstawimy kwiaty. -Uśmiechnął się do wnuczki.

Mała pokiwała główką i dopiero teraz zauważyła stojącą obok Greta Whitney.

- Saro Jane, to jest panna Sheffield. - Greta przykucnęła przed dzieckiem i delikatnie strzepnęła zeschnięte liście i ziemię z dżinsowego kombinezonu.

Boże, ta mała była tak podobna do Morgan, że Whitney zaparło dech w piersiach. Ból mieszał się z uniesieniem, serce przepełniła czułość. Łzy napływały jej do oczu. Zamrugnęła powiekami.

- Nazywaj mnie Whitney, Saro Jane - powiedziała zduszonym głosem.

Mała przypatrywała się jej z zaciekawieniem. Policzki miała zaróżowione od rześkiego porannego powietrza.

- Przyniosłam kwiatki. - Pokazała na stolik, na który rzuciła bukiet, ale nie odrywała oczu od Whitney.

- Są prześliczne. - Whitney pochyliła się nad dziewczynką. Była taka malutka, a może tak jej się tylko wydawało. Odkąd Morgan przestała być dzieckiem, niewiele miała do czynienia z takimi szkrabami i czuła się trochę niezręcznie.

Kiedy na świat przysła Morgan, Whitney miała już dziesięć lat i przez następne siedem chroniła siostrę przed wyskokami matki alkoholiczki - właściwie to ona wychowywała Morgan, a nie Kathryn Sheffield. Ale od tamtego czasu upłynęło już trzynaście lat i teraz nie bardzo wiedziała, jak się zachować.

- Babci na pewno się podobają - powiedziała. Johnny zdjął z półki wazon i postawił go na stoliku.

- Proszę, aniołku. Powkładaj tu swoje kwiaty, a ja naleję wody.

Sara Jane pośpiesznie rozpięła różową sztruksową kurtkę, strząsnęła ją z siebie i powiesiła na wieszaku we wnęce.

- Chcesz mi pomóc? - zwróciła się do Whitney, biorąc ją za rękę i ciągnąc do stolika. - Ty będziesz wkładać duże, bo jesteś duża, a ja małe, bo jestem mała.

Sara Jane rzeczywiście była aniołkiem. Prawdziwym aniołkiem. Śniadanie z Blaelowami upłynęło w znośnej atmosferze właśnie dzięki

małej, która siedziała przy stole i przez cały posiłek paplała. Kiedy Blaelowowie pochwalili się, że jadą do Disneylandu, Sara Jane pisnęła:

- Tatuś też mnie tam zabierze. - A potem wsadziła sobie palec do buzi i zachichotała.

Obserwując ją, Whitney nie zauważyła, by patologia pierwszych lat życia odbiła się w jakiś negatywny sposób na małej. Bez wątpienia pomogła tu miłość okazywana jej przez Johnny'ego i Gretę oraz stabilizacja.

- Po Gwiazdce - dokończyła Sara Jane i zsunęła się ze swojego krzesła. Wbiegła do pokoju gościnnego i podniosła z podłogi pluszowego misia. Tuląc go do siebie, usiadła na dzieciennym bujanym foteliku. - Miś też pojedzie - oznajmiła. -Prawda, misiu?

W chwilę potem wyciągała już zabawki z wielkiego wiklinowego kosza, całkowicie pochłonięta tym zajęciem.

Whitney ogarnęło wrażenie, że cofnęła się w czasie i patrzy na swoją młodszą siostrę. Serce ścisnęło się jej na myśl, że Morgan nigdy już nie zobaczy córeczki.

A Sara Jane nie pozna swojej mamy.

- No, miło było cię poznać, Whitney - powiedział Carl Blaelow, wyciągając rękę. - Powodzenia w pracy nad twoim albumem. Kupimy go sobie, kiedy trafi do księgarni, i polecimy wszystkim znajomym.

Helen zachichotała, a Whitney uświadomiła sobie, że sama też musi już jechać do sklepu. Najchętniej zostałyaby z Sarą Jane, ale to mogłoby wzbudzić podejrzenia.

Pożegnała się z Blaelowami, wróciła do swojego pokoju po aparaty i zbiegła z nimi na dół.

Przy schodach czekała na nią Sara Jane. Dziewczynka wzięła ją za rękę i zaciągnęła do dziennego pokoju, gdzie wokół malutkiego stołu zastawionego miniaturowymi filiżankami i spodeczkami siedziały na małych krzeselkach lalki.

- Napijesz się herbaty? - spytała Sara Jane, wymawiając starannie każde słowo, po czym wdrapała się na krzesło. Nóżkami ledwie sięgała ziemi.

Whitney zafascynowana grą słonecznych promieni w złocistych włosach siostrzenicy, wyjęła z futerału mniejszy aparat i zrobiła kilka zdjęć.

- Teraz nie mogę, kochanie.

Sara Jane nie zwracała na aparat uwagi. Zajęta była częstowaniem herbatą siedzącą naprzeciwko szmacianą lalkę.

- Może później, kiedy wrócę z pracy. - Whitney uklękła przy siostrzenicy, walcząc z pokusą porwania jej w ramiona. Odgarnęła z buzi dziewczynki kręcony jasny loczek i uścisnęła jej małą rączkę.

Wstała z ociąganiem. W drzwiach odwróciła się jeszcze i posłała Sarze Jane pocałunek. Kiedy dziewczynka odwzajemniła jej się tym samym z taką naturalnością, jakby robiła to zawsze, Whitney serce omal nie wyskoczyło z piersi.

Przeciąg zatrzasnął z hukiem drzwi za wchodzącą do sklepu Whitney.

- Już idę! - zawołał z kantorka Rhys.

Pod ścianą stały nie otwarte pudła. Na jednym leżał nóż i metkownica. Poprzedniego dnia Rhys pokazał Whitney kilka prostych



prac, z których wykonywaniem nie powinna mieć trudności. Postanowiła przystąpić do dzieła.

Postawiła torbę z aparatami fotograficznymi na podłodze przy drzwiach do kantorka.

Naklejanie metek z ceną i wykładanie towaru na półki to żadna filozofia. Rozcięła nożem pierwsze z brzegu pudło i wyciągnęła z niego paczkę bawełnianych koszulek.

Koszulki różnych rozmiarów eksponowane były na półce pod ścianą. Nic trudnego. Rhys utrzymywał w sklepie ład i porządek. Wszystko miało tu swoje miejsce.

I wszystko, czego do tej pory dowiedziała się o tym człowieku, kłóciło się z opisem Morgan. Powiedział, że jego pasją jest budowa jedynych w swoim rodzaju motocykli własnej konstrukcji. Z fotografii, które jej pokazywał, wynikało, że jest w tej dziedzinie prawdziwym artystą, istnym rzeźbiarzem w metalu. Tak, Rhys był skomplikowanym mężczyzną. I chociaż bardzo się starała, nie mogła go jakoś dopasować do wizerunku, który nakreśliła Morgan.

- Powiedziałem nie! - dobiegł ją podniesiony głos Rhysa. - Albo przychodzi z pieniędzmi, albo wcale. Koniec, kropka.

Whitney przycisnęła paczkę z koszulkami do piersi i przysunęła się bliżej drzwi.

- Nie. Drugiej oferty nie złożę. Będą pieniądze, będzie towar.

Zszokowana Whitney wstrzymała oddech. Ale Rhys zniżył już głos i reszty rozmowy nie usłyszała.

„Będą pieniądze, będzie towar”. Czyżby to znaczyło to, co myślała? Jak mogła zapomnieć?

Jak mogła zapomnieć, że jest tutaj po to, by udowodnić, że Rhys nie potrafi zapewnić dziecku należytego wychowania? By udowodnić, że handluje narkotykami, a co najmniej prowadzi jakieś ciemne interesy - i że prawo do opieki nad Sarą Jane powinno zostać przyznane jej?

Zapomniała o tym, bo aż do tej chwili łatwo było zapomnieć.

Wydawał się taki inny. Owszem, bywał czasami zamknięty w sobie, nawet trochę tajemniczy, ale przecież miał do tego prawo. Dlaczego miałby obnażać duszę przed obcą kobietą?

Greta wspomniała, że ostatnio w jego życiu zaszła jakaś wielka zmiana. Jeśli to prawda, trudno się dziwić, że nie chciał rozmawiać o przeszłości. Greta mówiła też, że próbuje się odnaleźć w nowej sytuacji.

Czyż jego zachowanie nie było tego dowodem? Przyjął ją do swojego sklepu, dał pracę, zaoferował pomoc w przygotowywaniu albumu. Znalazł jej nawet lokum.

I to właśnie sprawiło, że niemal zapomniała, że jest człowiekiem gotowym dopuścić się każdej podłości.

W jej głowie ścierały się sprzeczne myśli. Z taką czułością i miłością odnosił się do Sary Jane! Jej, Whitney, również okazywał cierpliwość, kiedy myliła nazwy i typy motorów. Ale ton, jakim prowadził rozmowę, którą przed chwilą podsłuchiwała, budził podejrzenia.

Sama już nie wiedziała, co myśleć o Rhysie i prawdopodobności swojej siostry. Zaczynały ją ogarniać wątpliwości. Najchętniej porwałaby siostrzenicę na ręce i uciekła.

Ale w ten sposób wszystko by popsuła.

Zrezygnowana wróciła do wykładania towaru na półki. Parę minut później w drzwiach kantorka stanął Rhys.

- I co myślisz? - zapytał.

Nie widać było po nim ani śladu rozdrażnienia, z jakim przed chwilą prowadził rozmowę. Przerwała pracę. Serce podeszło jej do gardła.

- O czym? Zbliżył się.

- O swoim nowym zajęciu - powiedział z szerokim uśmiechem. -

Nadal uważasz branżę motocyklową za dostatecznie interesującą, by poświęcić jej album?

Mówił to żartobliwie, lecz jego ton sugerował, że nie uważa jej za stworzoną do tej pracy.

Wyprostowała się.

- Oczywiście. Nawet nie podejrzewałam, że jest aż tak interesująca. -

Spojrzała na niego przelotnie i schyliła się po następną paczkę z koszulkami.

Rhys też się pochylił, wsunął rękę do tego samego pudła i przytrzymał tam jej dłoń. Patrzył jej głęboko w oczy.

- Nie musisz tego robić. Serce zabiło jej mocniej.

- Czego?

- Nie musisz pracować, żeby uzyskać ode mnie informacje. I bez tego bym ci ich udzielił.

Boże! O jakich informacjach on mówi? Do albumu... czy o Sarze Jane? Whitney wyprostowała się z paczką w ręku. Rhys też się wyprostował.

Udawaj głupią. Nie dawaj po sobie poznać, że zrozumiałaś aluzję.

- Ale ja chcę. Naprawdę. Im bardziej wgłębiam się w temat, tym lepsze potem wychodzą mi zdjęcia.

Rhysa deprymował upór Whitney. Podobała mu się jej wytrwałość, ale krępowało go, że pracuje bez wynagrodzenia - nawet jeśli nie robi tego dla pieniędzy.

Nie wspominając już, że pracując dla zabawy, mogła mu porządnie namieszać w i tak już kulejącym interesie.

Tyle że ona zdawała się podchodzić do swoich nowych obowiązków poważnie. Poprzedniego dnia wysłuchiwała jego instrukcji z takim skupieniem, jakby recytował co najmniej „Hamleta”. Potem rzuciła się od razu w wir pracy i harowała jak doker, rozcinając kartony i wyjmując z nich ciężkie części. Wysmarowała sobie przy tym ręce po łokcie, ale to też jej nie zniechęciło.

Musiał przyznać, że chociaż podobnie jak Stephanie pochodziła z wyższych sfer, to w niczym tej ostatniej nie przypominała. Jego była żona nie kiwnęłaby palcem. Ona specjalizowała się w trwonieniu swej fortuny na organizowanie balów dobroczynnych, które w istocie były tylko jeszcze jedną okazją do spotkań towarzyskich dla możnych tego świata. Ta myśl napęłniła go goryczą. Jakże przydałaby mu się teraz choć mała częśćka pieniędzy, które na to poszły.

Schylając się po następną paczkę, zderzył się ramieniem z Whitney. Naszła go nieprzeparata pokusa porwania jej w ramiona i zatopienia twarzy w tych jedwabistych złotych włosach.

Basta, Gannon! Ona nie jest dla ciebie!

Na wszelki wypadek cofnął się o krok i by ukryć zmieszanie, przeczesał palcami włosy.

- Pamiętaj tylko, że nie mogę ci płacić - wy-bąkał nie wiadomo po co, bo tę kwestię ustalili już na wstępie.

Nie miał już dwudziestu lat. Życie go nie rozpieszczało i nie zanosilo się, że w najbliższym czasie to się zmieni. Wkrótce będzie musiał stawić czoło najtrudniejszemu, jak dotąd, wyzwaniu. Kłopotów miał co niemiara i bez kobiety.

Spotkały się ich spojrzenia. W jej błękitnych oczach ścierały się przeciwstawne emocje. Żar i chłód. Ogień i lód. Jej on też nie był obojętny. Widział to. I była tym bardzo zaniepokojona.

Ciekawe. Skąd u kobiety w jej wieku i z jej pozycją lęk przed pociągiem do kogoś? Zwłaszcza do kogoś takiego jak on, stojącego w hierarchii społecznej o tyle niżej od niej? W swoim świecie na pewno bez zastanowienia sięgnęłaby po to, czego chce. Ale nie była tutaj w swoim świecie i chyba to zbijało ją trochę z tropu. Poza tym czegoś od niego chciała - czegoś na tyle dla niej ważnego, że godziła się na ten dyskomfort. Praca. Tylko ona się dla niej liczyła.

Bardzo poważnie traktowała swą pracę. Fotografia była dla niej na pierwszym miejscu. Godna pochwały cecha.

Rhys wymruczał kilka dyspozycji dotyczących reszty pudeł i wycofał się do bezpiecznego azylu swojego kantorka.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- I w czym tu problem? - spytała Whitney. - Jeśli ktoś wejdzie, to go obsłużę. Jak nie będę potrafiła, to powiem, żeby przyszedł jeszcze raz, kiedy wrócisz z lunchu.

Rhys przyznał jej w duchu rację, ale niepokój nadal go nie opuszczał.

- Różne rzeczy się zdarzają. Zaglądają tu czasem typy spod ciemnej gwiazdy. Co zrobisz, jeśli jakiś klient rzuci się na ciebie? Jak sobie z nim poradzisz?

Obrzucił ją taksującym spojrzeniem. Tak, większość jego znajomych nie miałoby nic przeciwko zawarciu z taką kobietą bliższej znajomości. Te dzinsy opinające ciasno kształtne biodra, te rozchylone zapraszająco usta...

Whitney wygładziła na sobie biały sweterek i pokręciła głową. Z jej miny wynikało, że uważa jego obawy za śmieszne.

- Tak samo jak radzę sobie ze swoimi klientami, kiedy się na mnie rzucają. Ja nie żyłam dotąd w próżni, Rhys. Przez tę jedną godzinę nic złego się z twoim sklepem nie stanie. Dam sobie radę, zapewniam cię.

Czyżby myślała, że on martwi się jedynie o bezpieczeństwo sklepu?

- No dobrze już, dobrze - westchnął z rezygnacją, wziął z szafy kurtkę i opuścił sklep tylnymi drzwiami.

Kiedy wsiadał na swój motor, przed oczami stała mu wciąż uśmiechnięta zuchowato twarz Whitney.

Dotarli się przez ten tydzień i nawet dobrze im się współpracowało. Niepokoił go jednak wpływ, jaki miała na niego ta kobieta. Bo co tu się oszukiwać? Po zebraniu materiałów do albumu spakuje się i wyjedzie. I szybko o nim zapomni. Nie miał co do tego złudzeń.

Należą do dwóch różnych światów. Tak było i tak pozostanie.  
Przerabiał już tę lekcję.

Whitney odczekała chwilę i nabrawszy pewności, że Rhys odjechał, wysunęła górną szufladę szafki na dokumenty.

Ma tylko godzinę, musi działać szybko.

Teczki z dokumentami. W następnej szufladzie to samo. Trzecia zamknięta na klucz.

Przerzucała nerwowo zawartość teczek, zwracając uwagę na nazwiska i daty. Sama nie wiedziała, czego właściwie szuka.

Może natrafi tu na coś, co pomoże ustalić miejsce urodzenia Sary Jane. Coś, co rzuci jakieś światło na przeszłość Rhysa. Coś, co go zdyskredytuje.

Obudziły się w niej wyrzuty sumienia, kiedy wyciągała teczkę opatrzoną napisem „Pożyczki bankowe”. Rhys jej zaufał i zostawił sklep pod jej opieką, a ona nadużywa tego zaufania, szperając w jego papierach.

Czuła się podle.

Przez cały ostatni tydzień wprowadzał ją w arkana prowadzenia sklepu. W tym czasie ani razu nie odniosła wrażenia, że może być kimś innym niż mężczyzną próbującym wiązać koniec z końcem i wychowującym dziecko, któremu jest całkowicie oddany.

Próbowała tłumić poczucie winy, przypominając sobie opowieść Morgan o tym, jak dała się zwieść jego urokowi. Ale kiedy brała do ręki kolejną teczkę, wyrzuty sumienia powracały.

Boże, jakaż czuła się zbrukana, kiedy stwierdzała, że ktoś grzebał w jej rzeczach osobistych. Zwłaszcza jeśli był to ktoś, komu ufała.

Odłożyła teczkę na miejsce i wsunęła szufladę, a potem wzięła się pod boki i rozejrzała po kantorku, zła na siebie, że nie wykorzystała w pełni takiej okazji.

Ale z niej Mata Hari! Jak tacy ludzie mogą przechodzić do porządku dziennego nad tym, co robią? Jakoś im się to udaje. Dla nich stawka jest wysoka i warta dopuszczenia się zdrady.

A czyż w jej przypadku nie jest tak samo?

Nie filozofuj, Whitney, nie bądź tchórzem. Przyrzekłaś i nie możesz się teraz wycofać. Przypomniała sobie inne przyrzeczenia, jakie składała Morgan w dzieciństwie - przyrzeczenia, których potem nie dotrzymała... Boże, musi przez to przebrnąć.

Zdecydowanym ruchem wysunęła znowu szufladę, wyjęła teczkę i zapisała sobie w notesie informacje dotyczące pożyczki. Potem usiadła za biurkiem w fotelu Rhysa.

Wysunęła środkową szufladę. Szuflada była podzielona na przegródki - spinacze, gumki, ołówki, długopisy. Nic interesującego. I naraz jej wzrok przyciągnęło coś błyszczącego, wystającego spod kupki rachunków w głębi. Fotografia.

Wzięła zdjęcie w dwa palce i ostrożnie wyciągnęła je spod rachunków.

Sara Jane. Słodka, kochana Sara Jane. Niebieskie oczka, dołeczki w policzkach. Nie miała tutaj więcej niż rok, ale Whitney od razu rozpoznała siostrzenicę. Zajrzała na drugą stronę; nie było tam żadnej informacji - ani daty, ani imienia. Chciała już wsunąć zdjęcie na miejsce, kiedy zauważyła, że spod rachunków wystaje róg jeszcze jednej fotografii.



Wyciągnęła ją. Kolory zblakły, ale mężczyzną na zdjęciu był bezsprzecznie Rhys. Na odwrocie, wykaligrafowane dużymi literami, widniało słowo „FLORYDA”.

Rhys otaczał ramieniem małego chłopca trzymającego wędkę i pełną ryb siatkę. Uwagę Whitney przyciągnęła twarz chłopca. Jego oczy. W tych oczach było coś...

Może to syn jego siostry? Tak, na pewno. Mówił, że ma zameżną siostrę, która mieszka z mężem i trojgiem dzieci na Florydzie. Ta fotografia najwyraźniej coś dla niego znaczyła. Może przypominała mu szczęśliwsze czasy?

Czyli całkiem możliwe, że on naprawdę stara się zmienić coś w swoim życiu. Może jakieś bolesne przeżycie sprawiło, że zszedł na złą drogę, i teraz próbuje...

- Ktoś tu obsługuje?!

Gruby męski głos omal nie przyprawił Whitney o atak serca. W drzwiach kantorka stał klient. Szybko wsunęła fotografię pod rachunki i zamknęła szufladę.

Wstała z duszą na ramieniu. Mężczyzna był wysoki, co najmniej wzrostu Rhysa, i miał na sobie długi czarny skórzany płaszcz, taki jakie na starych westernach noszą wyjęci spod prawa faceci.

Był w ciężkich czarnych buciorach o okutych metalem noskach, czarnych skórzanych spodniach i czarnej bawełnianej koszulce. Długie granatowoczarne włosy miał ściągnięte w koński ogon, policzki czerniła mu szczecina dwudniowego zarostu. Oczu nie było widać, bo zasłaniały je lustrzane okulary słoneczne.

- Przepraszam - bąknęła Whitney, ruszając niepewnie do drzwi. - Nie słyszałam, jak pan wszedł. - Denerwowały ją te okulary. - Czym mogę służyć?

Musiła się przed nim zatrzymać, bo tarasował swoim ciałem przejście. Tłumaczyła sobie, że nie powinna się sugerować jego groźnym wyglądem. Rhys uprzedzał ją, że wielu motocyklistów to po prostu ludzie traktujący jazdę na motorze jako hobby, którego nieodłącznym elementem, podobnie jak w tenisie albo w golfie, jest charakterystyczny strój.

Ale ta świadomość bynajmniej jej nie uspokajała. Czuła, że nogi odmówią jej za chwilę posłuszeństwa.

- Jest Gannon? - burknął mężczyzna, tym razem bardziej przyjaźnie.

Przekrzywił lekko głowę i Whitney była przekonana, że mierzy ją taksującym wzrokiem zza tych lustrzanych okularów. Odruchowo poprawiła włosy.

- Wszedł - wykrztusiła. - Na parę minut - dorzuciła pośpiesznie.

Zerknęła na tylne drzwi. Nieopatrznie zamknęła je za Rhysem na łańcuch i była teraz w pułapce. Pozostawała jej tylko droga do przodu.

- Przepraszam. Mógłby mnie pan przepuścić? - Wykonała rękami wymowny gest.

Ku jej zaskoczeniu posłuchał i odsunął się. Ale mijając go, dostrzegła kątem oka, że uśmiecha się znacząco. Znalazłszy się za progiem, odwróciła się szybko twarzą do nieznanego i wyciągnęła rękę.

- Jestem Whitney. Czym mogę służyć? Wstrzymując oddech, czekała na jego następny ruch. Uścisnął jej dłoń i zaczął sunąć kciukiem po środkowym palcu. Zatrzymał go na pamiątkowym pierścionku ze szmaragdem, który odziedziczyła po babce.

- To gdzie ten Gannon? Mówiłaś, że kiedy wróci?

Znowu przeszedł ją dreszcz strachu. Cofnęła rękę i przesuując się tyłem w stronę drzwi frontowych, straciła niechcący z wieszaka skórzaną kurtkę. Chwycała ją w ostatniej chwili za kołnierz i po omacku odwiesiła z powrotem.

- Niedługo... Właściwie to już powinien być. - Serce waliło jej jak młotem. - Może pan tu zaczekać. - Wskazała na krzesło przy drzwiach. - Albo w kafejce kawalek dalej.

Odwróciła się szybko, otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Kiedy mężczyzna wyszedł za nią, pokazała mu drogę do kawiarenki Mabel.

- Chyba tu jeszcze wrócę - powiedział z uśmiechem.

Whitney patrzyła, jak niedoszły klient wsiada na motocykl i odjeżdża z rykiem silnika. Kiedy zniknął jej z oczu, weszła z powrotem do sklepu, zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie, wydając z siebie głębokie westchnienie ulgi.

W kantorku Rhysa zadzwonił telefon. Idąc go odebrać, gratulowała sobie, że tak sprytnie wybrnęła z niezręcznej sytuacji. Ale na dobre odechnęła dopiero wtedy, gdy usłyszała warkot silnika motoru wracającego Rhysa.

Siedziała za jego biurkiem i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku kończyła wypełnianie faktury na ostatnie złożone przez telefon zamówienie. Zdążyła już odebrać kilka takich. Starła się pomagać klientom, jak potrafiła, posiłkując się wykazem asortymentu, który zostawił jej Rhys.

Dochodziła do wniosku, że Rhysowi, jeśli naprawdę myśli o rozwoju, przydałby się dobry katalog wysyłkowy. Najlepiej taki na

kredowym papierze, z kolorowymi zdjęciami. Pomógłby zareklamować sklep i zdobyć nowych klientów.

Słyszając zbliżające się kroki, zebrała papiery w równą kupkę i podbiegła do drzwi, żeby odpiąć łańcuch bezpieczeństwa.

- Wszystko w porządku? - spytał Rhys, rozglądając się po kantorku, po czym zdjął kurtkę i powiesił ją w małej szafce przy drzwiach.

- Oczywiście. W jak najlepszym. - Wskazała na stosik dokumentów na biurku. - Masz tu cztery zamówienia. Wszystkie już opisane i przygotowane do wysyłki. - Wciąż poirytowana jego wątpliwościami, czy potrafi się uporać z takim prostym zadaniem, wskazała ruchem głowy stojące pod ścianą kartony.

Rhys wziął dokumenty z biurka i przejrzał je pobieżnie.

- No, pięknie. Bardzo pięknie. - Odłożył papiery i zatoczył ramionami. - Były jakieś problemy?

- Problemy? - Machnęła lekceważąco ręką. - Czy odebranie kilku zamówień telefonicznych może nastreczać jakieś problemy? Przecież nie prowadzisz sklepu z częściami do rakiet kosmicznych.

- Ale tu wchodzi w grę pieniądze - powiedział i znowu wziął z biurka dokumenty. - A każdy cent się liczy. Popatrzmy. To opiewa na... - brwi powędrowały mu w górę - na dwa tysiące dolarów?

Przysiadł na blacie i odsunął fakturę od siebie na długość wyciągniętej ręki, jak pozbawiony okularów dalekowidz, który usiłuje coś przeczytać.

- Dobrze zsumowałaś poszczególne pozycje? - Studiował dokument, jakby nie wierzył swoim oczom.

- Nawet nie zamierzam odpowiadać na to pytanie. - Whitney udała urażoną.

Wargi Rhysa rozciągnęły się powoli w szeroki uśmiech.

- Coś ty nagadała temu facetowi, że zdecydował się wydać tyle forsy? - spytał z błyskiem w oku.

Wzruszyła tylko ramionami i rozłożyła ręce. Rhys wziął następną fakturę, i znowu brwi powędrowały mu w górę.

- Whitney, coś takiego! - zawołał z niedowierzaniem. - Nie do wiary!  
- Odłożył dokumenty i chwycił ją za ramiona. - W ciągu godziny utargowałaś tyle, ile ja przez cały zeszły miesiąc.

Teraz ona zrobiła wielkie oczy. Czemu on to uznaje za jakieś wielkie osiągnięcie? Nie dokonała niczego szczególnego; po prostu robiła, co do niej należy.

Ale jego słowa uznania mile ją połechtały. Chłonęła je jak uczennica, która przyniosła do domu świadectwo z samymi piątkami. Ale to uczucie było niczym w porównaniu z podnieceniem, które zaczynało ją ogarniać pod wpływem jego dotyku... Kantorek wydał jej się nagle bardzo ciasny - Rhys stał bardzo blisko. Jeden krok i znajdzie się w jego ramionach, złączą się ich usta, ciała...

O rany! Co z tobą, u licha?

- A więc uważasz, że dobrze się spisałam? - spytała z wymuszonym uśmiechem.

Patrzył na nią przez chwilę, a potem twarz mu złagodniała. Whitney była z siebie dumna. Nie dość, że zarobiła mu pewną sumkę, najwyraźniej większą, niż się spodziewał, to jeszcze udało jej się rozwiać jego obawy co do jej przydatności.

Rhys stał nieruchomo. Jego oczy, w których jeszcze przed sekundą tańczyły iskierki podniecenia niespodziewanym utargiem, płonęły teraz pożądaniem. Whitney zrobiło się gorąco.

Jak to dobrze, przemknęło jej przez myśl, że tamten facet, który tak ją przestraszył, zapowiedział, że jeszcze wróci.

Ucieszyła się z tego, bo nie wiedziała, jak by zareagowała, gdyby Rhys posunął się dalej. Już nieraz próbowała sobie wyobrazić, jak by to było, znaleźć się w jego ramionach.

I ilekroć o tym myślała, ogarniał ją niepokój. Nigdy nie doświadczyła takiej nieposkromionej żądz, nie wiedziała nawet, że w niej drzemie. A najgorsze w tym wszystkim było to, że obiektem tego pożądania był Rhys Gannon, człowiek, którym winna pogardzać. Człowiek, którym musi pogardzać, jeśli chce, by jej plan się powiódł.

Jednak w tej chwili nie potrafiła się zdobyć na nienawiść.

Rhys, jakby czytając w jej myślach, wlepił wzrok w jej usta i delikatnie gładził palcami przedramiona. Zmartwiała z obawy, że zaraz mu ulegnie.

On odwrócił jednak wzrok i opuścił ręce.

- Teraz chyba twoja kolej, jeśli się nie mylę. Zamrugala.

- Na co?

- Na lunch. Idź coś zjeść. - Wysunął szufladę szafki na dokumenty, wyjął z niej jakąś teczkę i podstawił ją pod światło, mrużąc oczy, jakby miał trudności z odczytaniem napisu. - A ja w tym czasie spróbuję pobić twój rekord.

Odwróciła się i z uśmiechem na ustach ruszyła sprężystym krokiem w stronę drzwi frontowych.

- Życzę powodzenia - rzuciła przez ramię.

Mabel, ubrana w dżinsy i koszulkę z ręcznie malowanym górskim krajobrazem na piersi, zerwała z haczyka przy piecu fartuszek w kratkę, przełożyła go sobie przez szyję i sięgnęła po dzbanek z gorącą kawą.

Mrużąc oczy, postawiła parujący kubek na kontuarze przed Whitney, a potem przysunęła jej cukier i śmietankę.

- Trochę się spóźniłaś. Będiesz coś jadła, kochanie?

Whitney uśmiechnęła się.

- Naturalnie. To co zwykle.

Mabel chwyciła łypatkę, wyjęła na niej z kuchennego pieca bochenek chleba domowego wypieku i położyła go na białej marmurowej płytce. Zerknęła spod oka na Whitney.

- Czy ty w ogóle jadasz śniadania? Whitney kiwnęła głową. Mabel swoim macierzyńskim instynktem dorównywała Grecie.

- Zjadłam w zajeździe naleśnika. Jak na moje obyczaje, to dużo.

- Greta to dobra kucharka. Zastępowała mnie, kiedy musiałam wziąć wolny dzień - oznajmiła Mabel. - Ale od kiedy otworzyli z Johnnym ten zajazd, już nie ma na to czasu. I bardzo dobrze... - Mabel urwała i pochyliła się nad lodówką. W chwilę później odwróciła się do Whitney z kostką masła w dłoni i dodała: - Zważywszy na okoliczności.

- Jakie okoliczności?

- No wiesz... - Mabel zabrała się do smarowania masłem kromek chleba. - Te wszystkie rodzinne problemy.

Rodzinne problemy? Czyżby chodziło o przeszłość Rhysa? Whitney, chociaż złąkniona bliższych informacji na ten temat, stłumiła cisnące się na usta pytania i zajrzała do kubka.

- Tak, aż trudno sobie wyobrazić - mruknęła, udając, że wie, o czym mówi Mabel.

Nauczyła się już, że nie ma sensu naciskać, bo mieszkańcy Estrade są względem siebie bezwzględnie lojalni.

Mabel rzuciła kanapkę z żółtym serem na patelnię i otwierała już usta, żeby powiedzieć więcej, kiedy zabrzęczały zawieszony nad drzwiami frontowymi dzwoneczki.

- Punktualny jak zawsze - mruknęła Mabel, spoglądając na zegarek, po czym puściła do Whitney oko i przewróciła grzanekę z serem na patelni.  
- Dzień dobry, Charley.

Charley szedł między stolikami, poprawiając po drodze te krzesła, które stały krzywo. Kurczę, pomyślała Whitney, że też musiał wejść akurat w momencie, kiedy zanosilo się, że dowie się od Mabel czegoś interesującego.

- Witam, młoda damo. - Charley poklepał Whitney po ramieniu. Usadowił się obok niej na stołku, a Mabel postawiła przed nim kubek z kawą.

Śniadania i kolacje były dla Mabel i Charleya rytuałami; lunche również, jeśli w kopalni dobrze się układało. Whitney wiedziała już, że Charley ledwie wiąże koniec z końcem. Ale on wierzył, że przyjdzie jeszcze taki dzień, kiedy natrafi na żyłę złota - powtarzał to od trzydziestu lat.

Whitney podejrzewała, że tak naprawdę to jest mu obojętne, czy doczeka tego dnia, czy nie.

- Cześć, Charley. Szczęście dzisiaj dopisało? Whitney dostrzegła kątem oka, jak Mabel, słysząc to pytanie, wznosi oczy do nieba.



- Myślisz, że temu staremu capowi na tym zależy? - mruknęła.

Charley puścił ten komentarz mimo uszu, posłał Mabel pełen uwielbienia uśmiech i zwrócił się do Whitney:

- A ty wciąż pracujesz nad tą swoją książką ze zdjęciami? To obraza boska, żeby taka ślicznotka przesiadywała całe dni w sklepie z motocyklami.

Whitney stłumiła uśmiech. Ją też to dziwiło. Jeszcze przed dwoma tygodniami nawet do głowy by jej nie przyszło, żeby fotografować motocykle - albo zatrudnić się w sklepie z częściami do nich.

- Tak, jeszcze nad nią pracuję, Charley. Właściwie to dopiero zaczynam. Ale mam dobrego nauczyciela.

Mabel, stawiając przed Whitney talerz, uniosła siwe brwi.

- A ile ci to jeszcze zajmie? - Z jej tonu wynikało, że nie wierzy, by w grę wchodziła tu sama praca nad albumem.

To pytanie wprowadziło Whitney w konsternację. Sama się nad tym zastanawiała. Zastanawiała się, kiedy Rhysowi zacznie doskwierać jej obecność. Nie mogła przecież przeciągać swego pobytu w tym mieście w nieskończoność.

Mijał tydzień od dnia, kiedy odnalazła Sarę Jane. Zdążyła się już zżyć z siostrzenicą, zaprzyjaźnić z nimi wszystkimi. Im dłużej tu pozostanie, tym bardziej będzie potem żałowała tego, co zrobiła.

- Nie wiem - odparła. - Trudno powiedzieć.

- A może osiądziesz tu na stałe? - podsunął Charley. - Jak ja. -

Wskazał ruchem głowy gospodynię. - Poczulem miętę do Ma...

- Charley, zachowuj się - wpadła mu w słowo Mabel i reszta posiłku upłynęła im na żartach, w które od czasu do czasu wciągali Whitney. Stawili bardzo ekscentryczną parę i Whitney śmiała się razem z nimi.

Uwielbiała te lunche z Mabel i Charleyem. Czuła się w ich towarzystwie swobodnie i mimo woli zaczynała się zastanawiać, co by to było, gdyby rzeczywiście została w Estrade na stałe.

- Oho - powiedziała, zerknąwszy na zegarek. - Na mnie już pora. - Przełknęła resztę kanapki, zapłaciła i przewiesiła sobie aparat przez ramię. Gdy odwracała się, by ruszyć do wyjścia, Charley złapał ją za rękaw.

- Uważaj na siebie, Whitney. - W jego oczach pojawiły się przekorne ogniki. - Twój szef znany jest z tego, że niejednej już młodej damie zawrócił w głowie.

- Dziękuję za ostrzeżenie, Charley, ale mnie interesuje tylko moja praca. - Boże, tak by chciała, żeby w jej słowach było więcej przekonania.

Wracała zadowolona, że jak dotąd wszystko układa się idealnie. Ustaliła z Rhysem, że będzie mu pomagać w sklepie od dziesiątej rano do czwartej po południu. Dzięki temu resztę dnia mogła poświęcić siostrzenicy. Nie była pewna, czy Rhys wie, ile czasu spędza z Sarą Jane ani czy miałby coś przeciwko temu, gdyby się dowiedział.

Serce jej rosło, ilekroć myślała o swojej siostrzenicy. Uwielbiała słuchać, jak dziewczynka się śmieje i chichocze, uwielbiała jej paplaninę. Zaczynała traktować małą jak własne dziecko. Ciekawa była, czy ją, Whitney, i jej siostrę Morgan rodzice obdarzali tak samo głębokim uczuciem.

Ale o tym lepiej było nie myśleć. Nie mogła zmienić przeszłości i zrobić wszystko, by Sara Jane nie zaznała tego rodzaju piekła na ziemi.

Zbliżając się do sklepu, zauważyła tylne koło czarnego motocykla wystające zza budynku. Rozpoznała motocykl mężczyzny, który był tu wcześniej.

Mężczyzna wyjęty spod prawa...

Skierowała się do drzwi frontowych, lecz przystanąła, nie dochodząc do nich. Wchodząc tylnymi drzwiami, nie przeszkodzi im, jeśli rozmawiają w sklepie o interesach.

Mijając warsztat Rhysa na zapleczu sklepu usłyszała podniesione głosy. Zaintrygowana zajrzała przez okienko i zobaczyła Rhysa. Był odwrócony do niej plecami, po jego prawej stał „wyjęty spod prawa”. Okienko było uchylone, ale mimo to nie rozróżniała słów.

W pewnej chwili mężczyźni uścisnęli sobie ręce, wykonali obaj jakiś tajemniczy gest i padli sobie w objęcia. Whitney krew napłynęła do twarzy.

Cofnęła się szybko. Taką poufałość między mężczyznami widziała tylko raz w kinie.

W małym arizońskim miasteczku wydawała się ona nie na miejscu, ale przecież Rhys był z Chicago. Może nie zerwał dawnych kontaktów? Może dawni znajomi odnajdą go wszędzie i nigdy nie uda mu się rozpocząć nowego życia?

Uświadomiła sobie teraz, jak bardzo chce uwierzyć w Rhysa, w to, że Greta mówiła prawdę. Ale jeśli to była prawda, to jak to wpłynie na jej szanse uzyskania prawa do opieki nad Sarą Jane?

Instynktownie uniosła do oka aparat i pstryknęła kilka zdjęć zaabsorbowanym rozmową mężczyznom. Trafiła na moment, kiedy „wyjęty spod prawa” wręczał Rhysowi plik banknotów.

Zaraz potem drzwi warsztatu uchyliły się.

- To do przyszłego tygodnia - wychrypiał mężczyzna.

Zalała ją fala paniki. Instynkt podpowiedział jej, że lepiej stąd zniknąć, zanim ją zauważą.

Zacząła się powoli wycofywać. Naszło ją straszne przeczucie, że była przed chwilą świadkiem jakiejś nielegalnej transakcji i że ma ją utrwaloną na kliszy.

Odwróciła się, by puścić się biegiem, ale okazało się to niemożliwe; obcas buta zaklinował się w szparze między płytami chodnikowymi. Krew uderzyła jej do głowy. Szarpnęła nogą tak mocno, że obcas oderwał się i pozostał w szparze.

Zdecydowała szybko, że go tutaj zostawi i pobiegnie do drzwi frontowych, a jeśli ją zobaczą, będzie udawała, że dopiero wraca z lunchu. Wpadła bez tchu do sklepu, zatraskując za sobą drzwi. W tym samym momencie „wyjęty spod prawa” wypadł na swoim motocyklu zza węgła budynku. Poły długiego skózanego płaszcza furkotały za nim jak skrzydła; przypominał jej czarnego kruka.

Zdyszana, przyciskając twarz do małej szybki w drzwiach, odprowadzała go wzrokiem.

- Jak tam lunch? - rozległ się za nią głos Rhysa.

Aż podskoczyła. Poczowała się jak przestępca przyłapany na gorącym uczynku. Odwróciła się powoli, żeby zyskać na czasie i dojść do siebie. Wygładziła kołnierzyk granatowego swetra, oblizwała wargi,

- Było bardzo sympatycznie - powiedziała cicho. W jej głosie musiało brzmieć napięcie, bo Rhys przyjrzał się jej podejrzliwie.

- Mhm - mruknął, dając tym do zrozumienia, że widzi jej zmieszanie.

- Mogę ci w czymś pomóc?

- Niby w czym? - burknęła gniewnie.

Była na niego wściekła. Akurat kiedy dochodziła już do wniosku, że może nie jest z nim aż tak źle - że naprawdę stara się zmienić swoje życie - on robi coś, co ponownie budzi jej podejrzliwość.

- Wszystko gra - dorzuciła i kuśtykając, weszła do wnętrza sklepu.

Czuła na plecach badawczy wzrok Rhysa. Po chwili minął ją, kręcąc głową, i ze słowami „Te kobiety!”, zniknął w kantorku.

Ledwie Whitney wyszła do domu po skończonej pracy, Rhys był już przy szafce na dokumenty i wyjmował z niej swój wniosek o pożyczkę. Nie obejdzie się bez niej - to, co zapłacił mu Luth i to, co sam odłożył przez kilka ostatnich miesięcy, mimo wszystko nie wystarczy.

Zbierając pieniądze na koszty postępowania sądowego, zapożyczył się już gdzie mógł, wykorzystał nawet pieniądze przeznaczone na rozruch interesu. Najwyższa pora wprowadzić w życie plan B.

Wpatrywał się teraz nie widzącym wzrokiem w leżące przed nim dokumenty, a myślami wybiegał do kobiety, która niedawno pojawiła się niespodziewanie w jego życiu.

Imponowała mu jej smykałka do prowadzenia interesu, jego rodzice byli nią zachwyceni, a Sara Jane świata za nią nie widziała. Cholera, on chyba też. Whitney spędzała z Sarą Jane mnóstwo czasu. Wyraźnie przypadły sobie do gustu i bardzo mu się to podobało. Uśmiechnął się i sięgnął po fotografię.

To skandal, żeby takie małe dziecko ograbione zostało z normalnego życia rodzinnego. Ale obecna sytuacja Sary Jane była o niebo lepsza od tego, co musiała przechodzić z matką.

Odstawił fotografię na biurko.

Jak to dobrze, że ma oparcie w rodzicach. Gdyby tylko udało się rozkręcić interes, mogliby odciąć się wreszcie od przeszłości i wieść sobie spokojne życie w Estrade. Góra pieniędzy nie była mu do szczęścia potrzebna; byle tylko mieć jakie takie zabezpieczenie finansowe i świadomość, że tym razem zrobił wreszcie coś dobrego.

Najbardziej obawiał się tego, że pewnego dnia matka Sary Jane przypomni sobie o córce i zacznie jej poszukiwać. Dobrze wiedział, że trzeba robić coś w kierunku uzyskania prawa do opieki nad małą. Ale dopóki nikt nie wiedział, że Sara Jane jest z nim i nie rozpatrzono jeszcze apelacji, wolał nie ściągać na siebie uwagi. Tylko nalotu służb społecznych jeszcze mu potrzeba. Mogliby umieścić Sarę Jane w domu dziecka albo, nie daj Boże, oddać ją matce.

Trzeba wstrzymać się ze wszystkim do czasu rozpatrzenia apelacji. Ze wszystkim, włącznie z rodzącymi się w głowie planami. Planami względem Whitney Sheffield.

Takie rojenia przyćmiewają zdrowy rozsądek. Szedł już kiedyś tą drogą i ani myślał znowu na nią wstępować.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Ty będziesz mamusią - rzekła Sara Jane, wskazując Whitney miejsce na miniaturowym krzeselku przy małym stoliku zabawce. - A ja będę twoją córeczką.

Whitney z czułością obserwowała Sarę Jane rozstawiającą na stoliku miniaturowe filiżanki na malutkich spodeczkach. Dziewczynka miała na sobie ogrodniczki z różowego sztruksu - w tym kolorze tak było kiedyś ładnie Morgan - białą koszulkę i białe rajstopy.

Któregoś dnia, pomyślała Whitney, któregoś dnia opowiem ci wszystko o twojej mamie.

Sara Jane podbiegła do miniaturowej kuchenki stojącej w kącie pokoju. Whitney odchrząknęła.

- Hm... przepraszam. Czy to nie ja powinnam gotować, skoro jestem mamusią?

Sara Jane odwróciła się i wzięła się jedną ręką pod bok. W drugiej trzymała drewnianą łyżkę.

- Umiem sama - oznajmiła z dumą i dla zaakcentowania swoich słów, pomachała łyżką. - Ale jak chcesz, możesz mi pomagać.

Wyglądała jak laleczka. Wielkie oczy, złociste włoski ujęte w koński ogon na czubku głowy, jasne pasemka opadające niesfornie na puciołowate zaróżowione policzki.

Whitney spróbowała sobie wyobrazić Rhysa rozczesującego włosy swojej córeczki. Nie, takie delikatne zabiegi powierzał chyba Grecie. Chociaż nie byłoby dla niej wielkim zaskoczeniem, gdyby zajmował się tym sam.

Sara Jane podbiegła do Whitney, wzięła ją za rękę i pociągnęła do kuchenki.

- Mogę ci pokazać, jak się to robi - zaproponowała.

- Dobrze. Słucham - rzekła Whitney, klękając obok dziewczynki.

- Najpierw - powiedziała Sara Jane - musisz wziąć to. - Wcisnęła Whitney na obie dłonie rękawice żaroodporne. - Potem musisz otworzyć drzwi kuchenki i wyjąć blachę z ciasteczkami. - Tu spoważniała i ściągnęła brwi. - Ale musisz bardzo uważać, bo gorące. Postawisz ją tutaj. - Poklepała rączką blat stołu obok kuchenki. - Potem bierzesz łąpatkę, nabierasz na nią ciasteczka i kładziesz je na talerzu.

Sara Jane zaklaskała w rączki z radości i zachichotała.

- A potem... - podjęła, przeciągając słowa - będziemy je jeść. - Radosny dziecięcy śmiech wypełnił pokój.

Whitney, przed otwarciem drzwiczek kuchenki, zajrzała do środka przez szybkę.

- Hm, prawdziwe ciasteczka?

Sara Jane wydeła usteczka i zmarszczyła czoło. Z tą miną tak przypominała Morgan, że Whitney ścisnęło się serce.

- Bo babcia też trochę pomagała - przyznała, zwieszając główkę.

Whitney parsknęła śmiechem. Słodkie niewiniątko. Taka podobna do matki, zanim tej nie zniszczyło życie i przeciwności losu.

- To cudownie! - zawołała, otwierając kuchenkę i wyjmując z niej ciasteczka. - A więc każdy trochę pomógł. To się nazywa praca zespołowa. - I kiedy Sara Jane chwyciła drugą łąpatkę i zaczęła jej pomagać w zdejmowaniu ciasteczek z blachy, dodała: - Myślę, że stworzymy wspaniały zespół.



Strzepując okruszki z czarnej welurowej bluzki i legginsów, patrzyła, jak dziewczynka, ostrożnie stawiając kroki, idzie z małym plastikowym talerzem do stołu.

Postawiła talerz na blacie i spojrzała z dumą na Whitney.

- Widzisz? Mówiłam, że umiem sama. - Tu spojrzała na drzwi i buzia się jej rozjaśniła.

- Tatuś! Tatuś! - zapiszczała, zupełnie zapominając o ciasteczkach i herbacie.

Podbiegła do Rhysa, który stał oparty o framugę i z uśmiechem się im przyglądał.

Rhys porwał małą na ręce i cmoknął ją w policzek.

- Będziecie psuły sobie apetyty przed kolacją? - zapytał.

Whitney nie pierwszy raz zwróciła uwagę, jak mało są do siebie podobni. Sara Jane miała aksamitne, złote włosy i brzoskwiniową cerę, włosy Rhysa były gęste i kruczoczarne, cerę miał oliwkową i chociaż obydwójce mieli niebieskie oczy, to Rhysa były o wiele ciemniejsze.

- Ja chcę jeść dzisiaj u babci. Rhys udał zaskoczenie.

- A co, znudziła ci się już moja kuchnia? - Zachichotał i połaskotał Sarę Jane pod brodą.

- Babcia lepiej gotuje. Chcę jeść u babci. Rhys postawił małą na podłodze i spojrzał na

Whitney.

- Nie mam do niej pretensji - powiedział. - Sam wiem, że moje posiłki nie są najsmaczniejsze.

- Pokręcił głową. - Ale żeby to usłyszeć od trzyletniego dziecka...

Przykre.

Sara Jane wzięła ich za ręce i zaciągnęła do stołu, a kiedy posłusznie usiedli, wybiegła z pokoju, wołając:

- Babciu, babciu, będziemy jedli u ciebie! Rhys i Whitney wiercili się zakłopotani na krzeselkach. Przez kilka chwil panowała niezręczna cisza. W końcu Whitney sięgnęła po ciasteczko i odgryzła kawałek, większy niż zamierzała. Musiała się czymś zająć, by ukryć jakoś zmieszanie obecnością Rhysa.

Rhys uśmiechnął się, rozparł wygodnie na małym krzeselku i zaskakująco dobrze imitując głos Humpreya Bogarta, powiedział z przekorną miną:

- No to wpadliśmy, kochanie. Ona już chyba nie wróci.

Zaskoczona Whitney chciała się roześmiać i okruch ciasteczka wpadł jej do tchawicy. Zakrztusiła się.

Rhys, widząc, że nie może złapać tchu, zerwał się z krzeselka, obiegł stół i jednym szarpnięciem podniósł ją na równe nogi, gotów zastosować chwyt Heimlicha.

- Zaczekaj - wykrztusiła Whitney i jeszcze raz odkaslnęła. - Już w porządku. Naprawdę.

Wiedziała jednak, że nie zabrzmiało to przekonująco. Rhys obejmował ją mocno w pasie, czuła pod piersiami jego napięte mięśnie i nogi zaczynały jej odmawiać posłuszeństwa. Jego bliskość działała odurzająco na jej zmysły.

Oparł czoło o czubek jej głowy, jego ciepły oddech owiewał jej policzek. Przeszedł ją dreszcz pożądania.

- Na pewno? - szepnął jej do ucha.

Pulsowała podnieceniem. Nie czuła się na siłach od niego oderwać.

- Jestem w tym ekspertem - powiedział cicho. I w tym przypadku mu uwierzyła.

- Idę pomóc babci - oznajmiła po kolacji Sara Jane nie znoszącym sprzeciwu tonem, zsuwając się z krzesła.

Kilka chwil wcześniej pod pretekstem pomocy w kuchni towarzystwo opuścił Johnny. Rhys i Whitney zostali sami. Popatrywali na siebie skrepowani przez szerokość wielkiego dębowego stołu.

Whitney przez cały posiłek rozpamiętywała chwilę bliskości z Rhysem. Ileż to razy od przyjazdu do Estrade zastanawiała się, jak by jej było w jego ramionach. Teraz wiedziała, że cudownie i, mój Boże, Rhys chyba to wyczuł.

Zdradziła ją reakcja ciała. Równie dobrze mogłaby mieć wypisane na czole, że go pożąda aż do bólu. Spojrzał jej w oczy. Czyżby myślał o tym samym? Oczywiście, że tak. Wyraźnie wyczuwała promieniującą z niego zmysłową energię.

Poprawiła włosy, sięgnęła po szklanke i wypła łyk chłodnej wody mineralnej w nadziei, że ugasi nią wewnętrzny żar. Nie wolno jej ulec czarowi tego mężczyzny. Nie wolno jej nawet o tym myśleć. Bo w przeciwnym wypadku... O, powodów było aż za wiele. Nie wolno jej i już.

Łatwo powiedzieć.

Rhys i jego rodzice przyjęli ją do swojego grona, nie zadając pytań. A ilekroć widziała Rhysa z Sarą Jane, w jego oczach była tylko miłość i czułość - i zawsze wtedy rodziło się w niej podejrzenie, czy Morgan aby jej nie okłamała.

Ale co z ustaleniami Alberta i z tym motocyklistą, który wręczył Rhysowi plik banknotów? No właśnie, co? Uświadomiła sobie teraz, że

Albert dawno się nie odzywał. Widocznie nie miał dla niej żadnych nowych informacji. Mimo wszystko postanowiła, że jeszcze tego wieczoru sama do niego zadzwoni. Tylko jedno wiedziała na pewno. Jeśli Rhys jest handlarzem narkotyków, to nie ma dla niego żadnego usprawiedliwienia. Człowiek, który bez skrupułó w niszczy innym życie, zasługiwał w jej mniemaniu na najwyższą pogardę.

Ale nie natknęła się jeszcze na ani jeden niezbity dowód tego, co słyszała o nim od Morgan. Jakakolwiek była prawda, siostra zabrała ją z sobą do grobu.

Whitney, unikając wzroku Rhysa, odstawiła szklanę z wodą.

- Wyjeżdżam na parę dni - oznajmił. - Jeśli chcesz, możesz sobie na ten czas zrobić wolne.

Zrobić sobie wolne? Patrzyła na niego z oszołomieniem. Co chciał przez to powiedzieć?

- Muszę jechać w interesach do Phoenix. Wpadnę na wystawę motocykli, porozmawiam z innymi dealerami, nawiążę trochę kontaktów. - Wyłowił ze stojącej przed nim miseczki dorodną oliwkę. - Sklepem zaopiekuje się tato, a ty możesz sobie trochę odpocząć i zająć się tym, czym w wolnych chwilach zajmują się fotografowie.

Wyjeżdża? Ucieka? Whitney poczuła narastającą panikę.

- A co z Sarą Jane? Zabierasz ją?

- Mama zabierze ją do siebie - odparł Rhys takim tonem, jakby nie miał przed Whitney nic do ukrycia. Uśmiechnął się pocieszająco. - Nie ma potrzeby się niepokoić.

Czyżby chciał, żeby ona też wyjechała? Czyżby to właśnie sugerował? Dlaczego? . - Och, przepraszam. Nie chciałam się wtrącać... Rhys przerwał jej machnięciem ręki.

- W porządku. Whitney zmieniała taktykę.

- Ja nie mam nic do załatwienia. Chyba tutaj zostanę. Wspomniałeś o jakiejś wystawie...

- O wystawie motocykli. Największej po Daytonie i Sturgis.

Z jej miny wyczytał, że nie ma zielonego pojęcia, o czym mowa.

- To dwa najważniejsze w kraju imprezy w branży motocyklowej.

Daytona Beach w marcu - to tradycyjny początek sezonu wyścigowego -a Sturgis w południowej Dakocie w sierpniu. Obu imprezom towarzyszą wielkie zloty motocyklistów. Ludzie ściągają z całego kraju. Tysiącami. Urwał i zamyślił się nad czymś.

- Jeśli się dobrze zastanowić, to skoro pracujesz nad albumem o motocyklach, powinnaś wybrać się z aparatem na taki zlot. W Phoenix jest trochę inaczej, to rodzaj targów, na których producenci prezentują swoje wyroby. Ale tam też jest ciekawie.

Przyglądał się jej przez chwilę, a potem oczy mu zabłyśły, jakby wpadł właśnie na jakiś pomysł.

- Mogłabyś ze mną pojechać. - Pochylił się nad stołem. - Tak.

Miałabyś tam co pstrykać. Lokalny koloryt, i tak dalej.

Whitney poczuła, że robi jej się gorąco. Zapomniała zupełnie, że ma zachowywać dystans.

- Wspaniała myśl! - zawołała i natychmiast ugryzła się w język.

Cholera, mogłaby zachować chociaż pozory profesjonalizmu. - Chciałam powiedzieć, że to wspaniała okazja!

Rhys obiecał, że postara się jej załatwić pokój w tym samym hotelu. Dzięki temu mogłaby uczestniczyć w spotkaniach z dealerami i hurtownikami, i spojrzeć na branżę z innej perspektywy.

- To znaczy, jeśli cię to interesuje. - Uśmiechnął się do niej i chwycił wbiegającą z kuchni Sarę Jane. Posadził ją sobie na kolanach. - No i co, maluchu? Pomogłaś babci przygotowywać ten deser? Nie widzę niczego na stole!

Sara Jane przytuliła się do niego, ale zaraz usiadła prosto i zaczęła wymachiwać nóżkami w różowo-białych tenisówkach.

- Może i ja pójde spytać, czy do czegoś się nie przydam - powiedziała Whitney, wstając.

W głowie szumiało jej od potencjalnych konsekwencji tego wyjazdu z Rhysem.

Mogłaby to być świetna okazja do pozyskania nowych informacji - prawie trzy godziny samochodem w każdą stronę. Na pewno zdołałaby z niego wyciągnąć, gdzie urodziła się Sara Jane. Ułatwiłoby to zadanie Albertowi.

Tylko że w tej chwili, patrząc na Sarę Jane siedzącą na kolanach u ojca, widząc w jego oczach miłość i rozczulenie, nie była wcale przekonana, czy chce odkrywać cokolwiek, co mogłoby zburzyć ten obraz.

Wróciła Greta z deserem - lekkim cytrynowym plackiem. Za nią wszedł Johnny. Sara Jane zsunęła się z kolan Rhysa i z pomocą Johnny'ego wdrapała z powrotem na swoje krzesło. Rhys posłał Whitney konspiracyjny uśmieszek.

- Przemyśl to sobie. Wyjeżdżam w czwartek.

Whitney nie mogła się zdecydować, co ze swojej garderoby zabrać na wyprawę do Phoenix. W sumie trzy dni. Stroje wieczorowe zdecydowanie niewskazane, powiedział Rhys, kiedy przyjęła jego zaproszenie i spytała, jak ma się ubrać.

Wrzuciwszy do torby dwie pary dżinsów i legginsy, uznała, że tyle jej wystarczy, zwłaszcza że nic więcej nie przywiozła z sobą do Estrade, a w miasteczku nie było sklepów, w których można by coś dokupić.

Nie mogła się już doczekać wyjazdu. Sara Jane będzie bezpieczna pod opieką dziadków, a ona skorzysta z okazji i zada Rhysowi kilka kluczowych pytań. I zrobi mnóstwo zdjęć.

Spojrzała jeszcze raz na swój bagaż - torba podróżna i torba z aparatami fotograficznymi. Ach, i jeszcze jedno. Wrzuciła do torby notes, w którym spisywała swoje rozmowy z Rhysem. Wszystko, co on powie, może być wskazówką, która pomoże ustalić miejsce urodzenia Sary Jane.

Spędzili już ze sobą sporo czasu i Rhys zaczynał się przed nią otwierać.

Powiedział, że jego rodzice przed dwudziestoma laty przenieśli się z dużego miasta do Estrade. Wybrali to miasteczko, bo Johnny kiedyś w nim był i wiedział, że ceny posiadłości nie są tu wygórowane. O sobie Rhys powiedział, że po ukończeniu college'u pracował jakiś czas w Chicago, ale do dalszych zwierzeń nie był skłonny.

Whitney kontaktowała się często z Albertem i próbowała poskładać w całość elementy tej układanki. Albert spodziewał się nadejścia lada dzień jakichś ważnych informacji z Chicago. Może one coś wniosą? W życiorysie Rhysa istniały dwie poważne luki. Jedna między Chicago i Los Angeles, druga między Los Angeles i Estrade. Jak dotąd Whitney z

Albertem nie udawało się wypełnić tych luk treścią. Brakowało im czegoś ważnego - i cokolwiek to było, mogło stanowić klucz do uzyskania prawa do opieki nad Sarą Jane. Mogło, ale nie musiało.

Whitney po wielokroć starała się analizować ustalone już fakty i za każdym razem wychodziło jej coś innego. Rhys wychowywał się w Chicago i ukończył tam college, ale nie wiadomo było, jaki ani kiedy. Jego wiek wskazywał na to, że odebrał dyplom gdzieś na początku lat osiemdziesiątych.

Zakładała, że ożenił się w Chicago, bo tam mieszkał i pracował aż do czasu, kiedy przeniósł się do Los Angeles. Z ustaleń Alberta wynikało, że w Los Angeles zjawił się przed mniej więcej czterema laty. Z wniosku o pożyczkę bankową wynikało, że ostatnio na etacie zatrudniony był w Chicago pięć lat temu. Wniosek był jednak niekompletny, nie wyczytała w nim, czym Rhys zajmował się potem.

Tak, Rhys zdecydowanie coś ukrywał. Świadomość tego sprawiała, że w głowie rozbrzmiewały jej wciąż echa słów Morgan: „On powie i zrobi wszystko, byle tylko dopiąć swego. I nie obchodzi go, czy ktoś na tym ucierpi”.

Musi zachować jak najdalej posuniętą ostrożność, tym bardziej że już tyle razy pomyliła się w swoich osądach w przeszłości. Teraz nie wolno jej do tego dopuścić. Zwłaszcza że chodzi o przyszłość siostrzenicy.

Zasunęła torbę na zamek błyskawiczny, podeszła do okna, uklękła na krześle i rozchyliła firanki. Rhys skręcał właśnie w podjazd.

Zaparkował i otworzył tylne drzwiczki. Sara Jane spała na tylnym siedzeniu. Podsunął jej pod samą brodę suwak w kurtce, zacisnął mocniej tasiemki kaptura i wziął na ręce.



Co za paradoks! Na podstawie poczynionych dotychczas obserwacji nie udowodniłaby przed żadnym sądem, że Rhys nie nadaje się na ojca. Mało tego, zaczynały ją nachodzić wątpliwości, czy w ogóle dobrze robi, podejmując starania o odebranie mu dziecka. Nie mówiąc już o tym, że będzie przecież musiała przekonać jakoś sąd, że Sarze Jane lepiej będzie z nią.

Ta ostatnia kwestia od dawna nie dawała jej spokoju. Zawiodła już jedną osobę, na której najbardziej jej zależało. Skąd u niej ta pewność, że w przypadku Sary Jane będzie inaczej?

Nie miała żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o opiekę nad dziećmi. Nie miała też żadnej bliskiej rodziny, u której mogłaby szukać zrozumienia i oparcia. Jedyne, co mogła zaoferować, to bezgraniczną miłość do dziecka siostry.

Z postanowieniem, że na razie nie będzie się tym przejmowała, puściła firankę. Spędziła z Sarą Jane cudowne chwile i chciała, żeby to nadal trwało.

Na razie musi się zadowolić tym, co ma, choć przyłapywała się na tym, że czasami jest z tego stanu aż za bardzo zadowolona i próbuje sobie nawet wyobrazić, co by to było, gdyby została z Rhysem i Sarą Jane w Estrade, gdyby udało jej się jakoś zapomnieć o przeszłości Rhysa i krzywdzie, jaką wyrządził Morgan...

O, nie! Co też jej przychodzi do głowy?

Zdecydowanym ruchem przewiesiła torbę z aparatami przez ramię, chwyciła leżącą na łóżku torbę podróżną i tak obciążona ruszyła do drzwi. Kiedy sięgała do klamki, ktoś głośno zapukał.

Otworzyła odruchowo i zaniemówiła. W progu stał Rhys. Przez chwilę patrzyli sobie w milczeniu w oczy.

- Przepraszam - wybąkał w końcu. - Przyszedłem zapytać, czy nie potrzebujesz pomocy... - Zawahał się, a potem chwycił za uszy torby podróżnej. - Daj, wezmę to do samochodu.

Oddała mu bez słowa torbę.

Dobre nieba, czuła się przy nim jak nastolatka! Co gorsza, podobało się jej to uczucie. Podobało jej się to mrowienie w dołku, to przyśpieszone bicie serca, ta miękkość w kolanach.

Tak wyobrażała sobie zawsze objawy zauroczenia mężczyzną, których dotąd nie dane jej było doświadczyć. A teraz odczuwała je i była skonsternowana. Naprawdę skonsternowana.

Bo to nie był właściwy mężczyzna. Cała ta sytuacja była niewłaściwa i niedorzeczna.

Jedynym wytłumaczeniem był pociąg fizyczny. Tak, na pewno chodzi tu o zwyczajny seks.

Rhys zbiegł po schodach po dwa stopnie naraz. Co mu odbiło, że zaproponował jej ten wypad! To tak, jakby postawić przed głodnym jego ulubione danie i zakazać mu jedzenia.

I co gorsza, zrobił to z własnej nieprzymuszonej woli.

Na szczęście Whitney była chłodna i opanowana - jak zawsze. Przynajmniej takie robiła na nim wrażenie.

Tak, widział w niej ten tłumiony żar, żar gotów wybuchnąć wielkim płomieniem. Cholera, nie mógł zaprzeczyć, że chciałby być tym, który go roznieci.

Ale nic z tego. Próbował już kiedyś igrać z takim ogniem i przyplacił to wrzodami na dwunastnicy i rozwodem. Jakby tego było za mało, spróbował potem jeszcze raz, chociaż wtedy, nauczony przykrym doświadczeniem, nie dał się po raz drugi zrobić w małżeństwo. I wyciągnął z tej podwójnej lekcji wnioski.

Przekonał się, że nie potrafi udawać kogoś, kim nie jest. Stare powiedzonko, że nie da się zrobić jedwabnych pończoszek ze świńskiej szczeciny, stosowało się do niego w całej rozciągłości.

Włożył torbę z rzeczami Whitney do bagażnika i wrócił do domu na śniadanie. Whitney i Sarę Jane zastał w pokoju dziennym. Siedziały z pochylonymi głowami i szeptały coś konspiracyjnie. Wyglądały jak matka i córka.

Przemknęło mu przez myśl, że może źle robi, dopuszczając do takiej komitywy. Sara Jane przywiązywała się do Whitney coraz bardziej, a to może mieć w przyszłości przykre konsekwencje. Whitney wróci wkrótce do swojego ekskluzywnego życia i zapomni o nich.

Sara Jane znowu poczuje się porzucona. Nie wolno mu do tego dopuścić. Z drugiej jednak strony dziewczynka ma prawo do miłości, choćby przez krótki czas...

- Śniadanie na stole - powiedział.

- Spodoba ci się, zobaczysz. Gwarantuję, że uznasz go za najpiękniejszy motocykl, jaki w życiu widziałas. Jedyny w swoim rodzaju.

- Rhys skręcił na stację benzynową, żeby zatankować. -

Kiedy skończę, będziesz go mogła obfotografować ze wszystkich stron.

- A nie warto by zrobić paru zdjęć dokumentujących pracę nad nim?

- Z tego, co mówił Rhys, wynikało, że buduje motocykl na zamówienie, ale nie chciał jej go pokazać przed ukończeniem.

- Musiałbym spytać klienta, czy się zgodzi. Rhys wysiadł i odkorkował wlew paliwa. Whitney wychyliła się przez okno od strony kierowcy.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Dlaczego miałbyś pytać kogoś o zgodę? To twoja konstrukcja. Dopóki ci za niego nie zapłacono, jest twój, prawda?

Wiatr rozwiewał Rhysowi włosy, nadając mu wygląd chłopca. Postawił kołnierz skórzanej kurtki i rzucił Whitney pobłażliwe spojrzenie.

- Może tak jest w branży fotograficznej - powiedział. - Ale ja, nie biorąc pieniędzy z góry, za wiele bym ryzykował. Potencjalny nabywca mógłby się nie zgłosić po odbiór zamówionej maszyny i zostałbym na lodzie.

Odwiesił wąż na widełki dystrybutora, odebrał wysuwający się ze szczeliny rachunek i wsiadł z powrotem za kierownicę.

- Trzeba przecież kupić ramę, silnik, części składowe. Wszystko to kosztuje, a ja nie mam z czego założyć. Taki motor na zamówienie może kosztować ze trzydzieści tysięcy albo i więcej.

Spoglądając w lusterko, wyprowadził jeepa na szosę prowadzącą z Estrade do Phoenix. Whitney jeździła nią już kilkakrotnie. Droga ta wiała się najpierw wśród gór, a potem biegła prosto jak strzelił przez pustynię usianą kamieniami i kaktusami saguaro.

- Zazwyczaj biorę połowę w chwili podpisania umowy, a drugą połowę po zakończeniu pracy - podjął Rhys. - W tym przypadku klient

wypłacił mi całą sumę z góry. - Zacisnął usta. - A do Phoenix jedziemy właśnie w sprawie pieniędzy. Jutro rano jestem umówiony w banku. - Zerknął na Whitney. - A ty zostaniesz na jakiś czas sama z tą zgrają motocyklistów - zażartował.

Jego ściągnięta twarz zdradzała, że coś go trapi, i Whitney wyczuła, że podjął próbę rozluźnienia atmosfery przez wzgląd na nią. Z tego, co mówił wcześniej, wynikało, że po nabyciu sklepu i warsztatu zostało mu jeszcze sporo pieniędzy, ale te rozeszły się później z jakiegoś tajemniczego powodu.

- Dam sobie radę - powiedziała, dostosowując się do jego żartobliwego tonu. - Z niejednego pieca już chleb jadłam. - Machnęła lekceważąco ręką. - Prawdę mówiąc, to pociągają mnie nawet takie różne podejrzane typki.

Rhys oderwał na chwilę wzrok od drogi, by zerknąć na nią. Chyba nie mówi poważnie?

Odchrząknął. Nie wiedział, co powiedzieć. Na myśl, że ktoś może ją pociągać, poczuł ukłucie zazdrości.

- Rhys! - krzyknęła. - Zjeżdżasz z drogi. Co się stało?

Ścisnął mocniej kierownicę. Stało się? A co się miało stać? Jeśli nie liczyć tego, że pragnął teraz ukryć twarz w jej długich włosach i wsunąć dłoń między jej uda...

Zacisnął zęby.

- Ciekawy jest ten twój pociąg do Aniołów Piekieł - odezwał się spokojnie - ale może lepiej omówimy plan zajęć na kilka najbliższych dni? No wiesz, posiłki, lokum...

Zaczerwieniła się.

- Jak chcesz.

Rhys roześmiał się. Podejrzewał już wcześniej, że to będzie bardzo trudny weekend, teraz zaś był tego pewien.

Kiedy zatrzymywali się pod hotelem, plan na najbliższe dni mieli już ułożony. Rozpakują się, a o siódmej trzydzieści spotkają się w holu i pójdą na kolację do restauracji. Rano Rhys wybierze się do banku załatwić swoje sprawy, a Whitney pospaceruje po mieście.

- Hotel nie zapewnia może wszystkich wygod, do których przywykłaś - powiedział, kiedy wysiadali z samochodu - ale blisko z niego na wystawę. No i jest tani.

- Nie jest tak źle - orzekła Whitney, obrzucając budynek taksującym spojrzeniem. - Poza tym przyjechałam tutaj robić zdjęcia, a nie na wczasy.

Rhys kiwnął głową.

- Fakt.

Zarejestrowali się i rozeszli do swoich numerów. Pokój Whitney był czysty, ale mały. Tak mały, że mógł przyprawić o klaustrofobię.

Pot wystąpił jej na czoło, poczuła znajomy niepokój. Podeszła szybko do okna i jednym szarpnięciem rozsunała kotary. Odetchnęła z ulgą, bo pokój od razu wydał się większy, przestronniejszy.

Rzuciła się na łóżko, ale zaraz zerwała się z powrotem, żeby przepłukać czymś gardło i włączyć telewizor. Rozsadzała ją energia, czuła się tak, jakby wypila jedną po drugiej sześć kaw z ekspresu.

Co ją tak nosi? Czyżby świadomość, że jest tu z Rhysem? Wolą nie rozwijać tej myśli. Rozpakowała się szybko, a potem zadzwoniła do Alberta.

- To ja, Albercie. - Przyciskając słuchawkę barkiem do ucha, przetarła sobie wilgotną ściereczką spocone ramiona. - Co tam słyhać?

- Niewiele. Właśnie wróciłem i jeszcze...

- Albercie, pytam, co słyhać w sprawie poszukiwań. Trafiłeś na coś? Na cokolwiek?

- Jedną chwileczkę.

Usłyszała przytłumiony stukot kostek lodu wrzucanych do szklanki.

- No! - odezwał się wreszcie. - Po dniu ciężkiej pracy człowiekowi należy się coś na odprężenie.

- Rozumiem. Czy teraz raczysz mi wreszcie powiedzieć, czy masz coś nowego w sprawie tego aktu urodzenia?

- Owszem. Ale to dziwne, Whitney. Więcej niż dziwne.

- Albercie! - fuknęła. Kończyła się jej cierpliwość. - Same fakty, bardzo cię proszę.

Albert westchnął teatralnie i Whitney wyczuła, że jest w swoim żywiole. Bardzo lubił stopniować napięcie, nawet w błahych sprawach.

- Muszę ci powiedzieć, Whitney, że to bardzo dziwne - powtórzył. - Nie znalazłem aktu urodzenia twojej siostrzenicy, znalazłem za to akt urodzenia Gannona.

Prychnęła. Wielka mi rzecz. I co z tego. Wiedziała już, kim są rodzice Rhysa; to odkrycie nie wносиło niczego do sprawy.

- No i?

- Nawet dwa - powiedział Albert.

- Dwa? Co dwa?

- Dwa akty urodzenia na nazwisko Rhys Gannon.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Co takiego... ? Nie rozumiem, Albercie. Chcesz powiedzieć, że jest dwóch Rhysów Gannonów?

- Otóż to.

- No i co z tego? Podejrzewam, że kobieta nosząca moje imię i nazwisko również gdzieś tam istnieje. O czym to, według ciebie, ma świadczyć?

Albert odchrząknął.

- Cholera, trudno powiedzieć, Whit. O tym drugim facecie na razie nic jeszcze nie wiem.

- A co to zmienia? Wystarczy, że nie mam najmniejszych wątpliwości, że Sara Jane jest córką mojej siostry. Najmniejszych!

Whitney przechadzała się nerwowo po pokoju, przyciskając słuchawkę do ucha. Zatrzymała się przy oknie i spojrzała na góry otaczające miasto. Sara Jane jest bezpieczna pod opieką dziadków, bezpieczna w Estrade.

No właśnie! Odpowiedź nasunęła się sama, kiedy pomyślała o Grecie i Johnnym.

- Ten drugi to prawdopodobnie jego ojciec.

Rhys mówił mi, że nadano mu imię po ojcu. Johnny to prawdopodobnie drugie imię jego taty albo coś w tym rodzaju.

To nie ma żadnego znaczenia. Odnalazła córeczkę siostry i na tym musi się skoncentrować. A Albert miał odnaleźć akt urodzenia Sary Jane, a nie szukać ludzi o imieniu Rhys i nazwisku Gannon.



Wyczuwała zakłopotanie Alberta, lecz była zbyt zirytowana, żeby się tym przejmować. Akt urodzenia Sary Jane był krytycznym dokumentem i potrzebowali go, by przejść do następnego punktu jej planu - udowodnienia, że jest z dziewczynką spokrewniona.

- Innych śladów nie sprawdzałeś?

- Owszem. - Albert podniósł nieco głos. - Pracuję nad jeszcze kilkoma. Dam ci znać, kiedy coś konkretnego ustalę.

- Dobrze. Zadzwoń do ciebie. - Whitney, tłumiąc podenerwowanie, odłożyła słuchawkę.

Odnosiła wrażenie, że Albert kręci się w kółko i nigdy nie zdobędzie informacji, na których tak im zależy.

Nazajutrz obudziła się wcześniej. Poprzedniego wieczoru przy kolacji ustalili z Rhysem, że poranek spędzą osobno, a potem zjedzą razem lunch. Rhys był umówiony na dziewiątą w banku; Whitney miała w tym czasie pokręcić się po wystawie i zrobić trochę zdjęć.

Przy kolacji rozmawiali niemal wyłącznie o sprawach zawodowych. Whitney pilnie baczyła na to, by się z czymś nie zdradzić. Po rozmowie z Albertem uświadomiła sobie, że nie chce słyszeć o Rhysie niczego złego. Nie chciała też nikogo zranić.

Wystarczył ten krótki pobyt w Estrade, by zrozumiała, co to znaczy być przywiązany do jakiegoś miejsca. Choć nie należała do rodziny Gannonów, wyczuwała łączącą ich silną więź.

Poprzedniego wieczoru zdała sobie sprawę, jak bardzo jej zależy, by Rhys zdobył potrzebne mu pieniądze, jak bardzo chce, by mu się powiodło, jak żałuje, że nie da się wymazać jego przeszłości z Morgan.

A co gorsza, pragnęła go. Nie, to było irracjonalne. Nie miało nic wspólnego z logiką i rozsądkiem. To pewnie odzywają się tylko tłumione przez lata potrzeby i emocje.

Boże, tyle miała do przemyślenia. Wzięła prysznic, włożyła džinsy, biały golf i czarną skórzaną kurtkę, którą przed wyjazdem dostała od Rhysa.

- To na wypadek, gdybyś chciała wtopić się w tłum - rzekł z przekornym uśmieszkiem. - Albo dać sobie na jakiś czas luz.

Nie bardzo wiedziała, co miał na myśli. Chyba to, że ze swymi manierami nie pasowała do środowiska, które chciała spenetrować. Musiała przyznać, że miał rację. Chyba znał ją lepiej niż ona sama.

Uzbrojona w aparat, obiektywy i rolki filmu pomaszerowała na tereny wystawowe z zamiarem fotografowania wszystkiego, co się wiąże z motocyklami. Poprzedniego wieczoru z fascynacją obserwowała przedstawicieli motocyklowej subkultury przewijających się przez restaurację. Dzisiaj chciała uwiecznić ich świat na kliszy.

I robiła to przez cały poranek.

W końcu, kiedy zbliżała się już pora spotkania z Rhysem, weszła do sali wystawowej, żeby tam na niego zaczekać.

Stanąła przy drzwiach i rozejrzała się po eksponowanych tu kolorowych, połyskujących chromami maszynach. Jej podniecenie rosło, czuła się jak dziecko, któremu podarowano całodzienny bilet do Disneylandu.

Kolistą salę zapępniały motocykle wszelkich kształtów i typów, stare i nowe, produkowane seryjnie i montowane na zamówienie. Między nimi przewijały się tłumy zwiedzających. Dealerzy prezentowali swoje cacka

każdemu zainteresowanemu i od kopuły odbijała się echem kakofonia zapuszczanych silników.

Whitney udzieliła się panująca tu atmosfera podniecenia. Był to raj dla fotografa; robiła zdjęcie za zdjęciem.

W pewnej chwili napotkała wzrok mężczyzny obserwującego ją z drugiego końca sali. Krew ścięła się jej w żyłach. Był to człowiek, który w zeszłym tygodniu odwiedził Rhysa w sklepie.

Rozpoznała go od razu, chociaż tym razem oczu nie przesłaniały mu lustrzane okulary. Opuściła aparat. Stojąc wśród tłumu wyglądał trochę inaczej niż wówczas, tak jakoś zwyczajniej...

Dziwne. Jeszcze dwa tygodnie temu nie tylko on, ale również Rhys i cały jego motocyklowy świat napawał ją niepokojem, prawie lękiem. Teraz, gdyby nie przyglądał jej się tak nachalnie, nie zwróciłaby na niego uwagi.

Był w czarnej koszulce, kruczoczarne włosy miał jak poprzednio związane w koński ogon, lustrzane okulary zawiesił sobie na szyi. Bez długiego, czarnego płaszcza ze skóry mężczyzna sprawiał niemal sympatyczne wrażenie.

Whitney znowu uniosła do oka aparat. Mężczyzna przeciął salę i zatrzymał się przed nią.

- Cześć - powiedziała z zuchowatym uśmiechem.

- Cześć. - Miał ostre rysy i czerstwą cerę. - Rhys prosił mnie, żebym cię znalazł i przekazał wiadomość od niego.

- Rhys?

Niemal niezauważalnie kiwnął głową.

- Przepraszam, ale nie może zjeść z tobą lunchu. Wizyta w banku potrwała dłużej, niż się spodziewała, a potem musi załatwić jeszcze parę spraw. Poprosił mnie, żebym go zastąpił, oprowadził cię po wystawie i odpowiadał na twoje pytania.

Nie chciała żadnego zastępstwa. Chciała być z Rhyssem.

- Jeśli zechcesz - dodał. Stał przed nią w rozkroku, z założonymi na piersi rękami. - Rhys powiedział, że później zadzwoni i umówi się z tobą na kolację.

- Och, przepraszam - wykrztusiła w końcu, kręcąc głową. - Zaskoczyło mnie trochę, że przysłał kogoś w zastępstwie.

- Przykro mi, że cię rozczarowuję - mruknął mężczyzna. - Ale przekonasz się, że wiedzą dorównuję Rhysowi, a może nawet go przewyższam. Przecież to ja nauczyłem go wszystkiego, co wie o motocyklach.

To stwierdzenie obudziło w Whitney zainteresowanie. Ciekawe, od jak dawna ten człowiek zna Rhysa? Może z jego pomocą uda jej się wypełnić białe plamy w życiorysie tego ostatniego.

- Jeszcze jeden ekspert! Ale mam szczęście. - Uśmiechnęła się szeroko i wyciągnęła rękę. - Whitney Sheffield.

- Pamiętam - rzekł z uśmiechem. - Luther Castelagno. Mów mi Luth. - Uścisnął jej dłoń. - Słyszałem od Rhysa o albumie i jestem na twoje usługi. Rhys poinstruował mnie dokładnie, co mi wolno, a czego nie...

Popatrzył na nią znacząco. Dobry Boże, przemknęło jej przez myśl, co też temu Rhysowi przychodzi do głowy? Przecież tylko żartowała z tym pociągiem do motocyklistów.

Podczas zwiedzania wystawy dowiedziała się, że Luth i Rhys są starymi przyjaciółmi z Chicago, że znają się od dziecka oraz że rodzina Lutha miała warsztat montujący motocykle na zamówienie i Rhys tam zdobywał swoją wiedzę.

- Rhys jest moim dobrym kumplem - oświadczył Luth, kiedy zatrzymali się przy małym stoisku z kanapkami. - Jest inteligentny, przystojny, ma wszystko, czego mnie brakuje.

Uśmiechnął się ironicznie, ale z jego tonu przebijał podziw i Whitney wyczuła, że tych dwóch mężczyzn łączy silna więź.

- Bardzo mi pomaga - powiedziała. - I jest taki dobry dla Sary Jane.

Luth uniósł brwi i popatrzył na nią z aprobatą.

- Moim zdaniem ludzie, którzy się lubią, powinni to sobie mówić. A podejrzewam - dodał - że lubisz go tak, jak on ciebie. Dobrze, że jesteś przy nim. Dzięki tobie nie gryzie się tak dzieciakiem.

Whitney zakrztusiła się przetykanym właśnie kęsem.

- No... może. Ale z tego, co widzę, Sara Jane jest aniołkiem. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, w jaki sposób mogłaby przysparzać Rhysowi zmartwień.

Luth kiwnął głową i biorąc Whitney pod łokieć, poprowadził ją do wind.

- Naturalnie. Sara Jane to aniołek - przyznał. - Miałem na myśli chłopaka.

Whitney wsiadła do windy. Kiedy drzwi zaczęły się bezszelestnie zasuwać, Luth pomachał jej ręką i zawołał:

- Dzięki za miłe popołudnie. Zobaczymy się na kolacji.

Ogłuszona Whitney patrzyła na niego z otwartymi ustami. Chłopak?

- Pani na które piętro?

- Eee... na piąte - wybąkała, dopiero teraz zauważając dwie eleganckie kobiety w wydekoltowanych sukniach, które wsiadły z nią do kabiny.

Wybiegła z windy na piątym piętrze i wpadła do swojego pokoju. W uszach wciąż dźwięczały jej słowa Lutha.

Chłopak... Czyżby Rhys miał jeszcze syna?

Nie wspominał nic o żadnym synu.

Ściągnęła kurtkę i biały golf i usiadła na brzegu łóżka. Nie mogła zebrać myśli. Dobry Boże, dlaczego to przed nią ukrywał?

Greta i Johnny też nie zająknęli się słowem na temat wnuka. Czyżby to była jakaś wielka tajemnica? Marszcząc brwi, zdjęła buty, a potem dzin-sy. I nagle przypomniała sobie fotografię.

Może ten „chłopak” to syn siostry, siostrzeniec Rhysa? I może Rhys martwi się o niego z jakiegoś powodu? Całkiem możliwe.

Musi go o to spytać. Jeszcze dzisiaj.

Spojrzała na zegarek. Tylko że Rhys może nie przyjść również na kolację. Lepiej od razu do niego zadzwonić.

Podeszła do telefonu. Na panelu automatycznej sekretarki mrugało czerwone światełko oznaczające, że ktoś zostawił na niej wiadomość.

Wdusiła przycisk i usłyszała głos Rhysa:

„Przepraszam za popołudnie. Spotkajmy się w barze o szóstej.

Wypijemy drinka przed bankietem. Cześć”.

Spojrzała ponownie na zegarek. Kilka minut po piątej; ma jeszcze prawie godzinę. Wzięła prysznic i zajrzała do swojej torby. Nie bardzo

było w czym wybierać. Że też nie pochodziła rano po hotelowych sklepikach.

Zdecydowała się na białą bluzkę, białe legginsy i czarną tunikę. Do tego czarne zamszowe pantofle na wysokich obcasach. Zaczesała do tyłu włosy, związała je czarną aksamitką i przejrzała się w lustrze.

Ściągnęła brwi. W porównaniu z kobietami z windy wygląda jak kopciuszek. Zatrzasnęła torebkę, otworzyła drzwi i zatrzymała się jak wryta. Korytarzem przechodziła roześmiana grupa mężczyzn i kobiet. Nie byli, co prawda, w strojach wieczorowych, ale wyglądali o wiele bardziej elegancko niż ona.

W końcu korytarza dostrzegła Rhysa i Lutha. Stali w towarzystwie kobiety w srebrzystej, obcisłej sukni z lamy, której mogłaby jej pozazdrościć sama Cher.

A Rhys nigdy nie wydał jej się bardziej seksowny. Był w czarnym garniturze i koszuli ze stójką, miał czarny pasek ze srebrną sprzączką i zaczesane do tyłu włosy; wyglądał jak filmowy amant. Oniemiała patrzyła, jak Rhys i Luth wymieniają jakieś papiery, podają sobie ręce i rozchodzą się w przeciwne strony. Kobieta poszła z Luthem, ale Whitney przechwyciła pełne uznania spojrzenie, które posłał za nią Rhys.

Poczuła ukłucie zazdrości. A może zostać w pokoju? Nie iść na tę kolację? Zamknęła drzwi i oparła się o nie. Stała tak przez chwilę, a potem podeszła do lustra i spojrzała z dezaprobatą na swoje odbicie.

Nie wyglądała jak kopciuszek. Wyglądała jak staromodna zakonnica odziana od stóp do głów w biel i czerń. Zirytowana zdjęła bluzkę. Tunika sięgała do pół uda, mogła uchodzić za sukienkę mini. Odwróciła się, by

sprawdzić, jak wygląda z tyłu. Chciała, żeby Rhys patrzył na nią tak, jak przed chwilą na przyjaciółkę Lutha.

Niewiele myśląc, odpruła kołnierzyk i mankiety, zdjęła legginsy i rozpuściła włosy. Weszła do łazienki. Trochę połysku na matoworóżową szminkę, trochę różu na policzki, i gotowe.

Włożyła z powrotem pantofle, wzięła z łóżka torebkę i ruszyła do drzwi. Tym razem nie spojrzyła w lustro, bo mogłaby ją opuścić odwaga i nie wyszłaby na korytarz.

Rhys siedział przy barze i wpatrywał się w stojącą przed nim szklaneczkę szkockiej z wodą. „Strangers in the Night”, melodia grana przez pianistę pogłębiała melancholię, w jaką popadł. Zamienił z Luthem kilka słów na korytarzu, a potem zszedł do hotelowego baru, żeby poczekać tam na Whitney i odreagować trochę poranną wizytę w banku.

Jego wniosek o pożyczkę odrzucono. Prawdę mówiąc, spodziewał się takiego obrotu sprawy, ale teraz miał ochotę rzucić wszystko w diabły. Ten rok należał do najgorszych w jego życiu i odmowa banku odbierała mu ostatnią nadzieję.

To dlatego nie spotkał się z Whitney na lunchu i poprosił Lutha, by go zastąpił. Nie chciał psuć dziewczynie humoru swoim podłym nastrojem. Ale myślał o niej - choć zdawał sobie sprawę, że między nimi nie zawiąże się nigdy nic poważnego.

Nie mógł sobie pozwolić na poważny związek. A przynajmniej nie z taką jak ona kobietą. Nie była dla niego.

Ta świadomość nie przeszkadzała mu jednak snuć erotycznych fantazji... Spotykają się ich usta, on tuli do siebie jej nagie ciało, pieści je



delikatnie, szuka tego najwrażliwszego miejsca... Cholera! Odsunął od siebie szklanę. Niepotrzebny mu alkohol. Potrzebny mu zimny prysznic.

Po chwili zastanowienia sięgnął jednak po drinka. Zaczął przechylać szklanę na boki, zalewając bursztynowym płynem kostki lodu, w końcu uniósł ją do ust i jednym haustem wychylił zawartość. Jeden drink nie zaszkodzi.

Wpatrując się w pustą szklanę, wyczuł w pewnej chwili obecność Whitney. Wyczuł ją tak, jakby go fizycznie dotknęła.

Uniósł powoli głowę.

Stała w drzwiach, podświetlana od tyłu przez palące się w korytarzu lampy. Jasne włosy spływające na ramiona, twarz częściowo skryta w cieniu... przywodziła na myśl surrealistyczną fotografię. Serce mocniej mu zabiło.

Obok niego siedziało dwóch trochę już wstawionych facetów w garniturach.

- Ty, popatrz tylko! - mruknął jeden z nich do kolegi. - Założymy się, który ją poderwie?

Rhys zsunął się ze stołka.

- Daruj sobie, stary - warknął gniewnie do mężczyzny. - Ona jest ze mną.

- Szczęściarz! - westchnął facet w garniturze, trącając kolegę łokciem.

Rhys zjeżył się. Jeśli ten frajer chlapnie jeszcze jedno słowo, da mu w zęby. Spiorunował mężczyznę wzrokiem i ruszył Whitney na spotkanie.

- Punktualna jesteś - powiedział, zerkając na zegarek. Rozbrajający uśmiech Whitney rozświetlił salkę i rozwiął jego gniew - gniew, który

podejrzanie przypominał zazdrość. Wziął ją pod rękę i poprowadził w kierunku stolika w drugim końcu sali, by znaleźć się możliwie najdalej od dwóch frajerów przy barze.

Przezornie zajęł miejsce naprzeciwko Whitney. Jak spod ziemi pojawiła się przy nich kelnerka.

- Dla mnie nic, dziękuję - powiedziała Whitney i uśmiechnęła się.

Rhys zawahał się. Wypił już jednego drinka i miał dość. Ale nie wiedzieć czemu zamówił jeszcze jedną szkocką.

- Nie pijesz? - Wygrzebał z kieszeni banknot dwudziestodolarowy i położył go na stoliku.

W oczach Whitney pojawił się cień obawy.

- Czasami. - Przesunęła językiem po dolnej wardze. - Czasami wypijam kieliszek wina.

Spuściła wzrok. Odniósł wrażenie, że ten temat wprawia ją w zakłopotanie. A może tylko mu się wydawało?

- Nie musimy tutaj siedzieć. Pomyślałem tylko, że to dobre miejsce na spotkanie i omówienie planów na jutro.

Jej zakłopotanie wyraźnie mu się udzielało i miał trudności z podtrzymaniem konwersacji. Odetchnął z ulgą, kiedy wróciła kelnerka.

- Ale jeśli chcesz, możemy przenieść się gdzie indziej - powiedział.

- Nie. - Pokręciła głową. - Zostańmy tutaj. Zmieniłam zdanie, zamówię sobie dietetyczną colę.

Kelnerka kiwnęła głową i oddaliła się. Rhys odchylił się na oparcie krzesła, próbując się odprężyć.

- Przepraszam za ten dzisiejszy lunch. Chyba się nie obraziłaś?

Zauważył, że zeszywniała.

- Bardzo miło spędziłam popołudnie. Twój przyjaciel był czarujący i dobrze zorientowany w temacie.

Wróciła kelnerka z colą.

- A więc dobrze się bawiłaś?

- Cudownie - odparła chłodno. - Naturalnie przykro mi było, że nie mogłeś przyjść, ale Luth wspaniale cię zastąpił. - Zawiesiła na chwilę głos.

- Mówił, że jesteś zajęty.

- Nie byłem zajęty, ale byłem w podłym nastroju. Bank odrzucił mój wniosek o pożyczkę.

Whitney wyciągnęła rękę i współczująco dotknęła jego dłoni.

- Tak mi przykro, Rhys. Musiałeś się bardzo zdenerwować.

Zesztywniał. Krtań mu się ścisnęła.

- Nic się takiego nie stało. Są jeszcze inne banki.

- Sięgnął po szklankę. Nie chciał jej współczucia.

- A jak twoje sprawy? Zrobiłaś jakieś zdjęcia? Whitney upiła łyczek coli.

- Trochę, ale nie tyle, ile bym chciała. Zdecydowanie potrzeba mi więcej skóry.

- Skóry?

- Tak... No wiesz, ludzi. - Uśmiechnęła się najbardziej czarującym uśmiechem, jaki w życiu widział. - To taki fotograficzny slang.

- Gotowi? - Znajomy głos Lutha przywołał Rhysa do rzeczywistości. Oderwał oczy od Whitney. Przy stoliku stali Luth i jego dziewczyna. - Kolację podano, stary! Idziemy. - Luth przeniósł wzrok z Rhysa na Whitney i uśmiechnął się. - Cześć.

Luth rzadko się uśmiechał i Rhysa ogarnęło znowu to prymitywne uczucie zaborczości. Śmieszne.

- Rajcownie wygląda ta twoja dziewczyna - powiedział Luth do Rhysa, pokazując Whitney uniesiony kciuk.

- Idźcie przodem. - Rhys wstał od stolika i podał Whitney ramię.

Przeszli do sali bankietowej i zajęli miejsca przy jednym z okrągłych stolików. Na twarzy Whitney malowało się podniecenie. Przypominała teraz Rhysowi małą dziewczynkę, która za chwilę ma rozpakować prezent niespodziankę. Podobała mu się ta jej reakcja. W ogóle mnóstwo rzeczy się mu w niej podobało.

Podobała mu się jej spontaniczność, jej wrażliwość. Nie była podobna do kobiet, które znał. Nigdy nie usłyszał z jej ust skargi ani przekleństwa. I odnosił wrażenie, że ona dobrze się czuje w jego towarzystwie. Tak, to też mu się w niej podobało.

Zrobiło mu się lekko na sercu. Przy niej tak łatwo zapominał o kłopotach i o tym, co ich dzieli.

- Chciałam zabrać aparat - powiedziała Whitney, nachylając się do niego. - Ale pomyślałam sobie, że nie wypada tu robić zdjęć.

- Pójdziemy po niego później.

Wciągnął w nozdrza jej zmysłowy zapach i ogarnęła go niepoohamowana żądza. Żądza mająca swoje źródło w sercu.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Whitney postanowiła skorzystać z przerwy w programie i lawirując między krzesłami i stolikami, pomaszerowała do toalety.

Chciała zapytać Rhysa o chłopca, o którym wspomniał Luth. Zamierzała go o to zapytać jeszcze w barze, ale tego nie zrobiła. Bała się od niego usłyszeć, że to nie jej interes.

Z drugiej strony, co jej do tego? Niech Rhys ma sobie i z dziesięcioro dzieci z dziesięcioma kobietami. Co ją to w ogóle obchodzi?

Znała odpowiedź. Obchodzi ją, bo zależy jej na Rhysie. Chciała wiedzieć, czy ma jeszcze jakieś dzieci. Chciała wiedzieć o nim wszystko, o dzieciach też. Czyżby był to syn z małżeństwa, które się rozpadło? A może z innego nieformalnego związku, jak ten z Morgan? Jeśli chłopiec mieszka z matką, to Rhys ma na pewno prawo do widzeń z dzieckiem.

Może ten drugi akt urodzenia świadczy o tym, że Rhys ma syna, który zgodnie z rodzinną tradycją odziedziczył po nim imię.

A może chłopiec cierpi na jakąś chorobę albo jest upośledzony umysłowo, albo matka nie pozwala Rhysowi spotykać się z nim. Powodów, dla których nikt o tym nie mówił, mogło być dziesiątki.

Dlaczego zakłada zawsze najgorszy scenariusz? Dlaczego nie stosuje wobec Rhysa domniemania niewinności? Na pewno istnieje jakieś logiczne wyjaśnienie całej sprawy, i wkrótce je pozna.

Opłukując ręce nad umywalką, przypomniała sobie o Brocku - to przez niego była taka nieufna. Zdrada byłego narzeczonego uświadomiła jej, że nie zna się zupełnie na mężczyznach. I musi brać to pod uwagę.

Wchodząc do sali bankietowej, napotkała spojrzenie Rhysa. Patrzył w jej kierunku. Serce zabiło jej żywiej, kiedy do niej pomachał. W tym ułamku sekundy zdała sobie sprawę, że nie знаła jeszcze mężczyzny, który tak by ją intrygował.

Idąc do niego między stolikami, powtarzała sobie, że jej odczucia nie mają żadnego znaczenia, bo on nie wie, kim ona jest ani co ją tu sprowadziło. A kiedy pozna prawdę, więcej już na nią nie spojrzy. Chyba że potrafi mu to jakoś wytłumaczyć...

Kiedy podeszła do stolika, Rhys wstał, wziął ją za rękę i pociągnął do drzwi po drugiej stronie sali.

- O co chodzi? Dokąd idziemy? - wykrztusiła. Położył palec na ustach.

- Rhys, gdzie mnie ciagniesz?

- Cicho, ściany mają uszy.

- Jakie ściany? Jakie uszy? O czym ty mówisz?

- Są tu wszystkie. - Wskazał na drzwi w końcu korytarza i wyjął z kieszeni klucz. - Dostałem go od znajomego - szepnął konspiracyjnie.

Uchylił drzwi, wśliznął się do środka, wciągnął Whitney za sobą i zamknął je szybko. Ogarnęła ich nieprzenikniona ciemność. Whitney przywarła do jego ramienia.

- O co chodzi, Rhys? Czemu tu tak ciemno? Przygarnął ją do siebie tak mocno, że zadrżała.

- Jedną chwileczkę. Nie ruszaj się, bo na coś wpadniesz.

Obejmując ją w talii lewą ręką, prawą badał ścianę przy framudze.

- Gdzieś tu musi być kontakt... - mruknął. - Mam.

Usłyszała ciche pstryknięcie i pomieszczenie zalała powódź światła. Zamrugła oślepiona. Rhys patrzył na nią z góry.

- Oczy zaraz ci się przyzwyczają - powiedział. - Odwróć się wtedy.

Podniosła na niego wzrok. Stał tak blisko, że ich usta niemal się stykały. Czowała jego oddech. Zapragnęła go pocałować. Opanowała się w ostatniej chwili.

- Spodoba ci się to, co zobaczysz - dokończył cicho, zmysłowo przeciągając słowa.

Nie odrywała oczu od jego ust.

- Wiem - szepnęła.

- No to odwróć się i popatrz, bo musimy zaraz wracać.

Odsunęła się od niego z ociąganiem i odwróciła powoli.

- Ojej! - zawołała.

W pomieszczeniu, jeden przy drugim, stały motocykle.

- Pomyślałem sobie, że zechcesz zrobić trochę zdjęć, zanim zrobi się tu tłoczno.

Obejrzała się na niego.

- Przecież nie mam przy sobie aparatu. - Podeszła do pierwszego rzędu błyszczących maszyn ogrodzonych złotym satynowym sznurem.

- Tak, wiem. - Uśmiechnął się. - Pójdziemy po niego i wrócimy tutaj.

- Wziął ją za rękę. - Ale najpierw skończmy kolację.

Trzymając się za rękę, wrócili do sali bankietowej.

- Ciekaw byłem, czy zdążycie - powiedział na ich widok Luth, robiąc wymowną minę.

Whitney zaczerwieniła się. Udała, że nie zrozumiała aluzji, ale bardzo dobrze wiedziała, co Luth miał na myśli.

Rhys odsunął Whitney krzesło, a kiedy usiadła, zajął miejsce między nią a Luthem i odchylił się na oparcie, żeby widzieć i scenę, i profil Whitney. Nie ochłonał jeszcze.

- Zakładamy się? - Luth trącił go łokciem i pomachał dłonią przed oczami. - Jesteś z nami, stary, czy to szkliste spojrzenie już ci zostanie?

- Tak. - Rhys otrząsnął się z rozmarzenia. - Co mówiłeś?

- Zakładamy się? No wiesz, chodzi mi o nasz doroczny zakład o to, który motor zdobędzie pierwszą nagrodę. - Luth przyglądał mu się podejrzliwie. - Mówię o maszynach, które przed chwilą oglądałeś. - Jeszcze raz zerknął na Rhysa spod oka i położył na stole pięćdziesięciodolarowy banknot.

- Jasne. - Rhys sięgnął do kieszeni po pieniądze, żeby przybić zakład. Co tam pięćdziesiąt dolców, kiedy jemu potrzeba paru tysięcy? A jeśli nie przyjmie zakładu, Luth zacznie się zastanawiać dlaczego.

- No! - Luth postukał w blat. - Forsa na stół. Panie będą świadkami. - Wyciągnął z kieszonki koszuli długopis i podał go wraz z serwetką Rhysowi. - Zapisałem tu mój typ - powiedział, pokazując serwetkę. - Zapisz swój i przygotuj się na przegraną. - Przyglądał się Rhysowi. - Co, nie możesz się zdecydować? - Przeniósł spojrzenie na Whitney. - Czy może byliście tam zbyt zajęci, żeby zwracać uwagę na numery?

Rhys nabazgrał coś na serwetce, złożył ją na pół i wręczył Lee Ann, dziewczynie Lutha. Luth miał rację. Był zbyt zaabsorbowany Whitney, by myśleć o czymkolwiek innym. Na szczęście oglądał wystawione motocykle wcześniej i zapamiętał numer swego faworyta.

Kolacja wlokła się niemiłosiernie. Czy mu się to podobało, czy nie, nie mógł oderwać myśli od siedzącej obok kobiety. Była remedium na



jego troski. Dzięki niej zapomniał nawet o rozczarowaniu, jakiego doznał rano w banku.

Owszem, odmówiono mu, ale jeśli się dobrze zastanowić, świat się na tym nie kończył. Istnieją przecież jeszcze inne sposoby zdobycia pieniędzy. Dostyc tego rozdrapywania ran. Jest tutaj z piękną kobietą, i wyśmienicie się czuje w jej towarzystwie.

- Chodźmy po aparat, Rhys - powiedziała Whitney, kiedy skończył się program.

Zatrzymali się przed pokojem Whitney. Rhys wziął od niej klucz i otworzył drzwi. Whitney zapaliła światło, rzuciła torebkę na krzesło i zrzuciła z nóg pantofle.

- Napijesz się czegoś, zanim skompletuję sprzęt?

Rozejrzał się. Byli sami. A on jej pragnął.

- Chętnie. A co masz?

Otworzyła lodówkę i wyjęła z niej małą buteleczkę.

- A na co miałbyś ochotę? - zapytała.

Czy mu się wydawało, czy w tonie, jakim to powiedziała, pobrzmiwało zaproszenie? Ciekawe, jak by zareagowała, gdyby jej powiedział, na co naprawdę ma ochotę?

- Może być szkocka. - Nie powinien już pić. Nie powinno go tu być, ale...

Już jakiś czas temu odkrył, że przebywanie w jej towarzystwie, bez względu na nastrój, w jakim się znajdował, jest o niebo lepsze od samotności. Dziwne, bo właściwie niewiele o niej wiedział. Powiedziała mu, że była zaręczona. Coś tam nie wyszło i wyczuwał, że bardzo to

przeżyła. I nie mógł znieść myśli, że mogło jej tak zależeć na innym mężczyźnie.

A to przecież śmieszne.

Na pewno wiedział o niej tylko to, że wyjedzie, kiedy skończy pracę nad albumem. I rozpocznie gdzieś tam, może nawet poza granicami kraju, nową sesję zdjęciową.

Ale w tej chwili, tu i teraz, nie miało to znaczenia. Nie gasiło pożądania, pragnienia, by ją osiąść bez oglądania się na koszty. Kiedy podawała mu drinka, spotkały się ich spojrzenia. I znowu zobaczył w jej oczach zaproszenie. Powoli odebrał od niej szklanekę.

- Wezmę aparaty - powiedziała cicho, odwróciła się i ruszyła w stronę komody.

- Pomóc ci?

Obejrzała się i machnęła ręką w kierunku nocnego stoliczka.

- Możesz mi podać tamto pudełko z filmem - powiedziała prawie szeptem.

Podszedł do niej, odstawił powoli szklanekę na nocny stoliczek i wziął z niego pudełko. Odetchnął głęboko jej odurzającym zapachem. Pragnął jej. Ależ jej pragnął.

Przysunęła się bliżej, oczy miała zamglone, usta wilgotne i rozchylone, kuszące, zapraszające. Wsunął jej pudełko w dłoń, ale nie cofnął ręki.

Skórę miała rozpaloną. I nagle puściły mu wszystkie hamulce. Odruchowo przyciągnął ją do siebie i pocałował gorąco. A kiedy jęknęła cicho i wtuliła się w niego, serce omal nie wyskoczyło mu z piersi.

Powinien przestać, rozsądek to podpowiadał. Ale nie mógł. Zaczaj ją popychać powoli w kierunku łóżka, wsuwając po drodze obie dłonie pod sukienkę. Skórę miała tak aksamitną, jak to sobie wyobrażał. Wtulił twarz w jej włosy i napawał się przez chwilę ich słodkim, rozkosznym zapachem. Tonął.

Whitney jęknęła i wyszeptała jego imię. Reagowała na jego pieśczoły, oddech miała przyśpieszony.

- Jak dobrze, Rhys. Jak dobrze...

Jego pożądanie sięgnęło zenitu i wiedział, że nie przestanie. Pragnął jej, musiał ją mieć. Odchyliła się i zaczęła mu rozpinąć pasek. Zrzucił z siebie marynarkę. Whitney rozpięła mu koszulę i przywarła gorącymi ustami do jego piersi. Ściągnął jej przez głowę sukienkę. Spleceni w uścisku padli na łóżko.

- Zaczekaj - szepnęła. - Masz coś ze sobą? Cholera! Ze też wcześniej o tym nie pomyślał.

Przecież nie może się z nią kochać bez zabezpieczenia. Miał w portfelu prezerwatywę, ale była tak stara, że chyba rozsypałaby się przy najmniejszym ruchu. Popatrzył zrozpaczony na jej piersi, na nabrzmiałe usta. Do diabła, może się jednak nie rozsypie? Kiwnął głową i sięgnął po portfel.

Promień słońca padł na twarz Whitney. Zamrugła powiekami i przeciągnęła się leniwie jak zadowolona kotka. Próbowwała odpłynąć z powrotem w ten piękny sen, w którym czuła się tak pożądana... i tak kochana. Bezskutecznie.

Budząc się, uświadomiła sobie w pewnej chwili, że to nie był wcale sen. Pomacała ręką łóżko obok siebie. Zimne prześcieradło i pusty materac. Przewróciła się na drugi bok. Nie ma go.

Spojrzała na podłogę. Jego ubrania też nie było.

Kochali się, potem ona zasnęła, a on wyszedł. Ale było cudownie. Tak dobrze nie było jej jeszcze z żadnym mężczyzną. Wiedziała już, że kimkolwiek był, zanim go poznała, to teraz na pewno nie jest człowiekiem, o którym opowiadała jej siostra. I wiedziała, że jej życie już nigdy nie będzie takie jak dotychczas.

Co tu ukrywać, zależało jej na Rhysie i miała nadzieję, że jemu też na niej zależy. Chociaż troszeczkę. Pamiętała przecież, jak na nią patrzył, pamiętała jego rozszerzone źrenice, jego twarz, na której malowała się mieszanina żądzy z uwielbieniem. Ale co z tego? Doświadczenia z przeszłości wytworzyły w niej jakąś blokadę, nieufność w stosunku do mężczyzn. Bała się trwałych związków i unikała ich jak ognia. Powstałą lukę usiłowała zasypać, poświęcając się bez reszty pracy zawodowej, fotografii.

Wstała i skierowała się do łazienki. Kiedy wychodziła spod natrysku, zadzwonił telefon.

Whitney podbiegła do aparatu, niemal pewna, że to Rhys.

- Halo?

- Cześć. Mam nadzieję, że cię nie obudziłem. Głos miał jakiś szorstki...

- Nie. Brałam właśnie prysznic.

Nie odzywał się przez dłuższą chwilę, potem powiedział:

- Jeśli chcesz sfotografować te motocykle, to się pośpiesz. Wkrótce nie będzie gdzie palca wcisnąć.

- Dobrze. Za piętnaście minut będę gotowa.

- Ile ci potrzeba na zrobienie tych zdjęć? O jedenastej wpuszczają publiczność.

Zjeżyła się. Jego ostry ton zbijał ją z tropu. Cóż, nie spodziewała się hołdów i kwiatów, ale takiego chłodu również. Oboje byli dorośli. Przejście do porządku dziennego po wydarzeniach ostatniej nocy nie powinno im przysparzać trudności. Jeśli on nie chce się wiązać, ona potrafi to uszanować. Usunie się z jego życia, skoro taka jest jego wola. Po co zaraz ten ostentacyjny chłód?

- Uwinę się z tym szybko - powiedziała, przyjmując podobny ton. - Potrzeba mi jakieś czterdzieści pięć minut do godziny.

Zerknęła na zegarek. Do otwarcia wystawy pozostawały jeszcze cztery godziny. Po co to ponaglanie?

- To dobrze. Zdążysz. Jak skończysz, wpadnij do kafejki. Będę tam czekał. Powiedzmy o dziewiątej trzydzieści.

Poprawiła ręcznik, którym była owinięta. To by znaczyło, że nie będzie jej towarzyszył podczas robienia zdjęć.

- Zjemy śniadanie i naradzimy się, co dalej.

- Dobrze. To na razie. - Odłożyła powoli słuchawkę i wróciła do łazienki, żeby wysuszyć włosy.

Gdyby nie znała go lepiej, mogłaby złożyć jego poranne humory na karb niewyspania. Ale jak dotąd każdego ranka był pełen życia, tryskał energią i dobrym samopoczuciem. Może ta sprawa z pożyczką tak go przygnębiła albo...

Albo ją rozszyfrował. Boże, to niemożliwe. A może jednak?

Chwyciła suszarkę i pochyliła się nad wanną. Nie, niemożliwe, żeby ją rozszyfrował. Jakim cudem?

Postanowiła jednak, że wyzna mu prawdę. Po tym, co zaszło między nimi ostatniej nocy, nie mogłaby już ciągnąć dalej tej gry. Czułaby się jak zwyczajna oszustka.

Musi to zrobić bez względu na konsekwencje. Tylko jak mu to powiedzieć, żeby zrozumiał? Jeśli się dowie, że brała go za handlarza narkotykami, to może zrozumie...

Wzdrygnęła się.

Uwierzył jej, zaufał, a ona tak mu się odpłaciła. I ta sprzeczność między tym, czego dowiedziała się o nim od Morgan, a tym, co sama zdążyła zaobserwować. Rhys był bez wątpienia dobrym ojcem i kochał swoją córeczkę.

Być może w jego życiu wydarzyło się coś, co sprawiło, że na jakiś czas zszedł na złą drogę, ale to nadal nie wyjaśniało czarnych barw, w jakich przedstawiła go Morgan. Chyba że Morgan kłamała. Tylko dlaczego miałyby to robić?

Serce jej się ścisnęło. Motywy Morgan, jakiegokolwiek były, nie miały już jednak znaczenia. Kiedy Rhys dowie się, kim ona, Whitney, jest i po co tu przyjechała, odprawi ją. I gdyby powiedziała mu to jeszcze przed powrotem do Estrade, to podróż do domu byłaby bardzo długa, o ile Rhys od razu nie wyrzuciłby jej z samochodu. Tak, powie mu, ale jeszcze nie teraz. Wstrzyma się z tym choćby do czasu, kiedy będą już blisko Estrade.

Po zrobieniu zdjęć weszła do kafejki. Rhys na nią czekał.

- Cześć - rzekła z uśmiechem, podniecona sukcesem. Zawsze się tak czuła po udanej sesji zdjęciowej.

- Chodźmy tam. - Rhys wskazał na stolik pod oknem, gdzie w promieniach porannego słońca lśniło szkło i połyskiwały sztucce.

Nadal zachowywał dystans. Podeszedł usztywniony do stolika, zdjął skórzaną kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła.

Był w spłowiałych dżinsach i bawełnianej koszulce z wycięciem w serek, odsłaniającym fragment opalonej piersi. Kilka kosmyków wilgotnych, zaczesanych do tyłu włosów opadało mu na czoło. Nie mogła oderwać od niego oczu.

Miała nadzieję, że się zaraz rozluźni, ale kiedy usiedli, wyczuła, że jest wciąż zdenerwowany. Zdradzały to napięte mięśnie szczęki, siła, z jaką ścisnął kubek z kawą, z jaką smarował sobie masłem grzanekę. Nie tracąc nadziei, że potrafi zmienić jego nastrój, powiedziała:

- Ależ jestem zadowolona! To będą wspaniałe zdjęcia. Żałuj, że...

- Whitney - wpadł jej w słowo, wlepiając oczy w kubek. -

Przepraszam za wczoraj.

- Przepraszasz?

- Tak. Nie wiem, jak to powiedzieć. Przepraszam, że...

wykorzystałem sytuację.

A więc stąd ten jego nastrój? Jest zły sam na siebie, że ją wykorzystał? Poczwała ulgę i wzięła go za rękę.

- Rhys... - Odchrząknęła i zaczęła jeszcze raz. - Rhys, to samo można powiedzieć o mnie. Nie chcę, żebyś myślał, że mam w związku z tym jakieś specjalne oczekiwania. Chcę, żeby stosunki między nami pozostały takie jak dotychczas.

Uwolnił dłoń z jej uścisku i przykrył nią kubek.

Oczy mu pociemniały, nie potrafiła niczego z nich wyczytać.

- Dobrze - odezwał się w końcu. - Umowa stoi. - Puścił do niej oko.

Przez resztę posiłku rozmawiali o tym i o owym. Kiedy wsiadali do samochodu, Rhys oznajmił, że wrócą do Estrade inną, bardziej malowniczą trasą.

Whitney widziała, że choć Rhys stara się tego nie okazać, coś go nadal gnębi. Nie miała pojęcia, co o tym myśleć.

Kiedy ruszyli, spojrzała na niego.

- O co chodzi? - spytał, zerkając na nią.

- O nic - odparła z uśmiechem.

- Akurat. - Potrząsnął niedowierzająco głową. - A co myślisz o Luthu? - zmienił nagle temat.

- O Luthu? - zawahała się. - No... był idealnym przewodnikiem.

- Tak idealnym jak ja?

Zadowolona, że rozmowa schodzi na bezpieczniejszy grunt, Whitney zaśmiała się cicho.

- Powiedzmy, że w skali od jednego do dziesięciu zasłużył na dziewiątkę.

Zauważyła, że Rhys mocniej zacisnął dłonie na kierownicy.

- Tobie daję zdecydowanie dziesiątkę - dodała szybko. - To znaczy, w skali przewodników. Ale wracając do twojego pytania, polubiłam go. Zrobił na mnie wrażenie porządnego człowieka. Powiedział mi, że przyjaźnicie się od dzieciństwa.



- Mhm. - Rhys skinął głową i zerknął na Whitney. - Tak, od czwartej klasy podstawówki. Mieliliśmy wtedy po dziesięć lat. Trzydzieści lat temu! Kurczę, jak ten czas leci.

- Pewnie sporo wspólnie przeszliście. - Whitney była pod wrażeniem tak długotrwałej przyjaźni. Jej jedyną bliską przyjaciółką była Tanya, ale poznały się dopiero w college'u.

- Owszem. - Rhys znowu kiwnął głową, ale tym razem nie oderwał oczu od drogi. - Życie nas nie rozpieszczało. W dzieciństwie Luth był moim idolem, chciałem być tak samo twardy i silny jak on. Mówiłem ci już, że wychowywałem się w zakazanej dzielnicy Chicago, pamiętasz?

Spojrzał na nią przelotnie.

- Okolicę terroryzował jeden taki osiłek ze swoją bandą. Nie było dnia, żeby nie dali się komuś we znaki. Ale ze mnie był zawzięty dzieciak i zaparłem się, że nie ulegnę im bez walki. Nieraz od nich oberwałem - zachichotał - ale nigdy się nie poddałem. Pewnego dnia, kiedy się z nimi biłem, pośpieszył mi z pomocą jakiś chłopak, który zjawił się nie wiadomo skąd. To był Luth. Od tamtego czasu dałbym sobie za niego uciąć prawą rękę, gdyby zaszła potrzeba. Jest prawdziwym przyjacielem.

- On mówił to samo o tobie. Wychwalał twoją inteligencję, urok osobisty i... wygląd.

Rhys skrzywił się.

- Naprawdę - ciągnęła Whitney. - Powiedział, że wiele się od ciebie nauczył.

- Tak. To do niego podobne. - Oczy Rhysa zasnuła mgiełka melancholii. - Mało brakowało, a musiałbym przerwać naukę w college'u, bo skończyło mi się stypendium i nie miałem pieniędzy na chesne. Luth

mnie wtedy poratował. Rodzicom nie mogłem o tym powiedzieć, bo zainwestowali akurat oszczędności całego życia w sklep w Estrade. To było ich marzenie, ale wiedziałem, że dla mnie by z niego zrezygnowali. Nie mogłem do tego dopuścić. Luth też o tym wiedział i pożyczył mi pieniądze. Kilka lat później, kiedy po rozwodzie popadłem w depresję, Luth ponownie wyciągnął mnie z dołka.

Whitney zaobserwowała subtelną zmianę w nastroju Rhysa. Zamiast zamilknąć, jak się tego spodziewała, mówił dalej, choć najwyraźniej nie były to dla niego przyjemne wspomnienia.

Kiedy napomknął o rozwodzie, wyczuła w jego głosie złość i rozgoryczenie. Ona miała podobny stosunek do swojej przeszłości.

- Pięć lat małżeństwa, i nic z tego nie zostało. Moja była żona zabrała syna i odeszła. Nie pozwalała mi się do niego zbliżyć i zatruwała mu umysł bredniami o mnie. Kiedy miał dziewięć lat, umyśliła sobie, że spędzi lato w Europie, i podzuciła mi na ten czas R. J.

Whitney czuła się tak, jakby ktoś ją spoliczkował. Syn. A więc rzeczywiście Rhys ma syna. I jak słusznie się domyślała, ma też powody, żeby o nim nie wspominać.

Rhys pokręcił głową i odetchnął głęboko.

- To była jedna wielka katastrofa. R. J. mnie nienawidził. Przez cztery lata nastawiała go przeciwko mnie i nie byłem w stanie tego odkręcić.

Whitney zauważyła, że gorycz w głosie Rhysa przechodzi w ból, i ogarnęło ją współczucie. Przemknęło jej przez myśl, że córeczka jest teraz dla niego balsamem na rany po utracie syna.

- R. J. ? To skrót od Rhysa juniora? Rhys kiwnął głową.

- Nadal mieszka z matką?

Rhys pokręcił głową, oczy mu pociemniały.

- Nie. Ale to już zupełnie inna smutna historia.

- Tak mi ciebie żal, Rhys. - Whitney dotknęła jego ramienia.

O dziwo Rhys nie zamknął się w sobie. Mówił dalej, tak jakby chciał wyrzucić to z siebie jak najprędzej:

- R. J. wyrósł na nicponia. Matka nie mogła dać sobie z nim rady. Zepsuła go, spełniała każdą jego zachciankę. Miał wszystko, czego zażądał. Kiedy o jeden raz za dużo wszedł w konflikt z prawem, umyła rękę. R.J. uciekł z domu, kiedy miał szesnaście lat, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ja wyjeżdżałem z Chicago. - Roześmiał się gorzko. - Nie wiedziałem o tym. - Mocniej ścisnął kierownicę. - Gdybym wiedział, coś bym zrobił.

Whitney liczyła gorączkowo w pamięci. Szesnaście lat? Nie spodziewała się, że chłopak jest już w tym wieku. A skoro uciekł z domu mniej więcej wtedy, kiedy Rhys wyjeżdżał z Chicago, to od tamtego czasu upłynęło już pięć lat. Czyli R. J. miałby teraz lat dwadzieścia jeden.

Zaschło jej w ustach.

- I widziałeś się z nim od jego ucieczki? - spytała, usiłując zapanować nad głosem.

- Dwa lata temu zjawił się u mnie, prosząc o pomoc. Potrzebował pieniędzy i jakiegoś kąta dla siebie i Sary Jane. Dałem im dach nad głową i tyle pieniędzy, ile mogłem. Pewnego dnia zniknął, zostawiając mnie z dzieckiem.

Szukał kąta dla siebie i Sary Jane? Zostawił go z dzieckiem?

Whitney zamurowało. Przez chwilę poruszała bezgłośnie ustami.

- I... co dalej? - wykrztusiła wreszcie. Rhys zerknął w lusterko i zjechał na przydrożny parking.

- Teraz przystanek na siusiu. - Gestem wskazał jej toaletę.

Whitney ze ściśniętą krtanią wykonała mechanicznie polecenie. Poruszała się jak robot. Weszła do łazienki. Czy dobrze zrozumiała? Czyżby Sara Jane nie była córką, lecz wnuczką Rhysa, dzieckiem jego syna? Wyteżyła pamięć, usiłując sobie przypomnieć, kiedy dokładnie Rhys nazwał Sarę Jane swoją córeczką.

O Boże! Zalała ją fala paniki.

Jeśli Sara Jane jest dzieckiem syna Rhysa, to gdzie teraz jest jego syn? I komu przysługuje prawo do opieki nad małą? A gdyby R. J. wrócił i zabrał Sarę Jane, na przykład pod nieobecność jej, Whitney, i Rhysa?

Obmyła twarz zimną wodą. Może jednak źle go zrozumiała? A może... O Jezu...

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Rhys wsiadł za kierownicę, wziął Whitney pod brodę i zmusił ją, by na niego spojrzała.

- Przepraszam, że zawracałem ci tym wszystkim głowę. Coś mi odbiło.

Patrzył jej przez chwilę w oczy, tak jakby czegoś w nich szukał. Następnie zapuścił silnik, obejrzał się przez lewe ramię i wyprowadził samochód z parkingu na szosę.

- Kawalek dalej skęcimy i pokażę ci najbardziej malowniczy widok w całym stanie. - Posłał jej wymuszony uśmiech. - Nie licząc, rzecz jasna, Wielkiego Kanionu.

Uwagi Whitney nie umknęło napięcie malujące się na jego twarzy. Choć silił się na beztroski ton, mówienie o synu z pewnością było dla niego bolesne. Ale ona mimo to nie popuści, musi wyciągnąć z niego resztę tej historii. I to teraz.

- Rhys? - Dotknęła delikatnie jego ramienia. - Dobrze, że mi powiedziałaś o swoim synu. Wyprowadziłaś mnie z błędu.

- Z jakiego błędu?

- Myślałam... Nie, inaczej. Byłam przekonana, że Sara Jane jest twoją córką.

Oczy mu zabłyśły, uśmiechnął się od ucha do ucha.

- A szkoda, że nie jest - powiedział z rozmarzeniem, wyraźnie wzruszony tym pomysłem. Szybko jednak spowaźniał. - Gdyby tak było, nie martwiłbym się o przyszłość. O to, co może się jeszcze stać.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Niby co się może stać?

- Mój syn siedzi w więzieniu - odparł.

Whitney odebrało na chwilę głos. Patrzyła na niego, szukając słów.

- W więzieniu? Och, Rhys, to straszne.

- Przez sześć miesięcy od dnia, kiedy zostawił u mnie Sarę Jane, nie miałem od niego żadnych wiadomości. W tym czasie postanowiłem przenieść się z Phoenix do Estrade. Kilka lat wcześniej rodzice sprzedali tam swój sklep i kupili zajazd. Zaproponowali, że pomogą mi w wychowaniu Sary Jane. Już od kilku miesięcy nosiłem się z zamiarem rezygnacji z pracy w Kepler Corporation z innych powodów, no i... ich oferta przeważała szalę. Uznałem, że Estrade jest lepszym niż Phoenix miejscem na wychowywanie dziecka.

- Phoenix? - Whitney ściągnęła brwi. - Kiedy przeniosłeś się do Phoenix? I czy to aby nie ta Kepler Corporation, która wypuściła lipne obligacje? Pamiętam, jaki wybuchł wtedy skandal.

Czyżby Rhys był w to zamieszany? Boże, kręciło się jej w głowie.

- Tak. Gdybym się wcześniej zorientował, co się święci... - Rhys wzruszył ramionami. - Przeniosłem się z Chicago do Phoenix w poszukiwaniu lepszej pracy. Objąłem u Keplera stanowisko głównego księgowego. Nie miałem pojęcia, co facet kombinuje, a kiedy przejrzałem na oczy, wziąłem Sarę Jane, odebrałem ostatnią wypłatę, kupiłem sklep w Estrade i wyniosłem się w diabły z Phoenix. Potem powiadomiłem o wszystkim władze. Później, kiedy machinacje Keplera wyszły na jaw, zaczęło to wyglądać tak, jakbym zgarnął swoją działkę i dał nogę. - Roześmiał się gorzko. - Oczywiście nikt mi niczego nie udowodnił, bo nie było czego udowadniać, ale mimo wszystko znalazłem się na indeksie. To dlatego bank odrzucił wczoraj mój wniosek o pożyczkę.

Dobry Boże! Whitney była wstrząśnięta, a jednocześnie współczuła Rhysowi.

- A co z twoim synem?

- Odezwał się w końcu. Z aresztu. - Rhys nie odrywał wzroku od drogi. - Zabił człowieka w nieudanym napadzie na bank.

Whitney wstrzymała oddech, ale Rhys mówił dalej, tak jakby chciał wyrzucić z siebie wszystko. - Zadzwońłem do matki R. J. z prośbą o pomoc. Kazała mi iść do diabła. Powiedziała, że wydziedziczyła go, kiedy uciekł z domu. Wynająłem adwokata. Kiedy ława przysięgłych uznała R. J. winnym, złożyliśmy apelację.

Rhys mocniej nacisnął pedał gazu, przyśpieszając do stu, a potem stu dziesięciu kilometrów na godzinę.

- Po procesie R. J. powiedział, że nie życzy sobie mojej pomocy, że nie chce mnie więcej widzieć. Najprawdopodobniej uznał, że znowu go zawiodłem, kiedy mnie potrzebował. I chyba miał rację. Powinienem był zareagować parę lat wcześniej, kiedy były jeszcze jakieś szanse, że to coś da.

- Rhys, tak mi przykro. - Tylko tyle zdołała wykrztusić.

- Daj spokój. Staram się o tym nie myśleć. Nie uwierzyła mu. Serce jej się krajało, kiedy próbowała sobie wyobrazić, przez co przeszedł. Ale jeszcze nie wszystko było dla niej jasne. Pytań rodziło się bez liku.

Po pierwsze, kto ma prawo do opieki nad Sarą Jane? Jak to, czego się przed chwilą dowiedziała, wpłynie na jej starania?

Szczęście w nieszczęściu, że jego syn nie stanowi teraz bezpośredniego zagrożenia - przynajmniej w tym momencie.

Nadal była zdecydowana wyznać Rhysowi, po co tak naprawdę przyjechała do Estrade, ale stanowczo nie był to odpowiedni moment. Musi sobie wszystko przemyśleć i ustalić, komu przysługuje prawo do opieki.

Mimo wszystko jednak zrobiło jej się lżej na sercu. To Rhys junior żył z Morgan. To syn Rhysa był tym draniem - i ojcem Sary Jane. I siedzi teraz w więzieniu, czyli dokładnie tam, gdzie chciała go posłać.

Naturalnie! Teraz wszystko pasuje.

Co za ulga! Boże, co za ulga!

To znaczy, że Rhys nie był nigdy związany z Morgan. To znaczy, że tajemnica jej siostry nie jest żadną tajemnicą. Morgan nie kłamała. Po prostu nie udzieliła Whitney wyczerpujących informacji. Serce jej się ścisnęło, do oczu napłynęły łzy.

Skręcając z głównej szosy w węższą drogę, Rhys znowu się odezwał:

- Muszę ci coś pokazać. Przygotuj aparat.

Aparat? Nie była teraz w nastroju do robienia zdjęć. W głowie miała mętlik. Nowe, nieoczekiwane fakty, którymi ją zasypał, zmieniały obraz sytuacji.

Wchodząc w zakręt, Rhys trącił ją łokciem. Wyrwana z zamyślenia, podniosła wzrok. Jak okiem sięgnąć z ziemi, niczym ogromne czerwone dinozaury, wyrastały cynobrowe monolity. Widok zapierał dech w piersiach.

Tak, pomimo emocji, które nią miotają, nie wytrzyma i zrobi tutaj trochę zdjęć.

- Rhys, jak tu pięknie! Możemy się zatrzymać?

- Wyszarpnęła z torby aparat i sięgnęła po szerokokątny obiektyw.



- Jeszcze nie teraz - powiedział z uśmiechem.

- Bliżej Sedony jest jeszcze ładniej.

- Niemożliwe. Nie wyobrażam sobie piękniejszego widoku. Coś wspaniałego! Bardziej spektakularnej panoramy jeszcze nie widziałam - trąkotała podniecona. - Może z wyjątkiem Wielkiego Kanionu. Nie byłam tam, ale znam go z fotografii. A to...

Nie potrafiła wyrazić swojego zachwytu słowami. Rewelacje Rhysa, ta sceneria, konsternacja i uniesienie, które czuła - za dużo tego na jeden raz. Stanowczo.

Opuściła szybę i odetchnęła głęboko powietrzem przesyconym wonią cedru i sosen. Miała ochotę śpiewać, tańczyć i krzyczeć z radości.

- Pachnie świętami Bożego Narodzenia - powiedziała z rozmarzeniem. - Jak tu pięknie. Jak cudownie! Pierwszy raz widzę coś takiego.

- Wiedziałem, że ci się spodoba - mruknął z zadowoloną miną, prostując się, po czym skręcił w wąską dróżkę prowadzącą na taras widokowy. Dojechawszy tam, zatrzymał jeepa.

Wysiedli.

- Nie śpiesz się - powiedział. - Rób spokojnie zdjęcia. Ja tu zaczekam. - Przysiadł na głazie. -No, idź.

Obserwował Whitney uwijającą się z aparatem. Ilekroć był w Sedonie, odczuwał ten sam podziw dla naturalnego piękna tych okolic. Matka natura w swoim najlepszym wydaniu. Ale nigdy nie doświadczył emocji, które ogarniały go teraz, kiedy patrzył na zachwyconą Whitney. Wprost tryskała entuzjazmem. Tak by chciał widzieć świat jej oczami, postrzegać otoczenie jej zmysłami.

Wrócił myślami do ostatniej nocy. Wiedział, że Whitney darzy go sympatią, ale zdawał też sobie sprawę, że nie ma u niej żadnych szans.

Był splukany, sklep stał na skraju bankructwa, syn siedział w więzieniu za morderstwo... A właściwie to co go skłoniło, żeby opowiadać jej o R. J. ? W rozmowach z ludźmi skrzętnie unikał tego tematu. Chyba gdzieś w zakamarkach podświadomości tliła się nadzieja, że jeśli wyzna jej najgorsze, i to ją do niego nie zrazi, to może...

Potrząsnął głową. Nie wolno mu tak myśleć.

Wyobraził sobie jej wyjazd, do którego w końcu dojdzie. Może podświadomie próbował go przyspieszyć? Żeby mieć to już za sobą?

Po procesie syn zrezygnował z usług adwokata, a ojcu powiedział, że nie chce go więcej widzieć. On jednak poprzysiągł sobie, że tym razem nie opuści syna w potrzebie.

R. J., choć rzeczywiście handlował swego czasu narkotykami, przysięgał, że już z tym skończył i że nikogo nie zabił. Jako ojciec wierzył mu. I od sześciu miesięcy odwiedzał go regularnie.

Po wczorajszej wizycie w banku pojechał do więzienia we Florence, by powiadomić R. J., że jeśli nie uda mu się zorganizować pieniędzy na nowego adwokata, będą może musieli wziąć obrońcę z urzędu.

R. J. wszedł do sali widzeń i usiadł na krześle po drugiej stronie szyby. Milczał, nie przejawiał ochoty do rozmowy. Rhys to rozumiał, chłopak wiele ostatnio przeszedł. Postanowił nie brać sobie do serca niechętniej postawy syna. Zaczął mu opowiadać o swoich sprawach, o Sarze Jane, o Whitney...

Kiedy wspomniał o Whitney, R. J. wyraźnie się ożywił. Lody zostały przełamane. Konwersacja ruszyła z miejsca i po raz pierwszy od miesiący

w Rhysie obudziła się nadzieja. R. J. wreszcie się przed nim otworzył, chciał się dowiedzieć czegoś bliższego o nowej kobiecie w życiu ojca.

To był dobry znak. R. J. nigdy dotąd nie przejawiał najmniejszego zainteresowania sprawami ojca. Przypominał sobie o nim tylko wtedy, kiedy potrzebował pieniędzy.

Z zadumy wyrwała go podchodząca Whitney. Ona też przysparzała mu zmartwień. W obecnych okolicznościach nie powinien szukać nowych związków - a już na pewno tracić głowy dla kobiety, która za parę tygodni stąd wyjedzie. Ale czy miłość kieruje się rozsądkiem?

Ta myśl go zmroziła.

Miłość? A więc doszło już do tego?

- Nie wiedziałam, że w Arizonie można spotkać takie niesamowite widoki - powiedziała zdyszana Whitney. - Uff! Ale się zasapałam. Trzeba będzie popracować nad kondycją. - Usiadła z ciężkim westchnieniem na kamieniu, o który Rhys opierał nogę.

- To wysokość. Przywykniesz, jeśli pobędziesz tu dłużej.

Odetchnęła głęboko i popatrzyła na niego, mrużąc oczy. Siedział wsparty łokciem o kolano. Wiatr mierzwił mu włosy, słońce pozłacało jego regularne rysy twarzy.

Uniosła do oka aparat, a on spojrzał prosto w obiektyw. Kiedy naciskała spust migawki, uśmiechnął się tym swoim seksownym półuśmieszkiem, który zawsze przejmował ją dreszczem. Wypstrykała kilka klatek.

- Wspaniałe zdjęcia - powiedziała, opuszczając aparat. - Naprawdę wspaniałe.

- Fotografuj lepiej okolicę. - Wyciągnął rękę, by wyjąć jej coś z włosów, i przelotnie musnął palcami jej policzek.

Starła się rozszyfrować wymowę dziwnego, niemal rozczulonego wyrazu jego twarzy.

- Co zamierzasz zrobić z tymi zdjęciami? To znaczy z tymi, które mi przed chwilą zrobiłaś?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Może tarczę do gry w strzałki. Roześmiał się i wstał. Wyciągnął do niej rękę.

- Uważaj, co mówisz, bo nie zatrzymam się na lunch - powiedział, obejmując ją ramieniem i prowadząc do samochodu. - Jeśli w ogóle cię stąd zabiorę.

Lunch zjedli w Sedonie, w niewielkiej meksykańskiej restauracyjce w kompleksie zwanym Tlaquepaque. Whitney zachwycalo tu wszystko - koloryt, małe sklepiki, galerie sztuki, kolor oczu Rhysa, wykrój jego ust...

Potem pojechali wzdłuż srebrną wstęgą drogi Oak Creek, przecinającą Sedonę i Oak Creek Canyon, zatrzymując się często w miejscach proszących się o utrwalenie na kliszy fotograficznej. W krystalicznie czystej wodzie odbijały się czerwone skały i modre niebo obramowane smukłymi alabastrowymi pniami sykomor, których liście połyskiwały w promieniach słońca zielenią i złotem. Potem, słuchając bluesowej muzyki, jechali serpentynami do Flagstaff. Za oknami przesuwaly się pionowe granitowe urwiska.

Przez resztę drogi do domu rozmawiali o muzyce, filmach i książkach, o tym, co lubią, a czego nie. Whitney była pod wrażeniem

rozległej wiedzy Rhysa. Nie po raz pierwszy przyłapywała się na tym, że fascynuje ją ten mężczyzna.

W pewnej chwili Rhys odetchnął głęboko i spojrzał na nią przelotnie.

- Co byś powiedziała na to, gdybyśmy wpadli w jeszcze jedno miejsce, zanim odstawię cię do zajazdu? - spytał.

Whitney wzruszyła ramionami.

- Ty tu jesteś kierowcą.

Skręcił w boczną gruntową drogę. Zatrzymali się w kłębach kurzu przed zbudowanym z drewna domem stojącym wśród wysokich sosen.

- Muszę zabrać stąd kilka rzeczy - powiedział, wysiadając z jeepa. Obszedł wóz i otworzył drzwiczki od strony Whitney. - Chodź.

Whitney zerknęła wymownie na aparaty i torby z rzeczami leżące na tylnym siedzeniu.

- Nie zamykasz samochodu?

- To mój dom. W promieniu wielu kilometrów nie uświadczysz tu żywej duszy. - Wyciągnął rękę.

Uspokojona Whitney wysiadła z jeepa i ruszyła za nim utwardzoną tłuczniem ścieżką, która prowadziła do domu.

- Czuj się jak u siebie - powiedział, kiedy weszli do środka.

Prowadząc ją do kuchni, pokazał po drodze łazienkę. - Napijesz się czegoś? - spytał, zaglądając do lodówki.

- Chętnie.

Whitney rozglądała się, zaskoczona wielkością domu. Z zewnątrz widać było tylko parter i dom wydawał się mniejszy niż w rzeczywistości. Teraz okazało się, że ma kilka poziomów.

Wnętrze było stylizowane, przypominało architekturę z przełomu wieków: belkowany sufit, ściany z sosnowych bali i stare dębowe meble. Ale wkroczyła tu też nowoczesność w postaci wertykalnych żaluzji na wysokich od podłogi do sufitu oknach. Odsłonięte było tylko jedno, panoramiczne, z którego roztaczał się widok na górskie pasmo po drugiej stronie doliny.

Ten dom emanował ciepłem i trwałością. Whitney ciekawa była, czy Rhys również ceni sobie te wartości.

Podał jej wodę mineralną.

- Nie krępuj się, obejrzyj go sobie. Pewnie chcesz rozprostować nogi po podróży. Ja muszę wziąć kilka dokumentów. - To mówiąc, wyszedł z kuchni.

Ruszyła za nim. Okazało się, że weszli do domu od tyłu na górny poziom, bo z podestu schodów, na którym się znalazła, ujrzała w dole ogromny salon. Z wysokiego sufitu zwisał wielki żyrandol z miedzi i żelaza, całą ścianę zajmował kominek z polnych kamieni.

Była zauroczona, a jednocześnie skonsternowana. To na pewno nie jest dom człowieka, który ledwie wiąże koniec z końcem.

Przeszła wzdłuż balustrady na podeście do rozsuwanych, oszklonych drzwi, które prowadziły na wyłożony deskami taras. Odsunęła jedno skrzydło, wyszła na zewnątrz i zatrzymała się jak wryta, porażona wspaniałością widoku, jaki się stąd roztaczał. Po chwili obok stanął Rhys.

- Coś niesamowitego - powiedziała, wodząc zachwyconym wzrokiem po rosnących wokół sosnach. Spojrzała w dół. - Nie obawiasz się, że Sara Jane może stąd spaść?

- Zabezpieczyłem, co się tylko dało. Drzwi mają na górze zatraski i alarm, który włączam, kiedy Sara jest w domu. Szafki są wyposażone w blokadę, a niebezpieczne specyfiki trzymam wysoko, poza jej zasięgiem, i pod kluczem. Ale masz rację, ostrożności nigdy nie jest za wiele.

Oparł się o barierkę i przeczesał palcami włosy.

- Ten dom i motocykle to wszystko, co mi zostało. Trzymam je dla Sary Jane. Bez względu na to, jak się jej ułoży w życiu, zawsze będzie miała dom, do którego w każdej chwili może wrócić.

Przezorność Rhysa ukoiliła nieco obawy Whitney, ale przecież pozostawał jeszcze jego syn.

- Rhys, wiem, że to nie moja sprawa, ale czy masz prawo do opieki nad Sarą Jane?

Pokreślił głową.

- Niestety. Matka porzuciła ją ponad dwa lata temu. Nikt nie wie, że Sara tu jest i lepiej, żeby tak zostało, biorąc pod uwagę obecne miejsce pobytu R. J.

Whitney ścisnął się żołądek.

- A zastanawiałaś się, co zrobisz, jeśli po rozpatrzeniu apelacji sąd uniewinni twojego syna i zwolni go z więzienia? Czy w takim przypadku R. J. nie będzie chciał zabrać Sary Jane?

Rhys spochmurniał. Zacisnął mocno powieki, a kiedy otworzył znowu oczy, malował się w nich głęboki smutek.

- To by mi złamało serce - wyszeptał, a potem uderzył pięścią w poręcz barierki. - Chciałbym, żeby zostali tu oboje, ale zdaję sobie sprawę, że to egoistyczne podejście. Kocham Sarę Jane i kocham swojego syna. R.

J. jest niewinny. Powinno się dać mu szansę wychowywania własnej córki tam gdzie chce.

- A skąd u ciebie ta pewność? Mam na myśli... jego inne problemy - spytała, dobierając ostrożnie słowa, choć miała ochotę wykrzyczeć mu w oczy, że handlarz narkotyków nie ma w ogóle żadnych praw.

Nawet jeśli R. J. nie był mordercą, to miał na sumieniu jeszcze inne sprawy. Albert ustalił to ponad wszelką wątpliwość. Ale może Rhys nie wiedział tyle, co ona, a widząc, jak się gryzie, wybrała milczenie. R. J. był mimo wszystko jego synem i z tego, co mówił wcześniej, przebijało poczucie winy, że pozostawił go kiedyś samemu sobie.

Rhys spojrzał na nią z cierpieniem w oczach.

- Gdybym uznał... - Urwał w połowie zdania.

Whitney, nadal przerażona myślą, że R. J. mógłby zabrać kiedyś Sarę Jane, nie potrafiła dłużej zachowywać milczenia.

- Oddałbyś mu ją, bo jest jej ojcem?

- Gdybym uznał, że może jej coś zagrażać - odparł po chwili - to w żadnym wypadku. Ale teraz, po tym wszystkim, przez co przeszedł R. J., chyba bym oddał. - Uśmiechnął się blado. - No, na nas już pora.

Kiedy zatrzymali się przed zajazdem, na dwór wybiegła Sara Jane.

- Tatuś! Tatuś! - wołała.

Zaraz potem z domu wyrzeli Greta z Johnnym.

- Cześć, cukiereczku. - Rhys porwał małą na ręce, zakreślił się z nią w kółko i obsypał pocałunkami różowe policzki.

Uszczęśliwiona Sara Jane obejmowała go rączkami za szyję. Rhys zagarnął wolnym ramieniem podchodzącą Whitney i przyciągnął ją do



siebie. Stali tak we trójkę uśmiechnięci, przytuleni i Whitney ogarnęło cudowne uczucie pełni. Gdyby mogło już tak zostać...

Po kolacji i odjeździe Rhysa z Sarą, Whitney pożegnała się szybko z Gretą i Johnnym i pobiegła na górę do swego pokoju, żeby zadzwonić do Alberta i przekazać mu to, czego się dziś dowiedziała. Stanęła na chwilę przy oknie i rozcierając palcami skronie, zbierała myśli.

Może apelacja nie przyniesie zmiany wyroku? Co by to oznaczało? Co by to było, gdyby R. J. miał spędzić resztę życia za kratkami? Czy Rhys zabierałby Sarę Jane do więzienia na widzenia z ojcem? A może już teraz to robi? Whitney wzdrygnęła się na tę myśl.

Druga sprawa: czyż Sara Jane nie ma prawa dowiedzieć się wszystkiego o swojej matce i rodzinie matki? Poznać swoich drugich dziadków -może nieciekawych, ale w końcu dziadków -i ciotki?

I co z majątkiem Morgan? Pieniądze, które dostała na osiemnaste urodziny od swoich dziadków, spoczywały nadal w banku i czekały na nią - a to jeszcze nic w porównaniu z tym, co przypadnie jej w udziale w przyszłości.

Sara Jane ma prawo do tych pieniędzy. Ale nie wolno dopuścić do tego, żeby swoje brudne łapy położył na nich R. J. Ani żeby Rhys przeznaczył je na opłacenie obrońcy R. J.

Jeśli Rhys jest zdania, że jego syn nadaje się na ojca dla Sary Jane, a ona powie mu o majątku, to czy w ten sposób nie doleje tylko oliwy do ognia? Bo kto jej wtedy zagwarantuje, że Rhys nie podzieli się tą wiadomością z R. J. ? A R. J. nigdy nie zrezygnowałby z takich pieniędzy, nawet gdyby przyszło mu pozostać w więzieniu.

Tak, musi się nadal starać o uzyskanie prawa do opieki nad siostrzenicą. Nie ma wyboru. I teraz, kiedy już wie, że ojciec dziewczynki został skazany za morderstwo, a Rhys nie ma prawa do opieki nad nią, pójdzie to o wiele łatwiej.

Dopiero teraz zauważyła, że na automatycznej sekretarce mruga światełko sygnalizujące, że ktoś zostawił wiadomość. Nacisnęła klawisz odtwarzania. Tanya. Prosi o jak najszybszy telefon. Dobrze się składa. Rozmowa z przyjaciółką pomoże jej podjąć decyzję.

Whitney zdjęła żakiet, podniosła słuchawkę i usiadła na wyściełanej ławeczce pod oknem.

- Cześć, Tanyu. Dostałam twoją wiadomość. O co chodzi?

- No, nareszcie! Gdzieś ty się, u licha, podziewała? Chciałam już dzwonić na policję.

- Byłam w Phoenix. Później ci o tym opowiem. Więc o co chodzi?

- Sama nie wiem. Wczoraj wieczorem po powrocie do domu stwierdziłam, że ktoś zostawił mi na automatycznej sekretarce dziwną wiadomość. Uznałam, że najlepiej zrobię, jeśli ci ją od razu przekażę. W każdym razie była to kobieta, Martha jakaś tam, która twierdzi, że matka cię potrzebuje i że powinnaś natychmiast zadzwonić.

Zimny dreszcz przebiegł Whitney po plecach.

- Gdzie zadzwonić?

Tanya podyktowała jej numer.

- To numer twoich rodziców, prawda?

- Tak. Zgadza się.

Fala mdłości podeszła jej do gardła. Nie mogła dalej mówić. Gdyby z matką coś się stało, ojciec na pewno by ją o tym powiadomił - chyba że był na to zbyt pijany.

Poczuła ostry ból za mostkiem. Ten sam ból, który był towarzyszem jej dzieciństwa.

- Posłuchaj - podjęła Tanya. - Dowiedz się, o co chodzi i oddzwoń do mnie. Dobrze?

Whitney poczuła dławienie w gardle. Przypomniała sobie napady lęku, które lekarz zdiagnozował jako rezultat wychowywania się w rodzinie alkoholików. Pamiętała, jak postawiła się w końcu matce i została wyrzucona z domu. W wieku siedemnastu lat pozostawiona została samej sobie. Wzięła pieniądze odziedziczone po dziadkach i uciekła do Europy, byle dalej od domu rodzinnego.

- Dobrze - bąknęła i odłożyła słuchawkę.

Tak, uciekła, zerwała wszelkie kontakty z rodziną. A jej młodsza siostra cierpiała nadal w samotności. Do tej pory nie mogła sobie tego darować.

Gdyby nie pokłóciła się z matką i nie odeszła z domu, Morgan nie czułaby się może taka odrzucona; może nawet do dziś by żyła.

Trzeba tam zadzwonić. Im szybciej to zrobi, tym szybciej będzie miała to za sobą. Wzięła się w garść i wystukała numer.

Cztery... pięć sygnałów. Straciła rachubę. W słuchawce odezwał się bełkotliwy męski głos.

- Tatuś?

- Whitney, kochanie, tt... to ty?

- Mam mało czasu, tato. Jest mama?

- Niiieee. Nie ma jej. - Długa pauza, potem głucho stuknięcie, jakby szła o słuchawkę. - Odeszła. Onna odeszła. Poszła sobie.

- Tato, powiedz mi tylko, gdzie jest mama. - Whitney zaczął ogarniać gniew. - Nie mogę teraz rozmawiać.

- Zzaczekaj, jeddną chwileczkę... nnie rozłączaj się - wymamrotał. W słuchawce znowu stuknęło, zaszeleściły papiery, ciężki oddech, znowu szelest. - Mam. Mam ten numer. Zaczął dyktować.

- Powtórz jeszcze raz, tato - poprosiła Whitney.

Zanim się rozłączyła, kazała mu jeszcze trzy razy podyktować sobie numer telefonu do matki.

Numer kierunkowy świadczył, że to gdzieś w Kalifornii. Pewnie jakiś ośrodek wypoczynkowy, gdzie matka upija się do nieprzytomności. Trzęsącą się ręką wybrała na klawiaturze numer i czekała.

- Klinika Palmetto, słucham.

O, nie! Znowu. Okazało się, że matka przedawkowała jakieś lekarstwo, które na dodatek popiła alkoholem. Czy zrobiła to celowo, czy przez przypadek, nikt nie potrafił stwierdzić.

Słuchawka wysunęła jej się z ręki, poczuła znów ów znajomy ból za mostkiem. Och, mamó. Walcząc ze łzami, zakryła dłonią usta. Weszła oszołomiona do łazienki, odkręciła kurki i usiadła na brzegu wanny. Jeszcze jedno zmartwienie, jeszcze jeden problem do rozwiązania. Rozebrała się powoli. Może letnia woda poprawi jej nastrój.

Po kąpieli położyła się do łóżka. Próbowwała czytać, ale poczucie beznadziei tylko się nasiliło. Nie było przed nim ucieczki.

Wcale nie rozprawiła się z demonami z przeszłości. Oto powstały dzisiaj, ziejąc ogniem.

Skrzyżowała ręce na piersi i leżała tak, wpatrując się w sufit, dopóki nie zmorzył jej sen.

RS

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Czując na twarzy ciepło słonecznych promieni, przeciągnęła się leniwie, a potem przewróciła na bok. Gdzieś w głębi domu trzasnęły drzwi. To pewnie Rhys przywiózł do dziadków Sarę Jane. Z tego wniosek, że zasnęła.

Odrzuciła koldrę, zwlokła się z łóżka i nie całkiem jeszcze rozbudzona poczłapała do okna. Jeep stał pod domem, jednak Rhysa nie widziała. Zapewne wszedł do środka, ale i tak nie zdąży się ubrać i zbiec na dół przed jego odjazdem.

I w tym momencie Rhys pojawił się na podjeździe. Szedł w kierunku jeepa. Gdy zastukała w szybę, spojrział w górę. Spróbowała otworzyć okno, lecz ani drgnęło.

Szarpnęła jeszcze raz. Bez skutku. Pomachała do Rhysa i zawołała:  
- Zaczekaj, muszę z tobą porozmawiać.

Wzruszył ramionami i rozłożył ręce. Nie usłyszał. Dała mu znak, żeby wszedł z powrotem do środka.

Narzuciła na siebie szlafrok, otworzyła z rozmachem drzwi, żeby zbiec na dół, i omal nie zderzyła się z Rhysem w progu.

- Hola, hola! - Chwycił ją za ramiona, żeby nie dopuścić do kolizji. - A dokąd to? - Uśmiechał się, mierząc ją pełnym uznania wzrokiem.

Cofnęła się, nerwowo wygładzając atlasowe klapy szlafroka i mocniej ściskając się paskiem w talii.

- Rhys, poświęć mi minutkę - poprosiła, z zakłopotaniem przestępując z nogi na nogę.

Jak mu powiedzieć o matce, nie demaskując się przy tym? Boże, dosyć już miała tych kłamstw.

W oczach Rhysa zabłyśły iskierki zaciekawienia. Zamknął za sobą drzwi.

Whitney poczuła nagłe pulsowanie w skroniach. Korciło ją, żeby rzucić się mu w ramiona. Stłumiła jednak w sobie tę pokusę, odwróciła się, podeszła do tapczanu i usiadła.

Rhys zrobił to samo.

- Możemy chwilę porozmawiać? - spytała, składając dłonie.

- Oczywiście. O co chodzi?

- Muszę pojechać na parę dni do Kalifornii. Zadrżał mu mięsień na twarzy.

- W interesach?

- Nie. W sprawach rodzinnych.

Na jego twarzy odmalowała się ulga. Wziął ją za rękę, zupełnie jakby wyczuł, że potrzebuje jego siły. Boże, gdyby wiedział, jak bardzo jej potrzebowała.

- Mogę w czymś pomóc? - Patrzył jej w oczy. Pokręciła głową, ujęta czułością, którą widziała w jego oczach. Jeszcze chwila, a się rozklei, ulegnie jego urokowi. Wstała, odwróciła się twarzą do okna i założyła rękę na piersi.

- Nie - powiedziała cicho. - Nikt nie może mi pomóc. Próbowałam przez wiele lat.

Podniósł się z łóżka i położył jej dłoń na ramieniu. Oparła się o niego. Boże, tak chciała wyznać mu prawdę, całą prawdę, nie tylko o matce, ale również o Morgan i o sobie.

Ale co by to dało? Co by zyskała, zwracając mu się, że przyjechała tutaj po Sarę Jane?

Powiedział, że jest zdecydowany walczyć o prawa syna. A gdyby się dowiedział, co ją sprowadziło do Estrade, gdyby się dowiedział, że okłamywała go do tej pory, straciłby do niej całe zaufanie.

- Chodzi o moją matkę. Przedawkowała leki. Jest w szpitalu. - Zamilkła na chwilę, by opanować drżenie głosu. - Wiem, że to może zabrzmieć cynicznie, ale jeśli ona nie zechce pomóc samej sobie, to żadna kuracja nic nie da. - Wzięła głęboki oddech. Powróciły przykre wspomnienia. - To ciągnie się już od lat.

Rhys pogładził ją delikatnie po ramieniu.

- Lekarstwa?

- I alkohol.

- Ktoś przy niej jest? Whitney pokręciła głową.

- A twój ojciec?

- Mój ojciec? On jest taki sam jak matka. Rozmawiałam z nim wczoraj wieczorem. Nie miał pojęcia, co się z nią dzieje. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby zapomniał już, że dzwoniłam.

Ogarnął ją gniew. Wyzwoliła się z objęć Rhysa i odsunęła się od niego.

- Mój ojciec! - powtórzyła z goryczą. - Poprosiłam go, żeby mi podyktował numer telefonu. Ledwie go znalazł.

Rhys postąpił krok w jej stronę.

- Może gdyby twój ojciec wiedział, co przeżywasz...

- Proszę cię! - Whitney odwróciła się na pięcie i uniosła rękę, przerywając mu. - Bardzo cię proszę. Mam w tym wieloletnie



doświadczenie. Alkoholików nie obchodzą niczyje uczucia. To samolubni, egocentryczni ludzie, którzy myślą tylko o... - Urwała, zdając sobie sprawę, że za dużo już powiedziała.

Rhys wydawał się zaskoczony, nawet trochę urażony jej gwałtowną reakcją.

- Przepraszam - powiedział i podszedł do drzwi. - Czasami zachowuję się jak słoń w składzie porcelany.

Stał przez chwilę niezdecydowanie w progu, potem zawrócił, położył jej dłonie na ramionach, pochylił się i musnął ustami jej wargi.

- Będzie nam ciebie brakowało - powiedział, cofając się. - Gdybyś czegoś potrzebowała, zadzwoń.

Odwrócił się i wyszedł.

Na lotnisku w Los Angeles czekała na Whitney Tanya w wynajętym samochodzie. Pojechały razem do kliniki.

- Nie chce mi się wierzyć, że widzę cię za kierownicą - zażartowała Whitney.

Tanya nie miała własnego auta. Nie chciała, zresztą w Nowym Jorku nie było jej potrzebne.

- Siła wyższa - westchnęła Tanya. - Tutaj bez samochodu ani rusz.

- To Albert nie odebrał cię z lotniska?

- Odebrał - odparła Tanya - ale przecież nie mogę od twojego kuzyna wymagać, żeby mnie wszędzie woził.

- Mogłaś wziąć mój samochód.

- Tak, ale to droga maszyna, a ja nie jestem mistrzem kierownicy.

Whitney mruknęła coś w odpowiedzi. Myślami była już przy matce i bała się, jak przebrnie przez tę wizytę. Była wdzięczna przyjaciółce, że przyleciała aż tutaj, żeby ją wspierać swoją obecnością.

Przed samą kliniką Whitney opuściła odwaga. Zaczęło brakować jej tchu, czuła początki paniki. Tanya, widząc, co się dzieje z przyjaciółką, położyła jej dłoń na ramieniu.

- Wszystko będzie dobrze, Whit. Nie denerwuj się, proszę.

- Staram się - powiedziała Whitney, biorąc głęboki oddech. W istocie jednak wcale nie chciała wchodzić do środka. Obawiała się, że ta wizyta zburzy emocjonalną równowagę, którą z takim trudem budowała przez dwanaście ostatnich lat.

Wiedziała dokładnie, co ją czeka. Bo każdy kontakt z matką, nawet telefoniczny, kończył się identycznie - tyradami, które przeplatały przesycone nienawiścią słowa.

W takich chwilach stawała się znowu małą dziewczynką, która zapłakana słucha matki i czeka, aż ta powie, że ją kocha.

Tylko to chciała zawsze usłyszeć.

- Zaczekam na ciebie - powiedziała Tanya, zostawiając ją w recepcji.

- Może wpadnę gdzieś na kawę albo pochodzę sobie po sklepach.

- Masz. - Whitney wręczyła jej telefon komórkowy. - Weź to.

Zadzwoń, kiedy będę stąd wychodziła.

Tanya uścisnęła Whitney i rozstały się. Whitney zadzwoniła niespełna piętnaście minut później. Spędziła z matką wszystkiego dziesięć minut. Nie potrafiła się przemóc. Boże, nie potrafiła.

W drodze do domu nie odzywała się. Starła się rozpaczliwie zapomnieć o wizycie, wyrzucić ją z pamięci.

Kiedy znalazły się w domu Whitney w La Jolli, Tanya poradziła jej, żeby się zdrzemnęła.

- Chyba tak zrobię - powiedziała Whitney i ruszyła do sypialni. Była zmęczona. Zmęczona jak nigdy dotąd.

Nerwy miała w strzępach. Matka, Morgan, Rhys, Sara Jane - myśląc o nich wszystkich, czuła przytłaczające brzemie odpowiedzialności. Brzemie kłamstw i sekretów.

Dało o sobie znać wyczerpanie. Kompletne emocjonalne wyczerpanie. Z ulgą odpłynęła w sen.

Przespała całe popołudnie i całą noc.

Obudziła się dopiero rano następnego dnia. Wstała z łóżka, podreptała do okna i otworzyła je na oścież. Chłodna bryza znad Pacyfiku szybko przepędziła resztki snu.

Powierzchnia oceanu skrzyła się w promieniach wczesnego porannego słońca. Och, jak rozkosznie! Wdychała przesycone wilgocią i solą powietrze i wsłuchiwała się w krzyki mew. Kochała ocean. Miał na nią uzdrowicielski wpływ.

Objęła się ramionami. Wstawał nowy dzień. Jeśli przestanie sobie wyrzucać, że opuściła matkę, może nie będzie tak źle.

Przeczesała palcami włosy. Czegoś tu nie rozumiała. Dlaczego czuje się taka zobowiązana pomagać teraz matce?

Kathryn Sheffield nigdy nie okazała nikomu cienia miłości, a najbardziej odczuły to jej dzieci. I Whitney nie zależało już na jej akceptacji. Zwalczyła w sobie tę słabość, to pragnienie - a przynajmniej tak jej się wydawało wczoraj, kiedy zalało ją dosłownie morze złych wspomnień.

Dlaczego wczorajsze spotkanie z matką tak nią wstrząsnęło?  
Przecież nic się nie zmieniło. I nie oczekiwała żadnych zmian.

Zawsze ona była tą, która bierze na siebie wszystko, która naprawia, sprząta, uspokaja zapłakaną Morgan. Sama zaś nikogo takiego nie miała. Po co jej to znowu?

Czyżby świeciła jakaś jutrzienka nadziei... ?

Nie! Nawet o tym nie myśl! Nie mogła się teraz cofnąć. Nie zniosłaby kolejnego zawodu. Nie czuła się na siłach.

Zamknęła oczy i spróbowała odciąć się od tych myśli, ale na próżno. A może tym razem byłoby inaczej, a ona przegapiła tę szansę?

Z tych refleksji wyrwało ją ciche pukanie do drzwi. Niemal zapomniała, że jest tu Tanya.

- Wejdz.

- Cześć, już nie śpisz? - Tanya uśmiechnęła się promiennie.

Jej oliwkowa cera po kilku godzinach pod kalifornijskim słońcem zrobiła się jeszcze bardziej złota. W białej koszulce i spłowiałych dżinsach wyglądała na nastolatkę. Nikt by jej nie wziął za trzydziestoletnią kobietę, szefową nowojorskiego wydawnictwa.

- Przed chwilą wstałam. - Whitney podeszła do łóżka i usiadła na nim po turecku. - Widzę, że odpowiada ci plażowe życie.

Tanya ściągnęła brwi.

- Owszem, ale może później o tym pogadamy. Masz gościa.

- Naprawdę? O tej porze? Kto to? Nikt nie wie, że tu jestem, z wyjątkiem matki. I... - serce zabiło jej żywiej - i Rhysa.

- Jakiego Rhysa?

- Tego faceta od motocykli.

- Ach, tego. No to się dowiedz, że wie ktoś jeszcze. I czeka teraz na dole, aż go łaskawie raczysz przyjąć. Mogę go spławić, jeśli chcesz.

Tylko jeden człowiek wywoływał w Tanyi taką niechęć.

- Brock?

- We własnej, wrednej, odrażającej osobie. Whitney zachichotała, ubawiona animozją Tanyi.

- Mogłabyś ciut oględniej formułować swoje opinie o ludziach?

Tanya odwróciła się.

- Wybacz, może to nie mój interes, ale od kiedy tak paskudnie cię potraktował, niedobrze mi się robi na jego widok. I opowiem ci kiedyś o pewnym fakcie, który zraził mnie do niego jeszcze bardziej.

Whitney uniosła pytająco brwi. Tanya nie lubiła Brocka bardziej, niż jej się wydawało.

- Opowiedz mi o tym teraz. Zanim się z Bockiem zobaczę.

Tanya zmarszczyła nos.

- Naprawdę chcesz to usłyszeć? To wstrętna historia. A ty i bez niej masz dużo zmartwień na głowie.

- Mów - ucięła Whitney.

Nie wyobrażała sobie niczego gorszego od swoich ostatnich przeżyć.

- No dobrze. Skoro tak nalegasz... - mruknęła sceptycznie Tanya. - To się zdarzyło w marcu tego roku, kiedy byliście jeszcze zaręczeni. Spotkałam Brocka w hotelu Plaza w towarzystwie dwóch kobiet. Wynajmowali pokój. Zaproponował mi, żebym się do nich przyłączyła.

Whitney wstrzymała na chwilę oddech.

- No nie! Sama nie wiem, czy to dobrze, czy źle, że się o tym dowiaduję. Ale teraz mam przynajmniej pewność, że rzucając go, postąpiłam słusznie.

- Chciałam ci to powiedzieć wcześniej, ale nie zdążyłam, bo sama się zorientowałam, co to za kreatura. I ta gnida znowu tutaj węszy... - Zawahała się. - Uznałam, że lepiej, żebyś wiedziała, na wypadek, gdyby znowu zaczął się do ciebie przystawiać.

Whitney wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

- Tanyu! Za kogo ty mnie masz? - Wstała z łóżka i weszła do łazienki. - Nie jestem taka potrzebująca. Ani taka głupia.

Przynajmniej jeśli chodzi o Brocka.

Tanya weszła za nią do łazienki. Whitney wycisnęła trochę pasty na szczoteczkę do zębów i oparła się o umywalkę.

- Posłuchaj, chcę wziąć prysznic. Jeśli to coś ważnego, niech poczeka na mnie na tarasie. Dam mu jasno do zrozumienia, że z nami wszystko skończone.

Tanya uśmiechnęła się.

- Chętnie przekażę mu tę wiadomość. Czterdzieści pięć minut później Whitney wyszła na taras.

- Witaj, Brock. - Wygładziła na sobie biały sweterek. - Czego chcesz?

Brock wstał z uśmiechem z krzesła. Z tymi rozjaśnionymi blond włosami i wieczną opalenizną przypominał jej aktora z trzeciorzędnych filmów. Jeszcze żaden mężczyzna nie wydawał jej się tak odpychający jak on teraz.

- Whitney, kochanie! - zawołał, rozkładając ręce, tak jakby się spodziewał, że ona rzuci mu się w ramiona, i urwał, widząc jej wyniosłą minę.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

Zaprosił ją gestem do zajęcia miejsca przy stoliku.

- Nie zaproponujesz mi drinka? Całkiem wyschło mi w ustach, kiedy czekałem tutaj jak chłopiec na posyłki. - Podsunął jej krzesło, sam też usiadł. - Dostałaś moje kwiaty?

Whitney przewiercała go wzrokiem. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, już by nie żył.

Dopiero teraz dotarło do niej, jaką odrazą napawają ją podobni do niego ludzie. Ludzie, którymi otaczała się przez tyle lat.

- Do rzeczy, Brock. Po coś tu przyszedł? I nie wciskaj mi tylko, że nadal mnie kochasz. Mam po dziurki w nosie twoich kłamstw i obłudy.

Zaskoczony Brock zrobił wielkie oczy. Odchrząknął.

- Zrobiłaś się ostatnio jakaś pospolita...

- Mów, o co ci chodzi, bo nie mam czasu!

Brock założył nogę na nogę.

- Nie powiem, że jestem zdziwiony - zaczął. - Ktoś, kto przystaje do motocyklowej bandy, szybko przesiąka panującymi tam zwyczajami.

Whitney ledwie nad sobą panowała. Popatrzyła na niego wilkiem. Skąd wie, nad czym ona aktualnie pracuje?

- Do rzeczy, powiedziałam.

Puścił jej uwagę mimo uszu.

- Whitney, kochanie, posłałem ci kwiaty, żeby cię przeprosić, bo zrozumiałem, że popełniłem wielki błąd. Chciałem z tobą porozmawiać. Wyjaśnić.

Wstał i z rękami w kieszeniach podszedł na skraj tarasu. Popatrzył przez chwilę na ocean, potem wzruszył ramionami.

- Ale widzę, że nie chcesz mnie wysłuchać. Dlaczego nie zaczekałaś? Wszystko bym ci wytłumaczył.

Whitney odetchnęła głęboko i też wstała.

- Jak chcesz wyjaśnić, że dwa dni przed ślubem poszedłeś do łóżka z inną kobietą? - Nie wspominając o tych dwóch, o których mówiła jej Tanya. - Nawet jeśli masz na to jakieś wyjaśnienie, to ja nie chcę go słyszeć. Kawał z ciebie drania, i jeśli tylko po to tu przyszedłeś, to żegnam. Śpieszę się.

Twarz Brocka wykrzywił pogardliwy grymas.

- A dokąd ci tak spieszno? - wycodził przez zęby. - Z powrotem w góry do tego twojego nie domytego fagasa? Czy on wie, w jakim celu tam przyjechałaś?

Whitney zaniemówiła z oburzenia.

- Tu cię mam! - Brock uśmiechnął się do niej szyderczo. - No więc jak? Czy ten twój motocyklista wie, że zamierzasz mu odebrać bękartą swojej siostry? No, wie?

Whitney skrzywiła się, ale nic nie powiedziała. Brock wiedział, naturalnie, o Sarze Jane i o planie wywalczenia prawa do opieki nad dziewczynką. Byli jeszcze zaręczeni, kiedy Whitney w końcu odnalazła Morgan. Ale skąd się dowiedział, że to ma związek z Rhysem?



- Wątpię - podjął Brock. - Tak czy inaczej, skoro nie chcesz słuchać moich wyjaśnień, to mam dla ciebie propozycję zastępczą.

Whitney z trudem hamowała gniew, który w niej narastał.

- Tak - ciągnął Brock. - I będzie cię to kosztowało tylko tyle, ile trzeba na wyprodukowanie mojego nowego filmu.

Whitney nadal milczała.

- Ty sfinansujesz film - dodał Brock - a ja będę się trzymał z dala od twojego motocyklisty. Mówię o tym filmie, który zamierzałem nakręcić po naszym ślubie, kochanie. - Zacisnął usta. - Widzę, że tak ujęła cię moja wspaniałomyślność, że potrzebujesz trochę czasu na przemyślenie sprawy.

Podszedł do drzwi. W tym samym momencie Tanya otworzyła je gwałtownie z drugiej strony.

- Zadzwoń jutro wieczorem, kochanie... Furia Whitney znalazła wreszcie swoje ujście, kiedy się jednak odezwała, jej głos był niebezpiecznie spokojny.

- Wynoś się. Precz z mojego domu.

Brock zrobił zbolaną minę, ale zaraz potem posłał Whitney triumfalny uśmiech.

- Powiedzmy o ósmej? - powiedział i wyszedł. Whitney ścisnęła dłońmi oparcie krzesła z taką siłą, że złamała sobie paznokiec, ale gdyby się go nie przytrzymała, chyba osunęłaby się na ziemię.

- Dobrze zrobiłaś - orzekła Tanya, wchodząc na taras. - Nie wiem, co mu powiedziałaś, ale odniosło to pożądany skutek.

Whitney usiadła powoli na krześle. Czuła się jak po ciężkiej walce. Wczorajszy ból w piersiach był niczym w porównaniu z rozpaczą, jaka ją teraz ogarniała.

- Muszę mu powiedzieć - wyszeptała. - Jeszcze dzisiaj.

- Komu powiedzieć? Co powiedzieć?

- Brock chce pieniędzy - dodała bezbarwnym tonem Whitney, zamknęła oczy i odrzuciła w tył głowę.

Tanya usiadła naprzeciwko niej.

- A ty posłałaś go do diabła. I bardzo dobrze.

- Chce pieniędzy w zamian za zachowanie milczenia w sprawie dziecka mojej siostry.

Tanya patrzyła na nią wyraźnie zdezorientowana. Znała w ogólnym zarysie całą historię, lecz nie wiedziała jeszcze, że Rhys nie jest ojcem dziecka, ani że jego syn siedzi w więzieniu.

Whitney nie mogła dłużej zachowywać tych informacji tylko dla siebie. Opowiedziała wszystko przyjaciółce. Tanya wyraziła z początku zdziwienie, że Whitney tak długo zwleka, że nie podjęła jeszcze kroków zmierzających do uzyskania prawa do opieki nad dzieckiem. Potem, przyjrawszy się uważniej twarzy przyjaciółki, mruknęła:

- Mhm. Tu się coś święci, prawda? Kurczę, ale ze mnie idiotka. -

Pacnęła się dłonią w czoło, a potem wsparła łokciami o kolana i spojrzała Whitney głęboko w oczy. - Zakochałaś się w nim?

- Tanyu, nie mogę dopuścić, żeby Rhys dowiedział się prawdy od Brocka. Sama muszę mu wszystko powiedzieć. - Whitney ukryła twarz w dłoniach. Po chwili uniosła głowę. - Powinnam to była zrobić już dawno. - Westchnęła ciężko i przygryzła wargi.

- Czy on cię kocha? - spytała Tanya.

- Teraz mnie znienawidzi. Greta i Johnny też.

Tanya zmarszczyła nos.

- Greta i Johnny?

- Dziadkowie. Umrą, jeśli odbiorę im Sarę Jane. Będą załamani, zdruzgotani. Boże, wybacz mi. - Zaszlochała. - Ale muszę to zrobić.

Już od jakiegoś czasu starała się *znaleźć* takie wyjście z sytuacji, które pozwoliłoby uniknąć dramatu, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Wiedziała, jak to się skończy i że Rhys nigdy jej nie wybaczy.

- Ale skoro się kochacie - powiedziała Tanya - to czemu mielibyście się nie pobrać i wychowywać wspólnie małej? To najlepsze z możliwych rozwiązań. Wystąpilibyście do sądu o przyznanie wam prawa do opieki, adoptowalibyście dziecko i żyli sobie potem długo i szczęśliwie.

Whitney spojrzała z niedowierzaniem na swoją przyjaciółkę.

- Długo i szczęśliwie? Naprawdę tak myślisz? Tanya odetchnęła głęboko.

- A czemu nie?

Whitney pokręciła głową. Rhys nie wybaczy jej, że go okłamała, czy może ściślej, nie powiedziała mu wszystkiego. A gdyby nawet okazał wyrozumiałość i uznał pobudki, jakimi się kierowała, to nie odebrałby przecież dziecka własnemu synowi.

Rhys nie znał całej prawdy o R. J. Nie znali jej też Greta i Johnny. A gdyby im tę prawdę wyjawiała, nie uwierzyliby jej.

- Ty się boisz - rzekła Tanya. - Boisz się walczyć o własne szczęście.

Whitney ściągnęła brwi.

- To śmieszne. - Ale prawdziwe. Bała się śmiertelnie. Przerazała ją sama myśl o pokochaniu kogokolwiek. Zwłaszcza Rhysa. Musiałaby się wtedy otworzyć, odsłonić. A to groziłoby kolejnym bolesnym zawodem. I zraniłaby Rhysa.

W tej chwili wiedziała na pewno tylko jedno: musi wyjawic mu cala prawde, zanim on uslyszy ja od kogos innego. Tyle byla mu winna. I bedzie musiala stawic czolo konsekwencjom.

Sara Jane rzucila sie na szyje wysiadajacej z samochodu Whitney. Whitney uklkla i przytulila mocno siostrzenice. Zdawala sobie sprawe, ze to moze jedna z ostatnich takich chwil - przynajmniej na razie. Kiedy wyzna wszystko Rhysowi, ten kaze jej sie wynosic i nie zobaczy Sary Jane, dopoki sad nie zadecyduje, komu przyznac prawo do opieki nad dziewczynka.

Pocalowala Sare Jane w czolo.

- To ty jeszcze nie spisz, cukiereczku?

- Mamy dla ciebie kwiatki - powiedziala z usmiechem dziewczynka.

- Kupilismy z tatusiem w sklepie, bo u nas jest juz za zimno, zeby cos wyroslo.

Whitney wyprostowala sie z ciezkiem sercem i wziala Sare Jane na rece. Dziewczynka pachniala mlekiem i ciasteczkami, swiezym powietrzem i trawa.

Rhys przygladal im sie z boku. Twarz mu promieniala, w oczach malowalo sie rozczulenie. Pod wplywem jego spojrzenia Whitney zadrzala z podniecenia i... trwogi.

Greta pomachala jej z okna kuchni, Johnny stanal w progu.

- Witaj. - Rhys otoczył ja ramieniem i wprowadzil tylnymi drzwiami do domu. - Nie spodziewalismy sie ciebie tak szybko. To chyba znak, ze wszystko w porzadku, prawda?

Whitney nie zdazyła odpowiedziec, bo w tym momencie Greta zawolala z kuchni:

- Herbata i placuszki już gotowe!

Johnny nakrywał do stołu. Whitney jeszcze raz pocałowała Sarę Jane w czoło i postawiła ją na ziemi. Rhys wziął od Whitney płaszcz i powiesił go w szafie z rzeczami rodziny.

Sara Jane chwyciła Whitney za rękę i pociągnęła do pokoju dziennego, żeby pokazać obrazki, które ostatnio namalowała, i nową sukienkę, którą tatuś sprawił jej lalce, pannie Agacie.

- Zanieśliśmy do twojego pokoju stokrotki - poinformowała z dumą Whitney.

Greta zaprosiła wszystkich do stołu.

- Dosyć tego, młoda damo, daj Whitney odsapnąć po podróży. Boże, to dziecko zachowuje się tak, jakby nie było cię przez parę tygodni.

Whitney uśmiechnęła się i ścisnęła rączkę Sary Jane. Dziewczynka zajęła się swoimi zabawkami.

Rhys wskazał Whitney miejsce obok siebie i ta od razu poczuła się jak w domu. Cieszyli się z jej powrotu i niczego od niej nie chcieli.

Otworzyli przed nią serca i przyjmowali tak, jakby należała do ich rodziny. Takie serdeczne powitanie. Może... może powinna prowadzić swoją grę jeszcze jakiś czas, dopóki nie zostanie sam na sam z Rhysem? Bo teraz nie potrafi mu chyba tego powiedzieć. Nie w obecności jego rodziców.

Gawędzili przez godzinę o lokalnych wydarzeniach. Nikt nie zapytał, po co jeździła do Kalifornii, ale Whitney domyślała się, że coś na ten temat wiedzą. Nie żądała od Rhysa, żeby dochował tajemnicy. I coś im pewnie wspomniał. Byłoby to zupełnie naturalne.

Wspierali się wzajemnie i teraz gotowi byli wspierać również ją. Boże, jak wdzięczna im za to była.

Dopili herbatę i Rhys zaczął zbierać rzeczy Sary Jane, przygotowując się do odjazdu. Przed samym wyjściem wyjął z kieszeni karteczkę i podał ją Whitney.

- Byłbym zapomniał. Ktoś ciebie szukał. Zadzwoił dzisiaj do sklepu i zostawił ten numer. Powiedział, że będziesz wiedziała, o co chodzi.

Whitney wzięła karteczkę drżącą ręką. Nie musiała spoglądać na zapisany na niej numer; bez tego wiedziała, do kogo należy. Tylko Brock mógł jej szukać w sklepie.

Zdobyła się na blady uśmiech.

- Dziękuję.

Chciała się odwrócić, ale Rhys ujął ją pod brodę i zmusił, żeby na niego spojrzała.

- Wszystko w porządku?

Nie. Nic nie jest w porządku! Chciała mieć taką jak ta rodzinę. Nie chciała oglądać wyrazu twarzy Rhysa, kiedy będzie mu mówiła, że go okłamała. Nie chciała ranić ani jego, ani Grety, ani Johnny'ego. Nie chciała, żeby jej matka i ojciec byli alkoholikami... i chciała, żeby Morgan nadal żyła.

Chciała, żeby Rhys kochał ją tak, jak ona w tej chwili kochała jego.

- Naturalnie. W porządku.

Patrzył jej przez chwilę w oczy, a potem cofnął się i odwrócił wzrok.

- Lepiej się zapnij, kochanie - powiedziała Whitney, pochylając się do Sary Jane. - Na dworze coraz zimniej.

- Niedługo spadnie śnieg. Ulepisz ze mną bałwana, jak się zrobi brrrdzo zimno?

Whitney poczochnęła małą po główce.

- Oczywiście. Co tylko będziesz chciała.

Po odjeździe Rhysa i małej Whitney podziękowała Grecie i Johnny'emu za serdeczne powitanie i poszła do siebie na górę. Gryzło ją sumienie. Jutro, a najdalej pojutrze dowiedzą się, po co tu przybyła - i znienawidzą ją.

Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie. Czy Sara Jane też ją znienawidzi? Jeśli sąd przyzna jej prawo do opieki, to jak zareaguje dziecko, kiedy się dowie, że musi się rozstać z Rhysem i że nie będzie widywało codziennie ani jego, ani dziadków, a ściślej mówiąc, pradziadków?

Pozostawało jej tylko mieć nadzieję, że jakoś się to ułoży. Dzieci szybko przyzwyczajają się do nowych warunków, a Greta i Johnny... No cóż, oni też pogodzą się z czasem z sytuacją. Ona zadba już o to, żeby widywali się z Sarą Jane jak najczęściej.

Najgorzej jednak było z Rhysem.

Na pewno bardzo to przeżyje. Zaufał jej, wprowadził do rodziny. Co gorsza, odebrano mu już raz dziecko, z którym później nie mógł nawiązać kontaktu.

Rzuciła się na łóżko. Nawet gdyby jakoś się ułożyło między nią a Rhysem, to pozostaje jeszcze kwestia prawa do opieki. Rhys nie jest legalnym opiekunem Sary Jane. Ojcem dziewczynki jest R. J. Morgan nie żyje, a R. J., jeśli wypuszczą go z więzienia, będzie miał prawo do Sary Jane i do pieniędzy, które córeczka Morgan kiedyś odziedziczy. To, że

Rhys uważa syna za niewinnego, nie zmieni charakteru R. J. Młody Rhys wykorzysta dziecko tak samo, jak wykorzystał Morgan.

Kto wie, co zrobi, kiedy się dowie, że Sara Jane jest dziedziczką majątku Sheffieldów? Nie, trzeba kontynuować starania o prawo do opieki. Jego uzyskanie nie powinno być trudne, zważywszy że R. J. siedzi w więzieniu za morderstwo.

Ale w trakcie tych starań jej serce rozleci się chyba na milion kawałków.





## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Whitney wjeżdżała do miasteczka o brzasku. Błada jutrzienka różowiła szczyty odległego górskiego pasma, za moment wschodzące słońce wyłoni się zza postrzępionych turni, zalewając je powodzią złota. Ale dzisiaj to nie ta wspaniała gra światel sprawiała, że serce Whitney waliło jak szalone.

Zaparkowała pod sklepem, obok jeepa Rhysa. Chociaż przez tę krótką chwilę będzie jeszcze blisko niego. Przejrzała się we wstecznym lusterku. Oczy miała lekko podkrążone.

W nocy długo nie mogła zasnąć, a kiedy wreszcie sen ją zmorzył, powróciły, jak puszczone w przyśpieszonym tempie stary film, koszmary z dzieciństwa: łzy, straszne wrzaski, płacząca Morgan, wykrzywione złością twarze, trzask drzwi do piwnicy przywodzący na myśl zamykające się wieko trumny, i nieprzenikniona ciemność. Czerń, czerń i chłód. Krzyknęła i zlaną potem, roztrzęsiona usiadła na łóżku. Ten koszmar od dawna jej nie nawiedzał.

Na jej widok Rhys podniósł się z fotela. Stał przez chwilę niezdecydowanie za biurkiem, potem wziął ołówek, postukał nim w kupkę leżących na blacie papierów i uśmiechnął się do niej tym swoim słodkim, zmysłowym uśmiechem.

Whitney przemknęło przez myśl, że to prawdopodobnie ostatni, jakim ją obdarza.

- Dzień dobry - powiedział cicho.

Też spróbowała się uśmiechnąć, ale nic z tego nie wyszło.

- Rhys, muszę z tobą porozmawiać.

Wyszedł zza biurka i położył jej dłonie na ramionach. Wyczytała w jego oczach niepewność. Zesztywniała, sparaliżowana strachem.

- Możemy porozmawiać? - Własny głos wydał jej się jakiś obcy, odległy. - Mam ci coś ważnego do powiedzenia, nie wiem tylko, od czego zacząć.

Spojrzał na nią zaintrygowany. Po chwili odetchnął głęboko, wrócił za biurko, usiadł i położył nogi na blacie. Starał się przybrać nonszalancką pozę, ale niezbyt mu to wychodziło.

- Mów. Zamieniam się w słuch.

- Chodzi o cel, w jakim tu przybyłam.

- Wyjeżdżasz. Tak? - Unikał jej wzroku. - Rozumiem. Nie możesz robić zdjęć do swojego albumu w jednym tylko miejscu.

Boże. On nic nie przeczuwa. Whitney nerwowo splatała i rozplatała palce.

- Nie, nie o to chodzi. Chcę ci powiedzieć, po co przede wszystkim tu przyjechałam. To nie ma nic wspólnego z robieniem zdjęć.

Łzy napłynęły jej do oczu. Najchętniej odwróciłaby się teraz na pięcie i uciekła. Zbliżyła się do okna. Nie chciała widzieć jego twarzy.

- Przyjechałam tu szukać dziecka mojej siostry.

Tapnięcie opuszczanych nóg, szurgot odsuwanego fotela, trzask. Odwróciła się powoli. Stał tuż przed nią. Twarz miał purpurową, na szyi pulsowały mu nabrzmiące żyły.

- Sara Jane jest moją siostrzenicą - dokończyła.

Z sercem podchodzącym do gardła patrzyła, jak Rhys próbuje nad sobą zapanować.

- Lepiej stąd wyjdź - powiedział złowieszczo cichym głosem.

Wyczuwała jego furie, czuła ją tak, jakby krzyczał na całe gardło. Chciała mu wyjaśnić, że to nie było zwyczajne oszustwo, że sprawa jest skomplikowana i że nie zamierzała nikogo skrzywdzić. Gdyby się choć trochę postarał, na pewno by zrozumiał. Wiedziała jednak, że w tym stanie wzburzenia nie będzie jej słuchał. Musiała jednak coś dodać.

- Moja siostra, matka Sary Jane, nie żyje. - Głos jej drżał, ale ciągnęła: - Przed śmiercią poprosiła mnie, żebym odnalazła jej dziecko. Sara Jane ma prawo poznać rodzinę swojej matki.

Wreszcie ma to za sobą. Teraz będzie musiała stłumić swoje emocje. Będzie musiała wrócić do swojego bezpiecznego światka bez uczuć, bez trosk. Do światka bez miłości, bez bólu.

Tylko że na to jest o wiele za późno. Kochała Rhysa. I raniła ją pogarda, którą widziała w jego oczach.

Wpatrywał się w nią rozplómiętym wzrokiem, twarz miał jak z granitu.

- Powiedziałem, że lepiej będzie, jeśli stąd wyjdiesz. - Podszedł wielkimi krokami do drzwi i otworzył je gwałtownym szarpnięciem.

Patrzył nie widzącym wzrokiem w okno wystawowe. Długo przekładał towar z półki na półkę, porządkował papiery. Zajmował się czymkolwiek, byle tylko wymazać z pamięci wyraz twarzy wybiegającej ze sklepu Whitney.

Cholera, czemu tak się przejmuje jej wyglądem? Okłamała go. Podała fałszywy powód swojego przyjazdu. A on uwierzył w to wszystko jak ostatni naiwniak. Został oszukany.

Wyprowadzony w pole.

Whitney Sheffield w niczym nie różniła się od jego byłej żony. Z tym, że Stephanie mówiła mu przynajmniej w oczy, czego chce, a on był na tyle młody i zakochany - na tyle głupi - że starał się spełniać jej zachcianki.

Ale przekonał się na własnej skórze, że szczęścia nie można kupić. Stephanie nie uszczęśliwiłyby wszystkie pieniądze świata. Do diabła, większość życia zmarnotrawił na szukaniu Świętego Graala. Długo łudził się, że szczęście przyjdzie wraz z zawodowym sukcesem, z dostatnim życiem za pieniądze, które zarobi.

Whitney kłamała od samego początku. Udawała, bo miała w tym swój interes. Nie pomylił się w jej ocenie. Ale po co te kręactwa?

Jeśli przyjechała zobaczyć się tylko z Sarą Jane, to dlaczego po prostu tego nie powiedziała? Jaki cel miała ta cała komedia? Skoro matka Sary Jane nie żyje, to czy Whitney mogło chodzić o coś więcej, niż poznanie swojej siostrzenicy?

Powiedziała, że Sara Jane ma prawo poznać rodzinę swojej matki, i tutaj musiał przyznać jej rację. To nie fakt, że Whitney okazała się być ciotką Sary Jane, wyprowadził go z równowagi. Z równowagi wyprowadzała go świadomość, że Whitney od samego początku go oszukiwała.

A może to, że poszła z nim do łóżka - i zawładnęła jego sercem?

Ale przecież nigdy nie powiedziała, że go kocha. Nie zająknęła się o tym słowem. Jeśli choć przez chwilę wydawało mu się, że jej na nim zależy, to był to tylko wytwór jego własnej wyobraźni - czy raczej przejaw braku wyobraźni.

Z drugiej jednak strony ból w jej oczach, kiedy stąd wybiegała, nie był udawany; co do tego miał pewność. I on też cierpiał.

Ale wątpliwości mimo wszystko pozostawały. Dlaczego nie powiedziała mu od razu, kim jest? Coś musiało się za tym kryć, coś ważnego.

Zerknął na zegarek. Południe. Od jej wyjścia upłynęła już godzina. Jeśli spakuje się i wyjedzie, nigdy już nie pozna odpowiedzi.

Podniósł słuchawkę telefonu.

- Mabel, jest tam u ciebie Charley? Chciałem go prosić, żeby popilnował przez jakiś czas sklepu.

- Nie. Nie ma go. Pojechał do urzędu probierczego z wczorajszym urobkiem - paplała z podnieceniem Mabel. - Wygląda na to, że wreszcie się do czegoś dokopał.

- To wspaniale, Mabel. Pogratuluj mu ode mnie.

- Gdzie Whitney? Czemu nie przyszła jeszcze na lunch? - zapytała Mabel. - Chyba jej nie spłoszyłeś?

Rhys westchnął.

- Nie, nie spłoszyłem, Mabel. Posłuchaj, zamykam sklep na parę godzin. Gdybyś zauważyła, że ktoś tu się dobija, powiedz, żeby przyszedł później, a najlepiej jutro, dobrze?

- Coś się stało? Ktoś zachorował?

- Nic z tych rzeczy, Mabel. Wszystko w porządku. Muszę tylko... wpaść w jedno miejsce, a Whitney dzisiaj nie ma. Gdyby Charley wrócił, to poproś go, żeby posiedział w sklepie do mojego powrotu-.

- Załatwione. Póki co, będę miała sklep na oku. A dla tej młodej damy bądź zyczliwy - dorzuciła. - Drugiej takiej ze świecą szukać.

Fakt, on też tak myślał - w chwilach szaleństwa.

- Ja dla wszystkich jestem życzliwy, Mabel. Przecież wiesz.

- Nie wszystko jest takie, jakim się na pozór wydaje. Czasami trzeba mieć otwarty umysł.

Co to, u diabła, miało niby znaczyć? Czyżby Mabel coś wiedziała? Zdażyła się już zaprzyjaźnić z Whitney. Dziwna to była para, ale najwyraźniej przypadły sobie do gustu.

- Zastosuję się do twojej rady. Umysł mam już otwarty na oścież. I dziękuję, jesteś kochana.

Kilka minut później gnał już na motorze górskimi serpentynami. Wiatr szarpiący włosy przypomniawszy mu, że nie włożył kasku. Ale nie zawrócił w obawie, że nie zdąży złapać Whitney.

Kazał jej się wynosić pod wpływem impulsu. Nie dał jej nawet szansy na wyjaśnienie.

Pomijając jego osobiste odczucia, cała ta sytuacja mogła mieć wpływ na przyszłość Sary Jane. Musi myśleć logicznie - głową, nie sercem.

Samochód Whitney stał nadal przed zajazdem. Dzięki Bogu, rodzice pojechali po zakupy do Flagstaff i zabrali ze sobą Sarę Jane. Nie muszą o niczym wiedzieć. Nikt nie musi wiedzieć, dopóki Sara Jane nie będzie bezpieczna.

Zeskoczył z motocykla, wpadł do środka i biorąc po dwa stopnie naraz, wbiegł na piętro. Drzwi do pokoju Whitney stały otworem.

Na łóżku leżała otwarta walizka, Whitney, zwrócona plecami do niego, wyjmowała rzeczy z szuflad komody. Najwyraźniej nie słyszała, jak wszedł, bo odwracając się, żeby włożyć coś do walizki, aż podskoczyła na jego widok.

Oczy miała zaczerwienione i podpuchnięte, rozpuszczone włosy jasną aureolą okalały jej twarz. Serce mu się ścisnęło, ale postanowił zachować dystans.

- Przepraszam, że nie pozwoliłem ci się wytłumaczyć. - Założył ręce na piersi i oparł się ramieniem o framugę. - Trochę już ochłonałem.

Nadal układała starannie poskładane rzeczy w walizce, ostentacyjnie go ignorując.

Podszedł do łóżka i zatrzasnął wieko walizki.

- Powiedziałem, że przepraszam. - Przeczesał palcami rozwichrzone włosy i spróbował zajrzeć jej w oczy. - Jeszcze raz przepraszam. Powinienem był wysłuchać twoich wyjaśnień.

Odwróciła wzrok i usiadła na łóżku, składając ręce na kolanach i zwieszając głowę. Wzięła głęboki oddech. Ledwie się powstrzymał od porwania jej w ramiona.

Ale, do cholery, to przecież on tu jest ofiarą. Dlaczego odczuwa taką potrzebę pocieszenia jej? Czyżby stracił już resztki godności?

- Mam ci wyjaśnić teraz? - spytała, spoglądając na niego wreszcie. Odgarnęła z czoła kosmyki jasnych włosów i patrzyła na niego tymi niezgłębionymi błękitnymi oczami, pełnymi teraz bólu.

- Poproszę - szepnął, siadając po drugiej stronie łóżka.

Kiedy skończyła, po jego gniewie pozostało już tylko wspomnienie. Gdyby znalazł się w jej sytuacji, postąpiłby dokładnie tak samo. Jak mogła mu powiedzieć, po co tu przyjechała, skoro opisano go jej jako drugiego Kubę Rozpruwacza.

Potrząsnął głową, wstał i podszedł do okna.

- Pozwól, że podsumuję - powiedział. - Przyjechałaś tu, bo myślałaś, że byłem kochankiem twojej siostry i ojcem Sary Jane. Byłaś przekonana, że handluję narkotykami i że uprowadziłem własną córkę, żeby zmusić jej matkę do powrotu. I obiecałaś swojej umierającej siostrze, że odnajdziesz Sarę Jane.

Urwał dla zaczerpnięcia tchu, potem podjął:

- Kiedy zobaczyłaś, że Luth daje mi pieniądze, pomyślałaś sobie, że to mój wspólnik w narkotykowym procederze, który uprawiam pod przykrywką sklepu motocyklowego. Ale później, kiedy dowiedziałaś się ode mnie, że ojcem Sary Jane jest R. J., doszłaś do wniosku, że się myliłaś. Wszystko inne, co mi powiedziałaś, cała reszta, jest prawdą? Twoje nazwisko. Twój zawód. Album, nad którym pracujesz, i tak dalej?

Patrząc wciąż w okno, kiwnęła głową.

- Kiedy dokładnie uznałaś, że nie jestem potworem z Estrade? - Czy kochając się z nim, miała go jeszcze za przestępcę? - Dlaczego nie wyznałaś mi całej prawdy, kiedy powiedziałem ci o R. J. ?

Wstała, odwróciła się twarzą do niego i założyła ręce na piersiach.

- Rhys, bardzo szybko zorientowałam się, że coś tu się nie zgadza. Wiedziałam, że nie możesz być człowiekiem, którego opisała mi Morgan, zanim jeszcze powiedziałeś mi o swoim synu, ale nie wiedziałam, co robić.

Przygryzła dolną wargę.

- Nadal uważałam cię za ojca Sary Jane, ale zaczęłam podejrzewać, że Morgan, opisując mi ciebie, kłamała. Nie rozumiałam tylko, dlaczego miałyby to robić. Potrzebowałam czasu, żeby to ustalić. Uświadomiłam sobie również, że chcę nacieszyć się Sarą Jane na wypadek, gdybym nie



mogła tu zostać po tym, jak powiem ci, kim jestem. Urwała znowu. Zabrakło jej tchu.

- I... czułam się okropnie, bo podobałeś mi się. Widzisz; złożyłam Morgan obietnicę. - Przyłożyła do ust drżący palec. - Boże! Ileż ja jej złożyłam obietnic, których potem nie dotrzymałam. Wyrzucałam sobie, że zostawiłam ją z naszymi rodzicami, kiedy była jeszcze taka młoda. Czułam się odpowiedzialna za to, co ją spotkało.

Wciągnęła kilka razy spazmatycznie powietrze, usiłując rozpaczliwie wziąć się w garść.

- Nadal mam wyrzuty sumienia. Gdybym została w domu... - Głos jej się załamał. Machnęła ręką. - Kiedy powiedziałeś mi o R. J., straciłam głowę. - Odwróciła wzrok. Ramiona zaczęły jej drżeć, zakryła twarz dłońmi.

Rhys podszedł do niej i przytulił ją do siebie. Czuł, jak uspokaja się w jego objęciach. Obsypywał pocałunkami jej czoło, powieki, zalane łzami policzki i usta.

- Och, Whitney, już dobrze - szeptał. - Wszystko będzie dobrze. Jakoś się ułoży.

- Tak bym chciała, Rhys. Tak bym chciała, żeby się ułożyło.

On też tego pragnął. Nie bardzo wiedział, co miał na myśli, mówiąc, że będzie dobrze. Wiedział tylko, że tego chce. Nie mógł znieść widoku załamanej Whitney. Chciał, żeby była taka jak zawsze - szczęśliwa, pełna życia i pragnąca go tak, jak on pragnął jej.

Wziął ją za rękę i szepnął:

- Przejedźmy się.

Oddał jej swoją skórzaną kurtkę, a sam wziął kurtkę ojca.

- Nie będziesz się bała wsiąść na motor bez kasku? Ja swojego zapomniałem zabrać, ale nie pojedziemy daleko. Gotowa?

Kiwnęła głową. Wyszli z domu. Rhys dosiadł maszyny i pomógł Whitney wsiąść się na tylne siodełko. Objęła go mocno w pasie i ruszyli.

Wiatr szybko osuszył jej łzy. Trzymała się kurczowo Rhysa, przyciskając policzek do jego pleców. Nadal była wewnętrznie roztrzęsiona.

Było ciepłe popołudnie babiego lata. Idealny dzień na przejażdżkę. Whitney myślała o Rhysie i o tym, co powiedział.

Czy naprawdę mogło być dobrze? Czyżby widział jakieś rozwiązanie? Czyżby wybaczył jej, że była z nim nieszczerą, oszukiwała go i knuła za jego plecami?

Czy mógł przejść nad tym do porządku dziennego? Jej samej się to nie udawało. A jego rodzice? Przecież ich też oszukała.

Ale powiedział jej, że wszystko będzie dobrze, a ona chciała mu wierzyć.

Za szczytem wzgórza skręcili w prawo. Whitney rozpoznała drogę, która prowadziła do domu Rhysa. Rhys zatrzymał motocykl przed podziemnym garażem i wcisnął klawisz pilota. Kiedy rozsunęła się brama, wjechał do środka.

Wcisnął znowu przycisk i brama zasunęła się za nimi. Pomógł Whitney zsiąść, a potem zabezpieczył maszynę podpórką.

Rozejrzała się wokół. Stało tu mnóstwo motocykli wszelkiej maści - starych i nowych, kompletnych, rozmontowanych i znajdujących się w fazie montażu. Ale Rhys nie pozwolił jej dobrze im się przyjrzeć.

Pociągnął ją w kierunku klatki schodowej, zdejmując po drodze kurtkę.

Zatrzymali się w połowie schodów. Przygarnął ją do siebie i powoli zsunął jej kurtkę z ramion. Ujrzała w jego oczach pożądanie.

W tej chwili wszystko przestało się dla niej liczyć. Był tylko on i ona. Czuła się odurzona - jego zapachem, jego bliskością, i pragnęła go. Boże, jak go pragnęła.

Przytulił ją mocniej. Zadrzała i z krtani wyrwał jej się cichy jęk. Zarzuciła mu ramiona na szyję, a on wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

Rhys obudził się pierwszy. Przeniósł się z łóżka na stojący obok skórzany fotel i siedział w nim długo, przyglądając się śpiącej Whitney.

Postanowił, że zaczeka, aż się obudzi, a potem odwiezie ją do zajazdu i zabierze stamtąd Sarę Jane. Przedtem muszą jeszcze porozmawiać. W tej chwili napawał się tylko jej widokiem.

Była taka piękna. Miała w sobie tyle żaru. I pragnęła go, wyczuwał to. Pragnęła tak samo, jak on pragnął jej. Ta myśl sprawiła, że pierś wezbrała mu uczuciem, które uważał za dawno wygasłe.

Nie, nie mylił seksu z miłością. Potrafił odróżnić jedno od drugiego, tyle że do tej pory nie dopuszczał do siebie tej myśli. A teraz nie wiedział, co począć z tym uczuciem.

Potaął dłonią nie ogoloną brodę. Nie powiedziała ani razu, że jej na nim zależy. I chociaż wydawało mu się, że zna jej uczucia, to pewności nie miał.

Wiatr przyniósł z sobą zapach sosen. Whitney przykryła kocem swą nagość. Nad wierzchołkami drzew zbierały się ołowiane chmury.

Miała wrażenie, że spała zaledwie kilka minut, ale zapadające za otwartym oknem ciemności świadczyły o czymś innym.

Rhys zniknął, tak jak tamtej nocy w Phoenix, była jednak pewna, że jest gdzieś w domu, bo przecież musi odwieźć ją do zajazdu. Rozejrzała się po sypialni Rhysa. Podobały jej się te ciężkie dębowe meble, ta atmosfera ciepła i wygody.

Zatrzymała wzrok na fotografii stojącej na komodzie. Rozpoznała zdjęcie, które widziała już wcześniej w szufladzie jego biurka. Zdjęcie przedstawiające Rhysa z synem.

Rhys wierzył w niewinność swojego syna. Starał się go ratować, nawet gdyby z tego powodu miał zbankrutować. Wiedziała, ile znaczy dla niego sklep i podziwiała jego determinację.

Tylko co się stanie z Sarą Jane, jeśli R. J. wyjdzie na wolność? Nawet jeśli między nią a Rhysem w końcu się ułoży, to ten problem pozostanie nie rozwiązany.

Ale Rhys powiedział, że wszystko będzie dobrze, i chciała mu wierzyć. Bardzo chciała.

- Cześć. - W drzwiach stał Rhys z kubkiem parującego płynu. Był boso, miał na sobie spłowiałe dzinsy i rozpiętą flanelową koszulę w kratę.  
- Przyniosłem ci kakao - oznajmił, podchodząc do łóżka.

Postawił kubek na nocnym stoliku, usiadł na brzegu łóżka i pocałował ją delikatnie. Czując rosnące podniecenie, zarzuciła mu ramiona na szyję. Koc zsunął się i odsłonił piersi. Rhys odchylił się i dotknął palcem jej nagiej skóry. Przeszedł ją dreszcz.

- Zimno ci? - wyszeptał.

- Znam dobry sposób na rozgrzanie - powiedziała, tuląc się do niego. Pochylił się do jej ucha.

- Ja jeszcze nie ostygłem - powiedział cicho.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Stał przez chwilę w drzwiach sypialni Sary Jane i przyglądał się śpiącej dziewczynce. Taka śliczna, taka słodka i taka niewinna.

Taka bezbronna.

Kiedy po raz pierwszy ją zobaczył, miała niewiele ponad roczek, była różowiotka, rozkoszna i pachniała zasiusianymi pieluszkami. Obudziła w nim instynkt opiekuńczy, który do dzisiaj nie wygasł.

Kurczę, co za dzień!

Zostawił drzwi do sypialni uchylone i wszedł do kuchni. Wrzucił do szklanki kilka kostek lodu i zalał je wódką. Z drinkiem w ręku wyszedł na taras i oparł się o balustradę.

Niebo było czarne niczym smoła, nad wierzchołkami drzew migotało parę gwiazd. Wiatr huczał między sosnami jak pociąg towarowy. Wzdrygnął się mimowolnie. Najwyraźniej zbierało się na burzę.

Cholera, ależ był obolały. Odstawił szklankę na poręcz balustrady i rozprostował ramiona. Teraz, kiedy odwiózł Whitney do zajazdu i położył spać Sarę Jane, miał wreszcie czas na przemyślenie tego, czego się dziś dowiedział.

Z jednej strony ulżyło mu, kiedy poznał powód dziwnego zachowania Whitney przez ostatnie dni; z drugiej nie potrafił zapomnieć o tym, że go oszukiwała. Rozumiał jednak, że nie miała wyboru. Była przekonana, że jej siostrzenica wychowywana jest przez zdegenerowanego handlarza narkotyków.

Czy prawdą jest to, czego Whitney dowiedziała się o jego synu i swojej siostrze? Czy R. J. rzeczywiście handlował narkotykami, źle

traktował jej siostrę i uprowadził Sarę Jane? Jakkolwiek z tym było, musi zastosować wobec R. J. zasadę domniemania niewinności.

I musi zachować dystans. Powinien był zrobić to natychmiast, ale Whitney udało się sforsować barierę, którą wokół siebie zbudował. Zamiast porozmawiać i zastanowić się nad rozwiązaniem problemu, poszli do łóżka. Zaangażował się uczuciowo i ma to teraz wpływ na jego nastawienie.

Parsknął. Nic się nie zmieniłeś przez te wszystkie lata, Gannon!

Do czego Whitney właściwie zmierza? Co planuje teraz, kiedy już wie, że nie ma do czynienia ze skończonym draniem? Uśmiechnął się na wspomnienie jej błękitnych oczu i płonącego w nich pożądania.

Kochał ją. Nie dało się temu zaprzeczyć.

Uniósł szklanę do ust. Najgorsze, że Whitney ma własne życie, do którego wróci, kiedy skończy tu pracę nad albumem.

I byłby ostatnim głupcem, gdyby się łudził, że zrezygnuje z tego życia, by osiąść w takiej zapadłej dziurze jak Estrade.

Gdyby nawet z jakiegoś trudnego do wyobrażenia powodu się na to zdecydowała, to jak długo by tu wytrzymała? Po jakim czasie zaczęłaby mu wiercić dziurę w brzuchu, żeby zajął się czymś innym?

Tych pięć lat ze Stephanie doprowadziło go na skraj załamania nerwowego. Czy z Whitney nie byłoby czasem tak samo?

Zimny podmuch wiatru wypłoszył go z tarasu. Wszedł do środka i dorzucił kilka polan do płonącego na kominku ognia. Whitney powiedziała, że podoba jej się ten dom, ale wątpił, że na tyle, by była skłonna w nim zamieszkać. Ukucnął przed kominkiem i wziął do ręki pogrzebacz.

Zejdź z obłoków na ziemię, Gannon. To, że było im dobrze w łóżku, nie znaczy jeszcze, że są dla siebie stworzeni.

Po dwóch godzinach ogień na kominku wygasł, lecz Rhys nawet tego nie zauważył. Siedział na kanapie i analizował różne scenariusze. Do niczego na razie nie doszedł. Im więcej o tym rozmyślał, tym bardziej beznadziejna wydawała mu się sytuacja. W końcu westchnął, przetarł dłonią twarz, podniósł słuchawkę i wybrał numer kierunkowy do Chicago, a potem numer Lutha.

- Cześć, stary, jak leci? - spytał, siląc się na pogodny ton.

- Moja maszyna już gotowa?

- Nie, to potrwa jeszcze z miesiąc albo i dwa. Zamówiłem dopiero części. Jeszcze nie przyszły.

Luth roześmiał się.

- Przecież wiem, że nie dzwoniłbyś o północy, żeby mi oznajmić, że skończyłeś.

- Właśnie. Masz chwilę czasu?

- Też pytanie. Co się stało? Rhys streścił pokrótce sytuację. Luth nie widział żadnego problemu.

- Zrób to, co zawsze doradzasz mnie.

- To znaczy?

- Weź byka za rogi. Po mojemu, to musicie się z Whitney i poważnie porozmawiać. Dogadać się, gdzie będziecie mieszkali, u niej, czy u ciebie, a może i tu, i tu. Człowieku, toż to piękny układ. Po co z czegokolwiek rezygnować?

Rhys zeszywniał. Nie odpowiadała mu rola utrzymanka. A przy obecnym stanie jego finansów praktycznie by nim został.

- Upraszczasz, stary.

- A ty szukasz dziury w całym - odparował Luth. - Jak zwykle zresztą.

Co to, u diabła, miało znaczyć? Borykał się z poważnymi problemami. A to, że zakochał się w kobiecie, o której nie powinien nawet marzyć, było najmniejszym z nich.

- Spójrz na to w następujący sposób - dorzucił Luth. - Nie masz nic do stracenia.

Rhys nabrał powietrza w płuca.

- Tak - powiedział powoli. - Może i masz rację...

Umówili się, że Luth przyjedzie za parę tygodni, żeby sprawdzić, jak postępują prace przy jego motocyklu.

Kładąc się o czwartej nad ranem do łóżka, Rhys był już zdecydowany. Luth miał rację; nie ma nic do stracenia. Spróbować nie zaszkodzi.

Z samego rana zatelefonował Rhys z pytaniem, czy wybierze się z nim i z Sarą Jane na niedzielny piknik. Whitney ogarnęła euforia; zaskoczyła ją jego wyrozumiałość. Czyżby los wreszcie się do niej uśmiechnął i podsuwał drugą szansę?

Zaraz potem zadzwoniła jej przyjaciółka.

- Tanya? - Whitney podłożyła sobie poduszkę pod plecy, podciągnęła kolana pod brodę i opatulila kocem stopy. - To ty już nie śpisz? - Zerknęła na zegarek leżący na stoliku obok łóżka.

- A co w tym dziwnego? Między górską strefą czasową a Pacyfiku jest tylko godzina różnicy. U mnie już siódma rano.

Whitney zachichotała. Tanya nigdy tak wcześnie nie wstawała.



- To ty siedzisz jeszcze w Kalifornii?

Po ukończeniu college'u Tanya stała się pracoholiczką. Nigdy nie brała urlopu, żyła tylko pracą. W Nowym Jorku Whitney udawało się czasem wyciągnąć ją do teatru, do kina albo do restauracji, ale na tym kończyło się całe życie towarzyskie Tanyi. Fakt, że jej pobyt w Kalifornii przeciągnął się do ponad tygodnia, był wielce zastanawiający.

- Między innymi o tym chciałam z tobą pogadać. Postanowiłam wziąć sobie parę dodatkowych dni wolnego. Nie masz nic przeciwko temu, że pomieszkam jeszcze trochę u ciebie? Mały urlopik dobrze mi zrobi.

- Co takiego? - zachnęła się Whitney. - Eee... zaczekaj chwilkę. - Odsunęła słuchawkę od ucha i pacnęła w nią kilka razy dłonią. - No! Z tym telefonem chyba coś nie tak. Wydawało mi się, że usłyszałam słowo „urlop”.

- Dobra, dobra. Należało mi się - przyznała Tanya. - Ale dobrze usłyszałaś. Przyda mi się trochę odpoczynku. A poza tym... - zawahała się -mam tu do załatwienia parę spraw... zawodowych. No i pomyślałam sobie, że skoro już tu jestem, to rozejrzę się trochę po okolicy. Al zaferował się na przewodnika.

- Jaki Al?

- No, Al. Twój kuzyn.

- Żartujesz.

- Nie, naprawdę. Mam na oku pewną inwestycję, a on podjął się przeprowadzić rozeznanie.

- Ach, tak. Teraz rozumiem. To wcale nie urlop. - Od kilku lat Tanya przebąkiwała o zamiarze zajęcia się czymś innym, o zmianie zawodu, i

może o to właśnie chodziło. - Możesz u mnie mieszkać, ile chcesz. Nawet dobrze, że ktoś tam będzie.

- Dziękuję. Posłuchaj, Al próbował się do ciebie dodzwonić, ale miał trudności z połączeniem. Chyba ma dla ciebie jakieś nowe informacje. Aha, i jeszcze jedno. Dzwoniła lekarka twojej matki. Prosiła o kontakt. Powiedziała, że to ważne.

Whitney ścisnęła odruchowo słuchawkę.

- I to chyba naprawdę jest ważne. Whitney westchnęła z rezygnacją.

- Tak, dobrze. Dzięki, że mi powiedziałaś. Zadzwoń do tej lekarki później. Teraz nie chciała psuć sobie humoru przed piknikiem z Rhysem i Sarą Jane. Pożegnała się z Tanya i wróciła myślami do ostatniego spotkania z matką, które skończyło się totalną katastrofą. Pokłóciły się i Whitney wybiegła wzburzona z kliniki. Matka nie chciała od niej pomocy. Zawsze ją odrzucała.

Za późno, już o wiele za późno na wszystko. Teraz Whitney czuła do rodziców jedynie głęboką urazę.

Odrzuciła koc, wstała z łóżka, wzięła prysznic i podeszła do szafy. Rhys poradził, żeby się ubrała warstwowo. Na początku miało być chłodno, a potem, w miarę zjeżdżania coraz niżej, temperatura miała się podnosić. Whitney włożyła dżinsy i ciepłą białą koszulkę, na to obszerny niebieski sweter z wycięciem w serek, i tenisówki.

Potem stanęła przed lustrem, by zapleść włosy. Uśmiechnęła się na widok swojego odbicia. Matka byłaby przerażona, Brock również.

Ta myśl przyniosła jej jakąś perwersyjną satysfakcję. Miała nadzieję, że Brock odsłuchał już wiadomość, którą zostawiła mu poprzedniego wieczoru w poczcie głosowej. Informowała go w niej, że nie jest

zainteresowana ani teraz, ani w przyszłości finansowaniem jego filmu, i że może już sobie mówić Rhysowi, co chce, bo on już wie o wszystkim od niej.

Zaplatając włosy w warkocz, podeszła do drzwi i uchyliła je. Poprosiła wczoraj Gretę, żeby przysłała jej kawę do pokoju. Wróciła przed lustro. Ciekawe, czy Rhys powiedział rodzicom, że jest ciotką Sary Jane. Miała nadzieję, że jeszcze im tego nie zdradził, bo chciała najpierw dojść do porozumienia z Rhysem.

- Słyszałem, że wybieracie się na piknik -rzekł Johnny, wpychając wózek do pokoju. - Ładny dzień macie na wycieczkę. W Sedonie ma być dwadzieścia stopni ciepła.

Whitney odwróciła się.

- Właśnie tam jedziemy. - Uśmiechnęła się promiennie, żeby ukryć zmieszanie. - Podobno Rhys zna idealne miejsce w pobliżu jakichś ruin Anasazi.

Johnny kiwnął głową.

- Rhys jest dobrym przewodnikiem. Zaraz po sprowadzeniu się tutaj ruszył na rekonesans po okolicy. Trochę mnie z początku dziwiło jego upodobanie do małych miejscowości. Wychodzi na to, że nawet własnych dzieci nie znamy tak, jak się nam wydaje.

- Obawiałeś się, że mu się tu nie spodoba? Przecież tu jest pięknie i ludzie są cudowni. -Zerknęła na niego. - Ja zaraz po przyjeździe poczułam się jak w domu.

- No, wiesz... - Johnny stał obok wózka i nalewał z dzbanka kawę do filiżanki z chińskiej porcelany.

Uśmiechnęła się, patrząc, jak ostrożnie ściska kruche naczynia wielkimi dłońmi, tak podobnymi do rąk Rhysa.

- Przez jakiś czas miałem wątpliwości - ciągnął Johnny. - Rhys od urodzenia mieszkał w Chicago, przywykł do zgiełku wielkiego miasta i myślałem, że trudno mu się będzie odnaleźć w takiej spokojnej miejscinie.

Uśmiechnął się.

- Ale jak już powiedziałem, zaadaptował się bez trudu. Kocha te swoje motocykle, ale chyba musiał najpierw pojeść chleba z innych pieców, żeby przekonać się, gdzie naprawdę jest jego miejsce.

Johnny mówił o Rhysie, ale to samo równie dobrze mogło się odnosić do niej. Whitney usiadła przy stoliczku i dołała sobie do kawy śmietanki.

- Odnoszę wrażenie, że Rhys jest zadowolony z wyboru, jakiego dokonał - powiedziała, kiedy Johnny ruszał do drzwi.

Gdybym to ja mogła powiedzieć to samo o sobie, pomyślała tęsknie. Johnny odwrócił się w progu i obrzucił ją wymownym spojrzeniem.

- Najważniejsze to podejmować decyzje. Nietrafione decyzje pomagają nam dochodzić do tych właściwych. Krótko mówiąc, na błędach człowiek się uczy.

Whitney kiwnęła głową. Była właśnie w trakcie podejmowania decyzji i musiała to być decyzja trafiona. Ale czy będzie - i czy podejmując ją, nikogo nie skrzywdzi?

Sara Jane jednym z patyków, które zebrała, wydłubywała z czerwonej glinki kamyk. Whitney wylegiwała się na kocu, który Rhys rozpostarł na ziemi. Ku jej zaskoczeniu Rhys zabrał ze sobą wszystko, co

potrzebne było na pikniku, łącznie z pieczonym kurczakiem, którego poprzedniego dnia wydebił od Greta.

Dzień był cudowny, wypełniony śmiechem i zabawą. Whitney zrobiła dziesiątki zdjęć, w tym kilka z wykorzystaniem samowyzwalacza, na których byli wszyscy troje.

W końcu Rhys zabrał ich do miejsca zwanego Red Rock Crossing. Poszli wąską ścieżką nad potokiem do ustronnego zakątka, gdzie stał stary młyn z połamanym i unieruchomionym młyńskim kołem. Zielona polana nad potokiem nadawała się idealnie na piknik. Rhys rozpostarł koc pod wielką, odbijającą się w wodzie sykomorą. Zmęczona Whitney padła na wznak na koc i już w tej pozycji została.

- Żelazo - powiedział Rhys, wskazując rękawy swej czarnej koszuli. - To żelazo zawarte w ziemi zabarwia tu skały na czerwono.

Whitney podparła się na łokciu.

- Dziękuję za informację, panie geologu. Ale jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, ja nadal będę wierzyła, że ten kolor wyczarowuje swoją różdżką jakaś wróżka z bajki.

- Przyniosłam jeszcze. - Sara Jane dorzuciła kilka kamyczków do kupki piętrzącej się u stóp Whitney. - Widzicie? - powiedziała z dumą, sortując je paluszkami. - Czerwony, czarny, a ten małe nazywa się geoda. - Podała Whitney kamyczek przypominający grudkę gliny.

Whitney zerknęła spod oka na Rhysa, który wyciągnął się obok niej na kocu, i wzięła okrągły kamyczek w dwa palce.

- Skąd wiesz?

- Bo jest okrągły. - Sara Jane uśmiechnęła się i pobiegła szukać dalej.

Rhys rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

- Pomyślałem sobie, że powinna znać się trochę na tym, co zbiera.

Nigdy nic nie wiadomo. Słyszałem, że można tu znaleźć złoto.

Whitney rzuciła jednym z kamyków w jego but.

- Ja też tak słyszałam. A Charley jest o tym przekonany.

- Wiem. - Rhys ścierał czerwoną plamę z kolana dżinsów. - A skoro już mowa o Charleyu, to Mabel mówiła mi wczoraj, że pojechał do urzędu probierczego. Może natrafił wreszcie na tę swoją żyłę. - Pokręcił głową. - Czy nie należałoby mu się po tylu latach?

- Ja mam o Charleyu własne zdanie. - Whitney obrała banana. -

Wydaje mi się, że całe to szukanie złota to dla Charleya pretekst, żeby być blisko Mabel.

- Ale on naprawdę kopie. - Rhys wziął jej rękę, przyciągnął ją do ust i odgryzł połowę banana. Przełknąwszy go, podjął: - A jeśli ten stary rozpustnik naprawdę znalazł złoto? - Zachichotał. -Może powinienem pójść do Charleya terminować. Przydałoby mi się teraz takie znalezisko.

Spoważniał i Whitney domyśliła się, że przypomniał sobie odrzucony przez bank wniosek o pożyczkę. Ona też dużo o tym myślała, ale nie bardzo wiedziała, jak przedstawić mu pomysł, który przyszedł jej do głowy. Jednak teraz, skoro sam poruszył ten temat...

- Posłuchaj, są inne sposoby na zdobycie pieniędzy na rozkręcenie twojego interesu - powiedziała.

- Tak, wiem. - Uśmiechnął się sarkastycznie. - Na przykład obrabowanie banku. - Uniósł głowę i poszukał wzrokiem Sary Jane. Dziewczynka siedziała nieopodal w kucki i dłubała patykiem w ziemi.

- Ja mówię poważnie. Istnieją inne sposoby. -Whitney spojrzała na Rhysa. - Mogę ci pomóc.

Wyraz jego twarzy pozostał chłodny.

- Saro Jane! - krzyknął ostro. - Wracaj tu. Whitney nie słyszała jeszcze, żeby używał takiego tonu wobec małej. Nie doczekawszy się odpowiedzi na swoją sugestię, uznała, że nie zrozumiał, o co jej chodzi, i podjęła:

- Mogłabym ci udzielić formalnej pożyczki, wyłożyć pieniądze na rozwój. Wpadłam również na pomysł wydania katalogu sprzedaży wysyłkowej...

- Saro Jane, chodź tutaj! - Rhys zerwał się z koca i wziął pod boki. - Za długo jesteś na słońcu. - Odchrząknął i zwrócił się do Whitney. - Nie potrzebuję niczyjej łaski. Nie chcę twoich pieniędzy.

Panował nad głosem, ale z wyrazu jego twarzy wyczytała, że popełniła gafę.

Boże, ależ ten człowiek był dumny - zbyt dumny, żeby wyszło mu to na dobre. Zbita z tropu tą raptowną zmianą nastroju, postanowiła nie drażnić dłużej tematu. Nalała sobie wody mineralnej i uniosła kubek w geście toastu.

- Jak chcesz - powiedziała. - Ale oferta pozostaje aktualna na wypadek, gdybyś kiedyś zmienił zdanie.

Rhys ukląkł przed Sarą Jane, która tymczasem do nich podeszła, i posmarował jej nosek i policzki kremem. Ruchy miał bardziej nerwowe niż zwykle i Whitney już wiedziała, że świąteczny nastrój minął bezpowrotnie.

Po kilku minutach milczenia odezwała się:

- Rozmawiałam dzisiaj rano z twoim ojcem.

Bardzo mi ciebie przypomina. - Próbowała sprowadzić rozmowę na inne tory w nadziei, że Rhys zapomni, co go tak wytrąciło z równowagi. - Czy może raczej ty przypominasz mi jego.

Sara Jane znowu pobiegła szukać kamyków, ale pozostawała w zasięgu wzroku, tak jak przykazał jej Rhys. Dobrze ją wychował. Whitney nie miała wcale pewności, czy gdyby to ona opiekowała się dziewczynką od maleńkości, osiągnęłaby podobny wynik.

- Powiedział mi, że bardzo się cieszy, że przystosowałeś się do życia w małym miasteczku.

Rhys wzruszył ramionami.

- Wiem. Na początku chyba nie bardzo w to wierzył. Szczerze mówiąc, ja również.

Usiadł znowu obok Whitney.

- Bardzo szanuję tatę. Mamę też. Długo to trwało, ale w końcu udało im się zrealizować swoje marzenie.

Whitney zauważyła przemykający przez jego twarz cień przygnębienia.

- Gdyby nie problemy, których im przysporzyłem, byłiby teraz szczęśliwsi.

Dotknęła delikatnie jego dłoni.

- Ojciec jest z ciebie bardzo dumny. Ożywia się, ilekroć rozmowa schodzi na twój temat.

Twarz Rhysa złagodniała.

- Tak, tylko że ja z pewnością sobie na to nie zasłużyłem. W dzieciństwie nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie przeprowadzimy się do lepszej dzielnicy. Ledwie wiązaliśmy koniec z końcem i poprzysiągłem



sobie, że do czegoś w życiu dojdę, że nie będę żył tak jak oni. Widziałem tylko siebie.

Pokręcił głową.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że mają do opłacenia górę rachunków za leczenie, a także pogrzeb swoich rodziców, a nie chcą korzystać z zasiłków opieki społecznej. Na wszystko, co teraz mają, zapracowali własnymi rękami.

Urwał, żeby zaczerpnąć powietrza.

- Dopiero teraz to zrozumiałem - podjął. - Wtedy jakoś to do mnie nie docierało. Z czasem udało mi się wyrwać w szeroki świat, ale potem wszystko spieprzyłem i sam sobie jestem winien. - Rzucił kamyk do potoku.

- A ja myślę, że to wcale nie twoja wina - rzekła Whitney. - Nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak inni ludzie i rozmaite, pozornie nie związane z nami zdarzenia potrafią wpływać na nasze życie.

- Może i tak. Ale ostatecznych wyborów dokonujemy sami. Po ślubie ze Stephanie rzuciłem się w wir pracy. Harowałem jak wół, żeby się wybić, żeby pokazać, na co mnie stać. Tak się na tym skoncentrowałem, że przestałem w ogóle zwracać uwagę, co się dookoła mnie dzieje.

Whitney dostrzegła w jego oczach ból. Obwinił siebie za rozpad małżeństwa i trudno mu było o tym mówić.

Ale najwyraźniej chciał zrzucić z serca ten ciężar, i fakt, że się przed nią otwierał, dodawał jej skrzydeł. To znaczyło, że jej ufa. Pomimo wszystko ufa jej na tyle, żeby opowiedzieć o swojej przeszłości.

- Do ostatniej chwili nie wiedziałem, że Stephanie ma romans, niczego nie podejrzewałem. Na instytucję małżeństwa patrzyłem zawsze

przez pryzmat związku moich rodziców, i nawet do głowy mi nie przyszło, że w moim przypadku może być inaczej.

Oczy mu posmutniały.

- Stephanie wszystkiego było mało. Cokolwiek zrobiłem, jej to nie wystarczało. Co gorsza, byłem zaślepiony. Nie zdawałem sobie sprawy, jak potrafi być mściwa, do głowy mi nie przyszło, że będzie nastawiała R. J. przeciwko mnie. Nie popisałem się tu znajomością ludzkiej natury.

Prychnął.

- Cholera, ona chyba miała rację. To chyba rzeczywiście była moja wina. Gdybym nie odszedł, R. J. nie miałby dzisiaj kłopotów. - Wziął następny kamyczek i wrzucił go do potoku.

Niewiarygodne. Rhys obwinia siebie za rozpad małżeństwa ze Stephanie i za deprawację Rhysa juniora.

- Przecież mówiłeś, że ona miała romans, że zatruwała umysł twojego syna.

- Owszem, ale nie chciała rozwodu. Odpowiadał jej ten stan rzeczy. Ale ja nie mogłem tak dalej żyć. Postanowiłem od nich odejść. Gdybym tego nie zrobił, gdybym zacisnął zęby i ciągnął to dalej... - Zamilkł.

- Ale... - zaczęła Whitney.

Chciała mu powiedzieć, że słusznie postąpił, uświadomiła sobie jednak, że jej słowa niczego tu nie zmienią. On i tak będzie się tym gryzł jeszcze przez wiele lat. Nic dziwnego, że nie chciał się angażować w żaden inny poważny związek.

- Tatusiu, zobacz! Wąż.

Rhys poderwał głowę, w jego oczach pojawiło się przerażenie.

- Nie ruszaj się, Saro Jane. Stój nieruchomo - powiedział spokojnym głosem.

Podniósł się powoli z koca, a potem jednym skokiem dopadł dziewczynki i porwał ją na ręce. Następnie schylił się po patyk, wyprostował się i znieruchomiał, trzymając go nad głową jak maczugę. Whitney siedziała na kocu zmartwiała ze zgrozy.

Po chwili Rhys odetchnął z ulgą.

- O, kurczę. - Postawił Sarę Jane na ziemi i wrócił na koc trochę zdyszany i wyraźnie zdenerwowany. - Jaszczurka - wyjaśnił, siadając. - Spotykana w Arizonie na każdym kroku i zupełnie nieszkodliwa.

Sara Jane podeszła do nich z nową porcją zbieranych kamyczków. Położyła je na kocu i przetarła oczy piąstkami.

- Coś mi się wydaje, że pora na drzemkę - zauważył Rhys.

Delikatnie ściągnął Sarze z nóg tenisówki i skarpetki.

Dziewczynka przytuliła się do niego i po paru minutach spała. Whitney patrzyła z rozczeniem, jak Rhys troskliwie odgarnia małej z twarzy złote loczki.

Dopóki Rhys będzie miał tu coś do powiedzenia, Sarze Jane nigdy nie zabraknie miłości.

- Ona jest rozkoszna - powiedziała cicho Whitney.

- O tak - przyznał. - Nie wiem, co bym bez niej zrobił. - Oczy mu pociemniały.

Whitney pomyślała o obietnicy, którą złożyła Morgan, i ścisnęło ją w dołku. Ale od czasu złożenia tej obietnicy sytuacja bardzo się zmieniła. Morgan chciała tylko, żeby Sara Jane była bezpieczna i kochana. I Bóg

świadkiem, że dziewczynka miała to teraz zapewnione. Ale pozostawał jeszcze R. J. Na tę myśl Whitney poczuła dreszcz.

- Rhys - odezwała się niepewnie. - Martwię się, co się stanie z Sarą Jane, jeśli apelacja odniesie skutek i R. J. wyjdzie na wolność. Co on, według ciebie, zrobi?

Rhys westchnął ciężko i zwiesił głowę.

- Nie wiem. Po prostu nie wiem. Miliony razy już się nad tym zastanawiałem.

- A jeśli R. J. będzie chciał ją zabrać?

Rhys milczał dłuższą chwilę. Potem położył Sarę Jane na kocu, podsunął jej pod główkę poduszkę i zwrócił się do Whitney:

- Ma do tego prawo - powiedział cicho. - Nie chciałbym, żeby do tego doszło, ale to nie zależy ode mnie. - Popatrzył na Whitney i dodał: - Jest jej ojcem.

Te słowa były jak nóż wbity w serce.

- Sądzisz, że R. J. potrafiłby się nią należycie zaopiekować?

Rhys długo zwlekał z odpowiedzią.

- Rozumiem, dlaczego popadł w konflikt z prawem - odezwał się w końcu. - Wiem, że nie wygląda to najlepiej. Ale teraz jest już czysty i uważam, że zasługuje na drugą szansę. A ty co o tym myślisz?

- Czy rozważałeś kiedyś możliwość wystąpienia do sądu o przyznanie ci prawa do opieki nad Sarą Jane? - Boże, w końcu to powiedziała! Teraz musi brnąć dalej, bez względu na konsekwencje. - Moja siostra prosiła, żebym to zrobiła.

Rhys patrzył ponad jej ramieniem w przestrzeń, potem zacisnął usta i powoli przeniósł na nią wzrok. Oczy mu się rozszerzyły, tak jakby dopiero teraz ją zobaczył.

- I to jest prawdziwy powód, dla którego tu przyjechałaś, tak? - spytał z niedowierzaniem. A potem wycedził przez zęby: - Nie przyjechałaś tu zobaczyć się z Sarą Jane ani z nią zaprzyjaźnić. Chcesz ją zabrać. - Potrząsnął głową. - To dlatego tak wspaniałomyślnie zaproponowałaś mi pożyczkę? To miało być odstępne, tak? A może myślałaś, że wystarczy pójść ze mną do łóżka? - Znowu pokręcił głową. Na jego twarzy malowała się pogarda. - Mój Boże, ale ze mnie głupiec!



## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Ostry ból za mostkiem nasilił się, kiedy zaczęła wrzucać swoje rzeczy do walizki. Zamknęła oczy. Przeżywała na nowo tę ostatnią scenę z Rhysem. W głowie rozbrzmiewały jej echem jego przesiąknięte goryczą słowa, ale najbardziej wrył jej się w pamięć pełen wyrzutu wyraz jego twarzy, świadczący o tym, że poczuł się zdradzony.

Wracali z Sedony w grobowym milczeniu. Jasne było, że w zajeździe nie jest już mile widzianym gościem. Całe szczęście, że Sara Jane przez całą drogę spała.

Po konfrontacji z Rhysem Whitney czuła się wydrenowana z wszelkich emocji, zupełnie jakby poddano ją lobotomii albo zaaplikowano jej końską dawkę nowokainy.

Kiedy zadzwonił Albert i poprosił o spotkanie w Phoenix, bo miał już dla niej akt urodzenia i parę innych informacji, słuchała go jednym uchem.

Poruszając się jak w transie, zamknęła walizkę. Reakcja Rhysa zupełnie ją rozbiła. Może łatwiej by to zniosła, gdyby nie jego wcześniejsza wyrozumiałość, zapewnienia, że wszystko jakoś się ułoży. Przez krótką chwilę naprawdę w to uwierzyła...

Ale jak mogła uwierzyć, że jego syn będzie dobrym rodzicem dla Sary Jane? Co ten człowiek sobie myśli? Nawet gdyby R. J. został oczyszczony z zarzutu morderstwa, to pozostawały jeszcze narkotyki. Nie wspominając już o fizycznym i psychicznym znęcaniu się nad Morgan.

Poza tym R. J. nie przejmował się zupełnie losem swojej córeczki. Było rzeczą oczywistą, że Rhys źle osądza swego syna. Nie, nie wolno jej

pozostawić tej sprawy własnemu biegowi. Dopóki ona żyje, R. J. nie dostanie w swe ręce Sary Jane.

Rhys zarzucił jej nie tylko nieszczerłość, ale i próbę manipulowania nim swoimi pieniędzmi i swoim ciałem. Zacisnęła mocno powieki. Nigdy nie zapomni tej pogardy w jego głosie i nienawiści w oczach.

Pokój zakołysał się i musiała oprzeć się ręką o walizkę. A może on ma rację?

Po co proponowała mu tę pożyczkę? Wiedziała przecież, jaki jest uparty, jaki dumny. Po co się z nim kochała, skoro wiedziała z góry, że nic z tego może nie wyjść?

Czyżby w tym, co mówił, było trochę prawdy?

Łzy napłynęły jej do oczu. Gdyby nie polubiła tak Rhysa i jego rodziny... Boże, ależ to będzie dla nich cios.

Starając się zachowywać jak najciszej, zniosła spakowaną walizkę i plecak pod drzwi. Nie potrafiłaby teraz spojrzeć w oczy ani Grecie, ani Johnny'emu. Była zwyczajną zdrajczynią - podszytą tchórzem zdrajczynią. Wolałaby zapaść się pod ziemię, niż być tutaj, kiedy się wszystkiego dowiedzą.

Przewiesiła sobie torbę z aparatami przez jedno ramię, plecak przez drugie, dźwignęła walizkę i otworzyła drzwi.

Po schodach wchodziła Greta.

- Poświęcisz mi minutkę?

Whitney kiwnęła głową i postawiła na podłodze bagaże. Żal jej było Greta i Johnny'ego, żal jej było ich wszystkich. Gdyby istniał jakiś inny sposób, to Bóg jej świadkiem, skorzystałaby z niego.

- Przepraszam, Greto, że nie wyjawiałam prawdziwego powodu swojego przyjazdu...

Greta podniosła rękę.

- Nie musisz mi niczego wyjaśniać. Rhys już to zrobił.

Whitney nie mogła tego znieść. Rozmowa z Gretą była tak samo bolesna jak z Rhysem.

- Muszę wyjaśnić, Greto, bo... - Odwróciła się do Grety plecami i wykręcając sobie palce, wyrzuciła z siebie całą historię.

Powtórzyła wszystko, co mówiła jej o Rhysie Morgan. Wyznała, że siostra miała go za ostatniego drania. Powiedziała o obietnicy, którą złożyła siostrze, i o swoich wyrzutach sumienia. Kiedy Greta położyła jej dłonie na ramionach, nie wytrzymała i rozplakała się.

- Ja też muszę ci się z czegoś wyświadczyć - oznajmiła Greta, sadzając Whitney w fotelu i siadając naprzeciwko niej.

Whitney pociągnęła nosem i otarła grzbietem dłoni mokre od łez policzki. Greta nie wyglądała wcale na taką wzburzoną, jak tego oczekiwała.

- Kiedy pojechaliście z Rhysem do Phoenix, weszliśmy z Sarą Jane do twojego pokoju, żeby zmienić kwiaty w wazonie. Sara Jane znalazła na stoliku twój dziennik i wręczyła go mi. Był otwarty. Nie zamierzałam go czytać.

Greta spuściła z zażenowaniem głowę i zaczęła obracać obrączkę na palcu.

- Rzuciło mi się w oczy parę nazwisk, które tam zapisałaś, i nawet się nie zorientowałam, jak zaczęłam czytać. Wmawiałam sobie, że robię to dla Sary Jane. Bo widzisz, od początku boję się, że matka może po nią



przyjechać... albo kogoś przysłać. Tak czy owak, przeczytałam kilka stron.

- Greta zamknęła oczy. - Wiem, że źle postąpiłam i od tamtego czasu sumienie nie daje mi spokoju. A więc i ja ciebie przepraszam.

- Nie... nie rozumiem - wymamrotała Whitney.

Czyżby Greta chciała przez to powiedzieć, że już jakiś czas temu odkryła, że ona, Whitney, jest ciotką Sary Jane? I teraz ją za to przeprasza?

- Wiedziałaś, po co przyjechałam, i nic nie mówiłaś?

Greta kiwnęła głową.

- Dowiedziałam się tego z twojego dziennika, ale chyba już wcześniej coś przeczuwałam. - Westchnęła jakby z ulgą, że zrzuciła to z serca. - Widziałam, jak przypadliście sobie z Rhysem do gustu - podjęła cichym głosem. - Widziałam, jak on na ciebie patrzy i jak pokochała cię Sara Jane. Miałam chyba nadzieję, że skoro oboje z Rhysem kochacie Sarę, to może pokochacie się nawzajem. Miałam nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży.

Znowu westchnęła, tym razem z rezygnacją.

- Tak bardzo tego pragnęłam. Tak bardzo.

Whitney również żałowała, że to marzenie się nie spełniło. Zależało jej na tym bardziej, niż skłonna była przyznać. Dopóki Rhys... Przyszła jej do głowy pewna myśl.

A może Greta nie wie wszystkiego?

- Czy Rhys powiedział ci, że moim zdaniem R. J. nie powinien wychowywać Sary Jane?

Greta kiwnęła głową.

- I chyba masz rację. - Wstała, wciąż obracając obrączkę na palcu. - Wiem, że to może zabrzmieć okropnie, ale ja również jestem zdania, że

mój wnuk nie potrafi zapewnić Sarze Jane należytej opieki. Nawet jeśli wypuszczą go z więzienia, to ma jeszcze wiele innych problemów. Ale nie powiedziałam tego Rhysowi. Cała ta historia z synem i tak dała mu się już porządnie we znaki. Greta ponownie usiadła.

- Rhys i jego siostra Lisa nie mieli lekkiego życia. Ja i Johnny uważamy, że powinniśmy robić, co w naszej mocy, żeby pomagać im i wnukom, z R. J. włącznie. Ale nie wiem, co zrobimy, jeśli on będzie chciał zabrać Sarę Jane. Wiem, że Johnny nigdy nie przeciwstawi się w tej sprawie Rhysowi. Nie rozmawiamy na ten temat, bo nie jesteśmy zgodni co do sposobu rozwiązania problemu.

Whitney przyjęła te słowa z ogromną ulgą, ale żal jej było matki Rhysa. Ta kobieta była najwyraźniej rozdarta.

- Rhys może w końcu zrozumie - ciągnęła Greta - ale w tej chwili przemawiają przez niego emocje. Czuje się odpowiedzialny, bo nie interesował się R. J., kiedy ten dorastał. Uważa, że chłopak przez to właśnie zszedł na złą drogę. To naturalnie bzdura. Dla każdego przychodzi taki czas, kiedy musi wziąć odpowiedzialność za swoje czyny. R. J. sam jest sobie winien.

- Ale Rhys myśli inaczej. Zarzuca też sobie, że zdradził syna - powiedziała Whitney. - I ma rację, jeśli chodzi o mnie. Nic nie może usprawiedliwić tego, co zrobiłam.

Greta uścisnęła Whitney.

- Może czas przyniesie rozwiązanie - powiedziała cicho. - Jeśli dwoje ludzi się kocha, to nie powinno być problemu, którego nie potrafiliby rozwiązać.

Och, jak Whitney chciała w to uwierzyć. Wiedziała jednak, że przebaczenie jest ostatnią rzeczą, jakiej może oczekiwać od Rhysa.

W kabinie pasażerskiej małego samolotu panował nieopisany tłok i hałas. Kobieta siedząca przed Whitney odwracała się co chwila i podnosiła głos, żeby przekrzyczeć ryk silników. Było to irytujące.

Whitney doszła do wniosku, że jadąc przez trzy godziny samochodem do Phoenix, będzie miała stanowczo za dużo czasu na rozpamiętywanie krzywd, jakie wyrządziła Rhysowi, zostawiła więc samochód w wypożyczalni we Flagstaff i kupiła bilet na samolot lokalnych linii. W tym pośpiechu nie zdążyła się nawet pożegnać z Sarą Jane i teraz dręczyła ją ciekawość, co też Rhys powie jej siostrzenicy. Czy obiektywną prawdę, czy może swoją wersję?

Na początku jedyną jej motywacją była obietnica złożona Morgan, ale potem przestała ona być taka ważna. Zaczęła się w niej rodzić wiara, że ona, Rhys i Sara Jane mogą żyć razem. Byłoby to idealne rozwiązanie, ale teraz nie miała już złudzeń, że jest realne. Bo prawda była taka, że sama myśl o małżeństwie wzbudzała w niej panikę. Odstraszał ją przykład rodziców i większości znajomych rodzin. Ale przez jakiś czas myślała tak samo jak Greta.

Teraz wiedziała już, że nic z tego nie wyjdzie, i musiała się z tym pogodzić. Musi myśleć praktycznie. Nie wolno jej dopuścić, by R. J. zabrał Sarę Jane, a nikt prócz niej nie potrafi temu zapobiec.

Na lotnisku złapała taksówkę i pojechała do pobliskiego hotelu, w którym umówiła się z Albertem.

Twierdził, że ma jakieś nowe informacje, a jeśli ją pamięć nie myliła, uzyskał je od dziewczyny, z którą po odejściu Morgan żył R. J. Swoją

drogą ciekawe, cóż to mogą być za rewelacje, skoro Albert nie chciał powiedzieć jej nic przez telefon, lecz fatygował się aż do Phoenix?

Albert wpadł jak bomba do jej hotelowego pokoju, wymachując neseserem. Położył go na stoliku. Uścisnął Whitney, a potem odsunął ją od siebie na długość wyciągniętych ramion.

- Bez urazy, kuzynko, ale nie najlepiej mi wyglądasz.

Whitney wzruszyła ramionami.

- A czuję się jeszcze gorzej. - Podeszła do telefonu. - Zamówię jakieś jedzenie do pokoju. Na co masz ochotę?

- Nie jestem głodny - zastrzegł szybko Albert. - Jadłem w samolocie. Ale napiłbym się czegoś.

Rozejrzawszy się po pokoju, wypatrzył małą lodówkę i podszedł do niej. Whitney pokazała mu bez słowa leżący na biurku klucz. Jej też nie chciało się jeść, ale mimo wszystko zamówiła lekki posiłek. Odłożyła słuchawkę i splotła ręce na piersi. Albert rozwalił się na kanapie ze szklanką dzinu z tonikiem i otworzył neseser.

- Na pewno wszystko w porządku? - spytał z troską w oczach.

Skończył już trzydzieści pięć lat, ale miał w sobie coś chłopięcego. Jego klasyczną amerykańską urodę podkreślały falujące piaskowe włosy opadające kosmykami na czoło.

Whitney kiwnęła głową.

- Nic mi nie jest. Nie wiesz czasem, czy Tanya nadal u mnie mieszka? - Nie mogła znieść myśli o powrocie do pustego domu.

- Tak, ale jutro wraca do Nowego Jorku. Dlatego mam tylko dwie godziny czasu.

Whitney uniosła brwi.

- A co ma jedno do drugiego?

- Sprawdzam coś dla niej. Planujemy razem pewną inwestycję, taką firmę internetową. I powiem ci, kuzynko, że na razie idzie nam jak po maśle. Jak wszystko wypali, to kto wie, czy twoja przyjaciółka nie zlikwiduje interesów w Nowym Jorku i nie przeniesie się tutaj. - Jak to miał w zwyczaju, dla lepszego efektu zawiesił głos, a potem dokończył: - Do mnie.

No nie! Kogo jak kogo, ale ich nigdy nie wyobrażała sobie razem.

Tanya i Albert. Tanya była zawsze osobą niezwykle zrównoważoną, mocno stąpającą po ziemi, oglądała z obu stron każdego centa, którego miała wydać, a z Alberta był lekkoduch, którego nigdy nie trzymały się pieniądze.

Związek był niedopasowany pod każdym względem - ale najwyraźniej Tanya i Albert postanowili spróbować. Może nie znała ich tak, jak jej się wydawało? Westchnęła.

- Myślisz, że uda wam się?

- To się okaże. - Albert uśmiechnął się i oddał jej swojego drinka. - Masz. Ja zrobię sobie drugiego.

Wstał i pchnął ją lekko w kierunku kanapy. Po chwili dosiadł się do niej z nową szklanką w dłoni i jeszcze raz przyjrzał się jej uważnie.

- Na pewno dobrze się czujesz? Może mam zaczekać, aż coś zjesz?

Whitney pokręciła głową. Chciała mieć to już za sobą. Jej życie i tak nie będzie już nigdy takie jak dotychczas, a więc co za różnica? Starła się o prawo do opieki nad Sarą Jane; według Alberta mieli teraz w ręku dowód, który wreszcie nada sprawie bieg.

Jej prawnik, Willie Atwater, uznał ten dowód za wystarczający. Zostawił jej w hotelu wiadomość. Oddzwoniła natychmiast po przyjeździe.

Do aktu urodzenia w rubryce „ojciec” wpisano „nieznany” i chociaż Morgan podała fałszywe nazwisko, to wpisała swoją prawdziwą datę urodzenia, prawdziwe pierwsze imię, a „Sheffield” jako drugie imię.

Ten akt urodzenia wystarczał do uznania pokrewieństwa pomiędzy Sarą Jane i Whitney, a informacje o R. J. zebrane przez Alberta wystarczały, by udowodnić przed każdym sądem, że chłopak nie nadaje się na rodzica. Whitney martwiła się tylko tym, jak to wszystko przyjmie Rhys.

- Dzwoniłem już w twoim imieniu do Atwatera. Skontaktował się z tobą?

Whitney kiwnęła głową.

- Mhm. Powiedział, że przygotowuje wniosek o przyznanie praw do opieki. Sąd powiadomi mnie i Rhysa o dacie rozprawy. - Whitney spojrzała ostro na Alberta. - Pokaż mi ten akt urodzenia.

Wręczył jej kopię. Wynikało z niego, że Sara Jane przyszła na świat w Nowym Meksyku. Nic dziwnego, że Albert miał trudności z jego odnalezieniem.

- No cóż, teraz pozostaje nam chyba tylko czekać, prawda?

Albert rozsiadł się wygodnie na kanapie, przerzucając jedną rękę przez oparcie.

- Wybacz, ale nie uszło mojej uwagi, że nie skaczesz z radości. - Spojrzał na nią pytająco. -Czyż nie do tego właśnie dążyliśmy?

Whitney opadła na poduszki, położyła wygodnie nogi na stoliku i przekrzywiając głowę, spojrzała na niego z ukosa.

- Tak. Do tego.

- No więc? Dlaczego się nie cieszymy? Ktoś zapukał do drzwi.

Whitney wstała i wpuściła do pokoju kelnera z zamówionym posiłkiem.

- Ładnie pachnie - oświadczył Albert. - Może jednak coś przekaszę.

Whitney spiorunowała go wzrokiem. Cofnął się, podnosząc rękę w geście rezygnacji.

- Uspokój się, powiedziałem tylko, że ładnie pachnie.

Uśmiechnęła się. Albert był naprawdę słodki i była zadowolona, że tu jest. Dobrze jest mieć przy sobie takiego kogoś. Usiadła przy stole, zdjęła z talerzy metalowe pokrywki i wskazała Albertowi miejsce naprzeciwko siebie.

- No dobrze, częstuj się - powiedziała, pokazując na frytki. - I tak nie zjem wszystkiego.

Zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

- Whitney?

To był prawnik, Willie Atwater.

- Cześć, Willie - powiedziała, nie siląc się nawet na beztroski ton. -

O co chodzi?

Głos Atwatera był lekko podenerwowany.

- Złożyłem właśnie wniosek, ale nie byłem w tym odosobniony.

Twój znajomy z Estrade też to zrobił.

Whitney zmartwiała.

- Nie rozumiem.

- Chwileczkę, niech zerknę. O, mam. Niejaki Rhys Gannon.

Twierdzi, że jest dziadkiem dziecka i opiekuje się fizycznie małą od czasu,

kiedy ta ukończyła rok. Pisze, że najpierw matka porzuciła dziewczynkę, a potem ojciec został skazany na karę pozbawienia wolności.

Rhys złożył wniosek o przyznanie mu prawa do opieki? Przecież powiedział jej, że nie zrobi tego swojemu synowi. Co, u licha... ?

- Co to oznacza? Jak zareagujemy? Jeszcze tydzień temu nie posiadałaby się ze szczęścia, gdyby Rhys wyraził zainteresowanie uzyskaniem prawa do opieki.

Obudziła się w niej iskierka nadziei. Może jednak jest jeszcze jakaś szansa? Odrzuciła tę myśl, przypominając sobie nienawiść w jego oczach i gorycz w głosie.

Zresztą nie zmieniało to faktu, że R. J., jeśli zostanie wypuszczony z więzienia, może zgłosić się po Sarę Jane i Rhys mu ją odda. Jeśli Rhys wywalczy prawo do opieki, będzie to równoznaczne z przyznaniem tego prawa jego synowi.

I zapewne o to właśnie chodzi. Rhys złożył ten wniosek, by chronić prawa syna.

- Robimy dalej swoje - powiedział Willie. -Przyznam, że nie bardzo wiem, jak przedstawia się teraz nasza sytuacja. Będę chyba musiał zajrzeć do literatury. Od lat nie prowadziłem tego rodzaju sprawy.

- Wiem, Willie, i dziękuję ci, że ją wziąłeś. William Atwater specjalizował się w prawie autorskim i z jego usług korzystała dotychczas tylko przy podpisywaniu nowych kontraktów. Poprosiła go o pomoc w odzyskaniu siostrzenicy, bo on pierwszy przyszedł jej do głowy.

- A jak myślisz, jakie są nasze szanse?

- Mamy akt urodzenia i na jego podstawie możemy wykazać pokrewieństwo. Ponieważ nazwisko ojca nie jest w nim wymienione, to



przede wszystkim trzeba będzie ustalić, kto nim jest. Kiedy ojcostwo zostanie ustalone, sprawa się skomplikuje.

- Dlaczego?

- Sąd może uznać, że prawo do opieki bardziej przysługuje dziadkowi, który już od kilku lat wychowuje dziecko i wywiązuje się z tego nienagannie. To stabilne środowisko, a każdy sąd będzie się kierował przede wszystkim dobrem dziecka. Musimy dowieść, że ty jesteś w stanie robić to lepiej, i że oddanie ci dziecka leży w jego najlepszym interesie. Będziemy musieli wykazać, że Rhys Gannon nie jest człowiekiem, któremu można z czystym sumieniem powierzyć wychowywanie dziecka.

Whitney wstrzymała na chwilę oddech.

- To znaczy... zdyskredytować Rhysa.

- Chyba tak. Masz jakieś inne propozycje?

- Nie mogę tego zrobić. Nie mogę powiedzieć o Rhysie złego słowa.

- Zapewniam cię, że on nie zawaha się tak postąpić wobec ciebie. I szczerze mówiąc, będzie miał niezłe argumenty. Twój tryb życia, a zwłaszcza związane z nim częste wyjazdy, nie predysponują cię do roli opiekunki małego dziecka. Musimy nie tylko wskazać jego słabe punkty, ale również udowodnić, że ty jesteś w stanie zapewnić swojej siostrzenicy o wiele lepsze niż on warunki rozwoju.

Przecież planowała zmienić swój styl życia, a przynajmniej zrezygnować z podróży.

- Powiedz mi jeszcze, co z dziadkami dziecka od strony matki? - poprosił Willie. - Czy możesz liczyć na ich pomoc i wsparcie? Whitney mocno zacisnęła powieki.

- Mój ojciec jest pijakiem - odezwała się po chwili. - Bardzo bogatym pijakiem, ale pijakiem. Ostatni raz widziałam go na pogrzebie Morgan, a i tam nie był trzeźwy. Z matką jest nie lepiej. Przebywa teraz w szpitalu. Po latach zażywania leków i picia na umór próbowała z sobą skończyć. Małżeństwo moich rodziców właściwie nie istniało, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. Cała ich filozofia wychowywania dzieci sprowadzała się do wysyłania ich gdzieś z nianią, a potem, kiedy podrosły, do umieszczenia w szkole z internatem, gdziekolwiek, byle tylko nie pętały się pod nogami.

A jeśli te dzieci wchodziły im w paradę albo, Boże uchroni, zachowywały się jak dzieci, zamykało się je w piwnicy albo w szafie.

Whitney dygotała na całym ciele. Albert położył jej dłoń na ramieniu i wyjął z ręki słuchawkę.

- Witam, panie Atwater, mówi Albert Evans. - Kiwnął głową. - Tak, rozmawialiśmy wczoraj. Proszę posłuchać, może lepiej będzie, jeśli Whitney oddzwoni do pana za jakiś czas, dobrze?

Sięgnął do kieszeni po pióro.

- Tak, proszę podyktować.

Albert rzucił Whitney wyrozumiałe spojrzenie, zanotował numer telefonu i odłożył słuchawkę.

Whitney opadła na łóżko i nakryła sobie głowę poduszką. Albert przysiadł przy niej i pogłaskał po plecach.

Doszedłszy w końcu do siebie, usiadła i spojrzała na niego przepaszająco.

- Nigdy jeszcze nie podsumowałam tego tak dosadnie - powiedziała łamiącym się głosem.

- Czasami dobrze wyrzucić z siebie, co nam leży na wątrobie.

Łatwiej potem zapomnieć i żyć dalej.

- Myślałam, że zrobiłam tak dwanaście lat temu, odchodząc z domu.

Ułożyłam sobie jakoś życie. - Pokręciła głową. - I spójrz teraz na mnie.

Wstała, podeszła do stołu, wzięła szklanekę z nie dopitym drinkiem, po czym jednym haustem wychyliła zawartość.

- Moim zdaniem wyglądasz bardzo ładnie i gdybyśmy nie byli spokrewnieni... - Albert oblizwał wargi i pokazał jej uniesiony kciuk.

Wdzięczna Albertowi za ten lekki ton, usiadła z powrotem na kanapie. Czowała się tak, jakby się rozleciała na kawałki i ktoś posklejał ją potem pośpiesznie w całość - ale klej jeszcze nie wysechł i wystarczyło lekkie szturchnięcie, by znowu się rozpadła.

- Ty go chyba kochasz, co? - spytał Albert, skubiąc wystygłe frytki. Whitney zamurowało.

- Co ci strzeliło do głowy?

- Widziałem twoją minę, kiedy Willie ci powiedział, że być może będziesz musiała zeznawać przeciwko niemu.

- Ja naprawdę byłam oburzona takim pomysłem. Nie mogę go dyskredytować. To cudowny człowiek, miły, oddany, kochający... - Głos jej złagodniał, kiedy to mówiła. - I świata nie widzi poza Sarą Jane. Lepszego ojca nie mogłaby sobie wymarzyć.

Albert uśmiechnął się od ucha do ucha. I uniósł szklanekę.

- Punkt dla mnie.

Rhys położył Sarę Jane do łóżeczka i wyszedł do garażu. Po drodze zatrzymał się w salonie przy oknie i słuchał przez chwilę wiatru wyjącego

jak kojot do księżyca. Ten dźwięk harmonizował idealnie z jego nastrojem.

Zaczął sypać śnieg.

Wyobraził sobie Whitney, Sarę Jane i siebie w śnieżny dzień, opatulonych grubymi kocami i popijających kakao przed kominkiem. Szybko odpędził od siebie tę wizję. Była nierealna. Kości zostały rzucone i nie da się już tego cofnąć.

Whitney przyjechała do Estrade w jednym konkretnym celu: uzyskać prawo do opieki nad Sarą Jane i zabrać ją. I wszystko przemawiało za tym, że jej się to uda.

Nie, do cholery, on zrobi wszystko, żeby tak się nie stało.

Zapalił światło na schodach i zszedł do garażu. Jeszcze tydzień temu miał inne plany względem swojej gromadzonej przez lata kolekcji motocykli - plany, które nie uwzględniały ich sprzedaży. Teraz, zamiast rozbudować warsztat, musi sprzedać część kolekcji, by mieć pieniądze na opłacenie adwokata, który miał go reprezentować w sądzie podczas rozprawy o przyznanie prawa do opieki nad Sarą Jane.

Adwokat nie krył, że szanse na to, by R. J. ze swoim życiorysem wygrał bitwę z Whitney, są niewielkie. I poradził Rhysowi, żeby sam złożył wniosek o przyznanie prawa do opieki.

Rhys dzwonił kilka razy do R. J., żeby spytać, czy zgadza się na takie rozwiązanie, ale syn jak zwykle był nieosiągalny.

Rhys nie miał wiele czasu do namysłu, a jeszcze mniej na uzyskanie zgody R. J. Postanowił porozmawiać z nim osobiście.

R. J. na pewno okaże zrozumienie, bo innego wyjścia nie było. Rhys zacisnął pięść i uderzył nią w skórzany worek zawieszony obok drzwi. Krew go zalewała.

Cholera! Niech to wszyscy diabli! Wyprowadził w worek całą serię ciosów. Zdyszany, osunął się po framudze na ziemię i ogarnął spojrzeniem swoją kolekcję. Ile to zaliczki chciał adwokat? Wystarczy na nią jeden norton, czy może trzeba będzie spuścić dwa?

Skręcało go w środku na samą myśl o sprzedaży swoich motocykli. Tylko one zostały mu z poprzedniego życia. Z tej lepszej jego części.

Ale nie wolno mu teraz tak myśleć. Musi ratować swoją rodzinę, za każdą cenę. Byle tylko w trakcie tego ratowania nie zrobić z siebie głupca.

Nazajutrz Rhys pojechał do więzienia. Strażnik wprowadził go do sali widzeń. Podczas ostatniej wizyty R. J. nie był zbyt komunikatywny. Ciekawe, w jakim nastroju będzie dzisiaj.

Boże, ależ nie cierpiał tego miejsca, nie mógł znieść myśli, że trzymają tu jego syna jak zwierzę w klatce. A najbardziej dobijała go świadomość, że R. J. może tu pozostać do końca życia.

Wprowadzony przez strażnika chłopak usiadł naprzeciwko i spojrzał na niego beznamiętnym wzrokiem. Jak zwykle Rhys nie potrafił z jego oczu odczytać, co dzieje się w głowie syna.

- Od mojej ostatniej wizyty wydarzyło się coś bardzo ważnego - zaczął Rhys. - Wyszło na jaw, że Whitney, ta kobieta, o której ci ostatnio opowiadałem, jest ciotką Sary Jane.

R. J. drgnął.

To dobry znak. A więc trafił nareszcie w czuły punkt. Może jednak uda mu się zainteresować syna jego własnym życiem.

- Morgan, matka Sary Jane, jest siostrą Whitney. Przepraszam, była jej siostrą - poprawił się. - Zmarła kilka miesięcy temu.

R. J. przewiercał go pustym spojrzeniem, w którym nie było żadnych emocji. Nic. Najmniejszego śladu uczucia do matki jego dziecka.

- Gdzie jest teraz mała?

- Nadal ze mną - odparł Rhys. Syn po raz pierwszy od czasu osadzenia w więzieniu zapytał o swoje dziecko. - I będę się starał, żeby tak pozostało. Dlatego właśnie przyjechałem. Chcę cię prosić o wyrażenie zgody na badania krwi.

R. J. milczał. Rhysowi przemknęło przez myśl, że pewnie dotarł do niego wreszcie fakt śmierci Morgan.

- Tak mi przy...

- Badania krwi? A po co?

W porządku. R. J. nie oczekiwał kondolencji. Może już wcześniej wiedział o śmierci Morgan.

- Whitney obiecała matce Sary Jane, że odnajdzie dziewczynkę i zaopiekuje się nią. - Nie widząc żadnej reakcji ze strony syna, Rhys dokończył: - Złożyła w sądzie wniosek o przyznanie jej prawa do opieki.

Nic. Chłopakowi nawet nie drgnęła powieka.

- W każdym razie rozmawiałem z prawnikiem i doszliśmy do wniosku, że jedynym wyjściem będzie złożenie takiego samego wniosku przeze mnie - bo jestem dziadkiem i już od dwóch lat wychowuję Sarę Jane. Trzeba działać szybko, a więc prawnik złożył już w sądzie dokumenty w moim imieniu.

R. J. zerwał się na równe nogi, przewracając metalowe krzesło.

- Już to zrobiłeś? Wynająłeś prawnika? - wyrzucił z siebie. - Myślałem, że nie masz forsy na wyciągnięcie mnie z tej śmierdzącej dziury, a tu się okazuje, że coś tam jednak wyskrobałeś, żeby opłacić gościa, który ma się starać o prawo do opieki nad dzieciakiem.

Rhys skrzywił się. Widział już R. J. w stanie takiego wzburzenia, kiedy sąd uznał go winnym. Zrzucił wtedy zachowanie syna na karb gniewu i goryczy.

Ale przyczyna dzisiejszego wybuchu była inna. Zupełnie inna. Zerknął na strażnika, który już do nich podchodził, i gestem wskazał synowi krzesło. R. J. poderwał z ziemi krzesło i zwracając się do strażnika, podniósł ręce na znak, że nie będzie już stwarzał problemów.

Rhysowi krew waliła w skroniach. Wybaczył synowi wiele, za większość jego wyskoków sam się obwiniął, ale Sary Jane nie pozwoli skrzywdzić nikomu. Nikomu!

Zwinał dłonie w pięści i wycedził przez zęby:

- Nie mam pieniędzy. Muszę coś sprzedać, żeby je zdobyć. A teraz siedź na tyłku i słuchaj. Musisz się poddać badaniom krwi, bo tylko w ten sposób można potwierdzić ojcostwo. Bez tego nie przyznają nam prawa do opieki nad Sarą Jane.

R. J. bębnił palcami o stół, spojrzenie miał zimne, wyrachowane. W końcu pochylił się do Rhysa.

- Coś ci powiem, najdroższy tatusiu - rzekł złowróźnie cichym głosem. - Po twojej ostatniej wizycie przeprowadziłem małe dochodzenie.

Zawiesił głos, szukając odpowiednich słów.

- To więzienie ma wspaniałą bibliotekę. Mówiłeś, że ta twoja fotografka jest znana i w ogóle. Sprawdziłem ją. Rok temu w czasopiśmie „People” ukazał się artykuł o niej. Wiedziałeś o tym?

Rhys patrzył tępo na syna. Słowa chłopaka przesączone były jadem.

- Tak, tak. Piękny artykuł o jej barwnym życiu - o fotografce, która robi zdjęcia sławnym i bogatym. Było tam też o jej nadzianej rodzinie. Dało mi to do myślenia. - R. J. jeszcze bardziej zniżył głos. - Coś ci powiem. Za niewielką opłatą mogę tu zdobyć każdą informację. Niektóre chłopaki mają koneksje i za działkę albo za pieniądze zrobią wszystko. - Parsknął pogardliwym śmiechem i podniósł głos. - Wiesz, że starzy twojej przyjaciółeczki to alkoholicy? No, wiesz? - Jego oczy zabłyśły podnieceniem. - I teraz okazuje się, że ta kurewka Morgan jest dziedziczką wielkiej fortuny i nie pisnęła mi o tym słówkiem. Ha!

R. J. zamilkł i z ironicznym uśmiechem czekał na reakcję Rhysa.

- Do czego zmierzasz? - spytał Rhys po chwili milczenia. Z trudem nad sobą panował.

- Do tego, najdroższy tatusiu, że skoro ta twoja panienska Whitney i jej rodzinka śpią na forsie, to na pewno będą skłonni podzielić się nią za odstąpienie prawa do opieki nad dzieciakiem. Na pewno starczy tego na wyciągnięcie mnie z tej dziury i na rozpoczęcie nowego życia w innym kraju. - Urwał na moment. - Może w Meksyku albo w Brazylii? - Pacnął dłonią w blat. - Albo jeszcze lepiej na francuskiej Riwierze.

Rhys zerwał się z krzesła i tracąc równowagę, zatoczył się do tyłu. Twarz mu płonęła. Czuł się tak, jakby ktoś kopnął go w podbrzusze. Brakowało mu tchu.



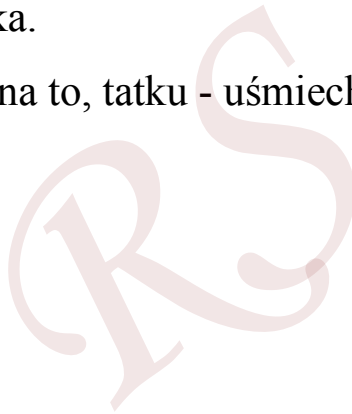
- Co jest, tatuś? To chyba bardzo ucziwa transakcja, nie? Dzieciak będzie żył w dostatku, i ja też. Zwrócę ci nawet za adwokata, którego mi wynająłeś.

R. J. wstał i wspierając się dłońmi o stół nachylił się do Rhysa, niemal dotykając nosem szyby.

- Tak więc nie będzie żadnego badania krwi - wyszczał. - Powiedz tej dupie, że za odpowiednią sumkę oddam jej bachora. - Przewrócił oczami. - Zaczniemy od jakiegoś milionika. Tak. To by chyba załatwiało sprawę. Milion dolarów plus honorarium mojego prawnika powinno wystarczyć.

R. J. skinął na strażnika.

- Daj mi znać, co ona na to, tatku - uśmiechnął się kpiąco. - Będę czekał.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Minęły dwa dni, a Rhys nadal nie miał wiadomości od prawnika. Widocznie ten nie znalazł jeszcze nic, co mogłoby im pomóc w przechyleniu szali zwycięstwa na swoją korzyść. Jedyne, czym na razie dysponowali, to nie poparte żadnym dowodem oświadczenie Rhysa, że jest dziadkiem od strony ojca dziecka i że od dwóch lat opiekuje się fizycznie Sarą Jane.

Rhys był zmęczony. Cholernie zmęczony. Sypiał nie więcej niż kilka godzin na dobę. Dobijało go to czekanie. Jeśli szybko czegoś nie znajdą, ich szanse będą zerowe.

Jakby mało mu było jeszcze tych komplikacji, widok Sary Jane, ilekroć na nią spojrzeł, przypominał mu Whitney. Zżerały go wątpliwości. Kiedy nie myślał o Whitney, przypominały mu się słowa syna - i pogarda malująca się na jego twarzy.

Whitney miała rację. R. J., nawet jeśli go wypuszczą z więzienia, nie nadaje się na opiekuna Sary Jane.

Ale on, dziadek dziecka, jak najbardziej!

Whitney wyjechała natychmiast po ich ostatniej rozmowie. Zatelefonowała potem z hotelu w Phoenix i podała swój numer na wypadek, gdyby w sprawie Sary Jane wynikło coś nowego.

Z początku był na nią wściekły, w końcu jednak ochłonął i przemyślawszy wszystko na spokojnie, przyznał w duchu, że miała wszelkie prawo zobaczyć Sarę Jane i troszczyć się o jej przyszłość. I że separowanie dziewczynki od rodziny matki nie byłoby w porządku.

Dziecko pokochało Whitney i Rhysowi krwawiło serce, ilekroć dziewczynka pytała, kiedy Whitney wróci. Był tak rozbity, że nie potrafił jej na to pytanie odpowiedzieć.

Whitney poprowadziła go ścieżką do fałszywego raju, a on, jak ostatni głupiec, pokornie za nią poszedł. Wykorzystała go. Ale najbardziej gnębiło go to, że jej zaufał. Ta kobieta była gotowa na wszystko, byle tylko wywalczyć prawo do opieki nad dzieckiem. A on się w porę nie zorientował, co się święci.

Trzeba coś robić; nie może siedzieć z założonymi rękami i czekać na decyzję prawników.

Nigdy jeszcze nie czuł się tak bezczynny.

Zaśmiał się głucho. Cóż za ironia. Bronił interesów syna, a temu zależało jedynie na pieniądzach. Tylko bezwzględny, zimnokrwisty potwór mógłby wpaść na pomysł sprzedaży własnego dziecka.

W miejsce starego pojawił się nowy lęk. A jeśli R. J. na własną rękę skontaktuje się z Whitney i przedstawi jej swoją ofertę? Czy będzie skłonna się z nim układać?

I co w takim przypadku zrobi on, Rhys? W tej chwili stał na straconej pozycji. Bez wyników badania krwi, bez aktu urodzenia, bez aktu ślubu nie udowodni, że rzeczywiście jest dziadkiem Sary Jane. Ogarnęła go czarna rozpacz.

I nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Podszedł do telefonu i wybrał numer zajazdu. Nie podda się bez walki, będzie walczył. Pozostawienie R. J. pod opieką Stephanie było błędem, którego nie da się już naprawić, ale Sary Jane nie odda.

- Mama? Cześć. Przepraszam, że dzwonię tak późno. Dziękuję, że zajęłaś się wczoraj Sarą, naprawdę musiałem sobie coś w samotności przemyśleć. - Miał nadzieję, że rodzice nie mają żadnych planów na nadchodzący dzień. - Jutro muszę jechać do Phoenix i chciałem zapytać, czy nie zatrzymalibyście jej u siebie jeszcze na jedną noc.

- Ależ naturalnie - odparła Greta. - Coś się stało?

Wyczuł w głosie matki zmęczenie. Rodzice stracili już tyle nerwów przez niego i przez R. J., a teraz jeszcze to. Ani razu jednak się nie poskarżyli. Był im za to niezmiernie wdzięczny.

- Nie, mamo. Muszę tylko wyjaśnić kilka spraw. Masz może numer hotelu, w którym zatrzymała się Whitney?

Matka, nie zadając żadnych pytań, odszukała ten numer i podyktowała mu go.

- Mamo... - Rhys urwał. Chciał jej powiedzieć, jak bardzo ją kocha, jak docenia wszystko, co dla niego zrobiła, ale wzruszenie ścisnęło mu gardło i nie mógł wykrztusić słowa. - Dziękuję.

Dziesięć minut później wyjeżdżał już z garażu, a dwie i pół godziny później parkował pod hotelem Whitney. Wybiła właśnie północ.

Whitney, wyrwana ze snu pukaniem do drzwi, spojrzała na zegarek leżący na nocnym stoliku. Co, u diabła? Kogo licha niesie o tej porze? Albert wrócił do Kalifornii, a w Phoenix nie miała żadnych znajomych. Może Albert o czymś zapomniał albo spóźnił się na samolot?

Zwlokła się z łóżka i narzuciła na siebie błękitny aksamitny szlafrok. Gdy spojrzała na korytarz przez wizjer, zaniemówiła. Rhys. Przeczesała palcami włosy i otworzyła drzwi.

Rhys stał przez chwilę niezdecydowanie, unikając jej wzroku. Odsunęła się, zaprosiła go gestem ręki do środka i zamknęła drzwi.

Nie miała pojęcia, co go tu sprowadza. Czyżby coś się stało z jej siostrzenicą?

- Z Sarą Jane wszystko w porządku? - zapytała z duszą na ramieniu.

- Tak. Śpi dzisiaj u dziadków.

Twarz miał szarą, ściągniętą, wyglądał tak, jakby nie spał od wielu dni. Ale po co tu przyjechał?

- Zdejmij kurtkę - bąknęła, bo nic innego nie przychodziło jej do głowy.

Najchętniej rzuciłaby mu się w ramiona i powiedziała, że wszystko będzie dobrze, tak jak on jej przed kilkoma dniami.

Ale po co się oszukiwać?

Stał przez chwilę niezdecydowany z niepewną miną. W końcu ściągnął kurtkę i podał ją Whitney.

- Nie wiem, od czego zacząć. - Podeszedł do barku i wyjął butelkę wody mineralnej. -Można?

Powiesiła jego kurtkę w szafie, odwróciła się i pokręciła głową.

- Przepraszam. Sama powinnam ci to zaproponować.

Rhys odkręcił zakrętkę, uniósł butelkę do ust i wypił duszkiem połowę zawartości. Potem odstawił butelkę na stolik, wziął Whitney za rękę i pociągnął w stronę kanapy. Usiedli.

- Musimy porozmawiać - powiedział.

Był wyraźnie załamany i w jego ciemnych oczach dostrzegła coś jeszcze. Strach? Tak, głęboki, rozpaczliwy strach.

Ujął jej rękę w obie dłonie.

- Miałem kilka dni na przemyślenie tego, co się stało, i doszedłem do wniosku, że jako ludzie dorośli powinniśmy się zdobyć na przedyskutowanie sprawy i poszukanie jakiegoś rozsądnego rozwiązania. - Wyrecytował to głosem monotonnym, tak jakby powtarzał wyuczoną lekcję.

Whitney z sercem podchodzącym do gardła czekała na dalszy ciąg. Błagam, powiedz, że kochasz mnie tak, jak ja Kocham Ciebie. Powiedz mi coś, co chciałabym usłyszeć.

- Wiem, że miałaś powód, żeby postąpić tak, jak postąpiłaś. Na twoim miejscu zrobiłbym chyba to samo. - Zamilkł na chwilę. Szukał słów. - Ale nie powiem, że jestem dumny z faktu, że dałem się podejść. - Przeczesał palcami włosy, wstał, chwycił butelkę wody mineralnej i wychylił ją do dna.

Zaczął spacerować po pokoju.

- Zdaję sobie sprawę - podjął - że jako ciotka Sary Jane masz prawo ją widywać, a ona ze swej strony ma prawo poznać rodzinę matki.

- Rhys... - Chciała mu powiedzieć, jak jej przykro. Chciała mu powiedzieć, że pomimo okoliczności, w jakich się poznali, jej uczucie do niego nie było udawane.

- Proszę cię. - Podniósł rękę i roześmiał się nerwowo. - Wiele mnie kosztowało, żeby ci to powiedzieć. - Opadł na fotel stojący naprzeciwko kanapy i pochylił się do przodu.

- Oboje Kochamy Sarę Jane i chcemy dla niej jak najlepiej. Powinniśmy się więc jakoś dogadać. Proponuję zastanowić się wspólnie nad rozwiązaniem, które usatysfakcjonuje każde z nas.

Popatrzył na nią ze znużeniem w oczach.

- Wiem już, że nie myliłaś się co do R. J. Nie można mu powierzyć Sary Jane. Nie zamierzam mu jej oddać, nawet jeśli oczyszczą go z zarzutów i wypuszczą z więzienia.

Whitney słuchała tego wstrząśnięta. Dobry Boże, czy on rzeczywiście przejrzał na oczy? Czy mimo wszystko jest jeszcze dla nich nadzieja?

- Ale nadał jestem zdania - ciągnął Rhys - że wyrządziłabyś krzywdę Sarze Jane, zabierając ją od ludzi, których kocha i z którymi jest od małego, tylko dlatego, że obiecałaś to jej matce. Jej matka nie wiedziała przecież, że ja się nią opiekuję.

Patrzył na nią błagalnie.

- Sama powiedziałaś, że Morgan była przekonana, że Sara Jane jest z R. J., i rozumiem jej niepokój. Ale teraz, skoro już wiesz, że dziewczynka wychowuje się w rodzinie, która otacza ją miłością i która pozwoli ci ją odwiedzać, okrucieństwem byłoby odbieranie jej nam.

Whitney usiadła prosto.

- Odwiedzać?

- Tak - odparł, a w jego oczach zapłonęła iskierka nadziei. - Mogłabyś ją odwiedzać, ilekroć zapragniesz. Moglibyśmy też opracować harmonogram twoich wizyt. Trzeba by się było zastanowić, co będzie najlepsze dla Sary Jane.

Whitney krew odpłynęła z twarzy. Zerwała się z kanapy i odwróciła plecami do niego. Boże, a czego oczekiwała? Że wyzna jej miłość? Że proponuje małżeństwo?

To śmieszne, nierealne.

Skąd więc to poczucie odtrącenia?

Odwróciła się twarzą do Rhysa. Patrzył na nią wyczekująco, z nadzieją, i Whitney przemknęło przez myśl, że rozczarowanie, jakie odczuwa, jest niczym w porównaniu z tym, co on musi przeżywać. Opiekował się Sarą Jane od małości; był jej ojcem i matką, zmienił styl życia, żeby móc jak najlepiej się nią zająć. Dotyczyło to również Grety i Johnny'ego, którzy poza prawnuczka świata nie widzieli. Czym mogła to zrównoważyć? Miłością? Tak. Pieniędzmi? Owszem. I to chyba wszystko.

Ale nadal nie było gwarancji, że w przypadku wyjścia R. J. na wolność Rhys nie odda mu Sary Jane. Jedynym sposobem, by do tego nie dopuścić, było uzyskanie prawa do opieki nad dziewczynką. Tak jak to obiecała Morgan.

- Będę to musiała przedyskutować ze swoim adwokatem - powiedziała, usiłując zachować spokój.

Rhysowi twarz stężała.

- Naprawdę nie mogę podjąć takiej decyzji bez konsultacji z prawnikiem.

- Istnieje też możliwość wspólnego wystąpienia o przyznanie prawa do opieki - dodał.

Whitney patrzyła na niego tak, jakby czekała na dalszy ciąg. Jakże pragnęła usłyszeć z jego ust: „I jest jeszcze możliwość, że z czasem przyznalibyśmy, że się kochamy i wspólnie wychowywalibyśmy Sarę Jane”.

- No, wiesz... Dwie rodziny wychowujące dziecko na zmianę. - Strzepnął nitkę z czarnego golfa i unikając wzroku Whitney, dodał: - Ale nie wydaje mi się, żeby to było z korzyścią dla Sary Jane. A chyba wszyscy chcemy dla niej jak najlepiej.



- Oczywiście, że tego chcemy, Rhys - wyszeptała Whitney. -  
Porozmawiam z moim adwokatem i on się z tobą skontaktuje.

Rhys milczał.

- Coś jeszcze? - spytała Whitney, widząc, że nie zbiera się do wyjścia.

- Tak. Jak długo będziesz jeszcze w tym hotelu?

- Jutro w południe odlatuję do Kalifornii.

- No to czekam na twoją odpowiedź. Mieszkam w 227.

Po wyjściu Rhysa Whitney długo spacerowała tam i z powrotem po pokoju. Nerwy miała napięte do granic wytrzymałości. Unoszący się w powietrzu zapach Rhysa uświadomił jej, że zapomniał zabrać kurtkę, która wisiała w szafie. Była przekonana, że po nią wróci, a jeśli nie, to poprosi jutro recepcjonistkę, żeby mu ją oddała.

Otworzyła szafę, zdjęła kurtkę z wieszaka i przycisnęła ją do piersi. Odetchnęła głęboko i poczuła, że zbiera jej się na płacz. Walcząc z nim, osunęła się na kanapę. Co robić?

Może rzeczywiście zrezygnować z ubiegania się o prawo do opieki i uzgodnić z Rhysem jakiś plan odwiedzin? W ten sposób zachowałyby przynajmniej cień nadziei, że w końcu się między nimi ułoży. Kiedy jednak myślała o spędzeniu z Rhysem reszty życia, budził się w niej lęk innego rodzaju.

Przyciskając wciąż kurtkę Rhysa do piersi, podeszła do walizki i wyjęła zdjęcie, które zrobiła Rhysowi i Sarze Jane. Patrzyła na nie przez dłuższą chwilę. Kochała oboje.

Jak mogła myśleć o ich rozdzieleniu? Gdyby prawo do opieki nad Sarą Jane przyznano Rhysowi, byłaby przecież spokojna o los siostrzenicy. Dlaczego więc dąży do odebrania mu dziewczynki?

Bo mogłaby otoczyć Sarę Jane matczyną miłością. Mogłaby patrzeć, jak rośnie i staje się częścią jej życia, zaspokajać wszystkie jej dziecięce potrzeby.

Ale przecież Rhys potrafiłby jej zapewnić to samo.

Różnica była taka, że on robił to już od dawna.

Wróciła pamięcią do chwil, kiedy byli razem. Przypomniała sobie szczęście i uwielbienie w oczach Rhysa, kiedy Sara Jane do niego podbiegała, przerażenie, kiedy myślał, że małej coś zagraża. Zamarła. Gdyby była zdana tylko na siebie i tamtego dnia, na pikniku, okazało się, że to rzeczywiście wąż, nie potrafiłaby uchronić dziecka.

Boże. Nie może mu tego zrobić.

Będzie ją z tego powodu bardzo bolało serce, ale zostawi jednak Sarę Jane Rhysowi. To jedyne rozsądne wyjście. Łzy napłynęły jej do oczu na myśl, że mogłaby stracić oboje - i zostać sama.

Uświadomiła sobie, że prawdopodobnie pisana jej samotność. Przewiesiła kurtkę przez poręcz krzesła, położyła fotografię na nocnym stoliku i usiadła na łóżku, żeby przeczytać notatki, które zostawił jej Albert.

Ze snu wyrwał ją ostry dzwonek telefonu. Zgarnęła z piersi kartkę i niezupełnie jeszcze obudzona, sięgnęła odruchowo po słuchawkę.

- Tak? - mruknęła zaspanym głosem.

- Whitney? Willie z tej strony. Przepraszam za obudzenie, ale mam dla ciebie dobre wieści.

Usiadła na łóżku.

- Z przyjemnością ich wysłucham - powiedziała, rozczarowana, że to nie Rhys. Zerknęła na zegarek. Może przyjdzie jeszcze po kurtkę? Chyba że wyjechał już do Estrade.

- Jeśli czytałaś notatki, które przywiózł ci Albert, to może już wiesz.

Albert powiedział, że informacje zawarte w jego zapiskach mogą być ważne i że przesłał ich kopie faksem Williemu.

- Zaczęłam czytać wczoraj wieczorem, ale nie skończyłam. Sen mnie zmorzył. Co w nich jest?

Albert pisał jak kura pazurem i trudno go było odczytać.

Były to w większości luźne fakty z dwóch lat życia Morgan, w tym wywiad z następną dziewczyną R. J. Z jednego akapitu wynikało, że Morgan kilkakrotnie prosiła matkę o pomoc. Kathryn pozostała głucha na te prośby, co zresztą nie było żadną niespodzianką. Dlaczego Morgan nie zadzwoniła do Whitney? Rzuciłaby wszystko i pośpieszyła siostrze z pomocą.

- Jak dotąd nie natrafiłam na żadne rewelacje.

- Znajdziesz je pod koniec - powiedział Willie. - Wynika z nich, że możemy się pokusić o zakwestionowanie ojcostwa Gannona. Whitney zeszywniała.

- Co ty opowiadasz?

- Jeśli znajdziesz chwilkę czasu, rzuć okiem na dwie ostatnie strony notatek Alberta. Daty wypadają mniej więcej w okresie, kiedy poczęta została twoja siostrzenica. Twoja siostra i ten Gannon już wtedy ze sobą nie sypiali.

Willie urwał. Whitney słyszała, jak zaciąga się głęboko papierosem.

- Gannon zmuszał ją do sypania z innymi facetami - podjął Willie. - Zrobił sobie z tego źródło dochodów, które przeznaczał na narkotyki. Dziewczyna, z którą rozmawiał Albert, nie wie, kto jest ojcem dziecka, ale twierdzi, że nie jest nim R. J.

A to ci dopiero... Whitney zamurowało. Zebrała rozsypane po łóżku kartki i odszukała te, o których mówił Willie.

- Nadal nie wiem, co to dla nas oznacza, Willie. A jeśli ta kobieta plecie, co jej ślina na język przyniesie?

- To oznacza, że możemy wystąpić o sądowy nakaz przeprowadzenia badań krwi. Nawet testów DNA, jeśli okaże się to konieczne. Jeśli szczęście nam dopisze, udowodnimy, że ten cały R. J. nie jest ojcem dziecka. Wtedy prawo do opieki automatycznie zostanie przyznane tobie.

- A jeśli okaże się, że jednak jest ojcem?

- To i tak znajdziemy się w lepszej sytuacji niż obecnie. Fakt, że zmuszał Morgan do sypania z innymi mężczyznami, posłuży za dowód, że nie można mu przyznać prawa do opieki.

- Ale pozostaje jeszcze dziadek Sary Jane.

- Owszem. I na wszelki wypadek o nim też zbieramy informacje. Jak dotąd zdołaliśmy ustalić, że kilka lat temu był zamieszany w jakieś przekręt z obligacjami w Phoenix.

Whitney czuła się jak w pędzącym pociągu, z którego nie można wysiąść.

- Nie wydaje mi się, żeby to coś pomogło - powiedziała. - Rhys mówił mi, że złożył wymówienie, kiedy tylko zaczął podejrzewać, że coś jest nie tak.

- To bez znaczenia. Jeśli tylko uda nam się poddać w wątpliwość jego uczciwość, to jesteśmy górą.

Miała w głowie mętlik.

- To znaczy? - spytała, starając się pozbierać myśli.

Nie mieściło jej się w głowie, że ojcem Sary Jane może być jakiś anonimowy mężczyzna, który zapłacił za seks z Morgan. Ani że jej siostra z rozmysłem zabrała tę tajemnicę do grobu. I to miały być dobre wieści?

- To znaczy, że dopniesz swego. Przyznają ci prawo do opieki.

Natychmiast.

Rhys przez pół nocy krążył po swoim hotelowym pokoju. Czuł się jak tygrys w klatce. O czwartej nad ranem postanowił wyjść na dwór, by się przewietrzyć, i wtedy odkrył, że nie ma kurtki.

Nie chciał jednak zakłócać Whitney spokoju o tak wczesnej porze. Zresztą jej samolot odlatywał dopiero w południe, a więc zdąży odebrać kurtkę. I zobaczyć się z nią.

O szóstej zszedł do hotelowej restauracji na śniadanie. Pół godziny później był już z powrotem w swoim pokoju, i krążył od ściany do ściany. Całą noc łamał sobie głowę, jak w sposób możliwy do przyjęcia dla wszystkich wybrnąć z tej skomplikowanej sytuacji.

Wspólna opieka nad Sarą Jane i odwiedziny wydawały się być wyjściem rozsądnym. Podejrzał, że Whitney w końcu na to przystanie. Ale musiała się najpierw skonsultować ze swym prawnikiem.

Nie to go jednak gryzło. Tak czy owak, dojdą wreszcie do jakiegoś porozumienia. Najgorsze było to, że w takim układzie Whitney wróci do Kalifornii albo Nowego Jorku i będzie ją widywał tylko wtedy, kiedy on, albo ona, przyjedzie w odwiedziny do Sary Jane. A to stanowczo za mało.

Nad ranem spojrzął wreszcie faktom w oczy: chciał być z Whitney na stałe. Przelotne kontakty mu nie odpowiadały.

W nocy patrzył jej w oczy i nie potrafił wyrazić tego, co czuje. Głos wewnętrzny podpowiadał mu, że nie ma jej nic do zaoferowania, nic, co skłoniłoby ją do związania się z nim na zawsze. Nie mógł od niej wymagać, by zrezygnowała z luksusów i atrakcji swojego dotychczasowego życia. Zresztą, ani razu nie powiedziała, że go kocha.

Co by sobie pomyślała, gdyby wpadł teraz do jej pokoju i wyznał miłość? Wszystko przemawiało za tym, że dla Whitney to rutyna: Co sesja zdjęciowa, to nowy romans. Tylko że on w to nie wierzył ani przez sekundę.

Whitney nie wygląda na taką, która idzie do łóżka z pierwszym lepszym. Nie wyglądała mu na taką od samego początku.

W ciągu dziesięciu minut wziął prysznic i ogolił się. Niewiele pomogło, orzekł, przeglądając się w lustrze i widząc swe podkrążone oczy. Zaczesał do tyłu mokre jeszcze włosy i zastanawiał się przez chwilę, czy najpierw zadzwonić, czy od razu iść do jej pokoju.

Brak snu wyraźnie wpłynął na jego sprawność umysłową. W tej chwili trudno mu było podjąć najprostszą decyzję. Ale tak było przecież od czasu, kiedy w jego życiu pojawiła się Whitney.

Co się może stać, kiedy wyzna jej swoje uczucia? Jeśli go odtrąci, pozostanie w tej samej sytuacji co teraz - nieco tylko ucierpi na tym jego męskie ego.

Czy tego się właśnie obawiał? To stąd całe to jego zachowanie?

Był tchórzem. Bo miłość wiąże się z podejmowaniem ryzyka i okazywaniem zaufania drugiej osobie. Jeśli pragnie żyć dalej z Whitney, musi podjąć to ryzyko. Musi jej jeszcze raz zaufać.

Jeśli zależy jej na nim, tak jak jemu na niej, to reszta sama się ułoży. Luth ma rację - z niczego nie wolno rezygnować bez walki. A nuż się uda? Jedno jest pewne. Nigdy się tego nie dowie, jeśli z nią nie porozmawia.

Zdecydowanym krokiem wyszedł z pokoju. Nie miał cierpliwości czekać na windę, wbiegł więc po schodach cztery piętra wyżej i zdyszany stanął pod drzwiami pokoju Whitney.

Cholera, ależ był zdenerwowany!

Zerknął na zegarek i zapukał, z początku lekko.

Potem mocniej.

Cisza.

Dopiero dziewiąta rano. Powinna jeszcze być u siebie. Podeszedł do automatu telefonicznego w końcu korytarza, przy windach, i zadzwonił do pokoju Whitney. Nikt nie odbierał. Zostawił wiadomość na taśmie i odwiesił słuchawkę.

Może bierze prysznic. Wsiadł do windy, zjechał na dół i zostawił dla niej w recepcji karteczkę z prośbą, żeby zadzwoniła do jego pokoju, gdy tylko będzie mogła.

Potem wrócił do siebie i czekał.

I czekał.

O dziesiątej zadzwonił do niej znowu. Po którymś z kolei sygnale ktoś podniósł wreszcie słuchawkę. Serce zabiło mu mocniej.

- Halo, pokojowa przy aparacie. Przykro mi, ale tego pokoju nikt nie zajmuje. Został niedawno zwolniony i ja tu teraz sprzątam.

Kiedy? Kiedy się wymeldowała? Czy dotarła do niej jego wiadomość?

Rozłączył się bez słowa i natychmiast zatelefonował do recepcji.

- Ach, pan Gannon. Miałam właśnie do pana dzwonić. Mam tu coś dla pana. Kurtkę. Może ją pan w każdej chwili odebrać.

- Czy panna Sheffield wymeldowała się?

- Przykro mi, ale nie mogę panu udzielić tej informacji.

- Cholera. - Uderzył otwartą dłonią w ścianę.

- Takie są przepisy, proszę pana.

- Przepraszam, to nie było do pani. - Rhys już się opanował. - Dzisiaj rano zostawiłem dla panny Sheffield wiadomość. Czy ją odebrała?

Recepcjonistka nie odzywała się przez chwilę, tak jakby sprawdzała w regulaminie, czy aby ta informacja też nie jest poufna. W końcu powiedziała, że sprawdzi.

- W przegrodce pokoju panny Sheffield nie ma żadnej wiadomości od pana, panie Gannon.

Rhys odłożył zrezygnowany słuchawkę. A więc dostała jego wiadomość, a mimo to wyjechała. Odczekał chwilę, by trochę ochłonać, a potem zadzwonił do zajazdu.

Odebrała matka. Powiedział jej, że właśnie wyjeżdża i za dwie godziny będzie w Estrade.

- Powiedz tacie, że przyjadę prosto do sklepu i będzie mógł wrócić do domu.

- Zaczekaj, synku, nie rozłączaj się jeszcze. Rhys miał nadzieję, że matka nie zapyta go zaraz o Whitney.



- Dzisiaj rano dzwonił do ciebie twój adwokat i prosił, żebyś jak najszybciej się z nim skontaktował.

Rhys odetchnął głęboko. Boże, ależ był zmęczony.

- Wszystko w porządku, synku?

- W jak najlepszym, mamó - skłamał, siląc się na wesoły ton. -

Opowiem ci wszystko po powrocie.

Ale nic nie było w porządku. Jak mogło być, skoro Whitney wyjechała? Zatelefonował do swojego adwokata.

- Sądowy nakaz wykonania badań krwi? -Rhys zachnął się.

- Można się było tego spodziewać. To pomoże ustalić, czy twój syn jest ojcem.

- Wiem. Ale do czego oni zmierzają?

- Najwyraźniej starają się podważyć ojcostwo R. J.

Rhys prychnął. To jakiś absurd. Co próbują w ten sposób osiągnąć? On ani przez chwilę nie wątpił, że ojcem jest R. J. Nawet jeśli Morgan nie oddała dziecka synowi z własnej nieprzymuszonej woli, to kwestia ojcostwa była przecież przesądzona.

Dobry Boże, jego syn nie chciał własnego dziecka, a co dopiero dziecka kogoś innego. I nagle przypomniała mu się twarz syna - i jego ostatnie słowa.

Padł na niego blady strach.

W jednej chwili pojął całą mroczną prawdę.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Byłabym ci wdzięczna, gdybyś spotkał się ze mną za dziesięć minut na kawie u Goldberga. To zaraz za rogiem. Muszę jeszcze omówić kilka spraw z moim prawnikiem i zaraz tam będę.

Na kawie?

Rhysowi dźwięczało jeszcze uszach zaproszenie Whitney. W tym momencie nienawiść była zbyt słabym słowem na określenie tego, co czuł.

Wkracza sobie beztrąsko w jego życie, rozkochuje go w sobie, a potem łamie serce i zabiera to, co miał najdroższego.

Wydanie orzeczenia zajęło sędziemu zaledwie kilka minut. Rhys, choć nie musiał uczestniczyć w rozprawie, zjawił się na sali. Badania krwi wykazały niezbicie, że R. J. nie jest biologicznym ojcem Sary Jane. Ta rewelacja wstrząsnęła Rhysem do głębi. Od rozprawy upłynęły już dwa dni, a on jeszcze nie doszedł do siebie.

- Dobrze - powiedział, usiłując zachować spokój.

Whitney wyglądała przepięknie. Pomimo nienawiści, jaką do niej czuł, nie potrafił pozostać obojętny na jej urodę. I nienawidził siebie za to. Zdobył się na wymuszony uśmiech i kiwnął głową.

Idąc do restauracji, czuł się pusty w środku, pozbawiony wszelkich uczuć. Usiadł twarzą do drzwi przy stoliku w głębi sali i zamówił kawę.

Whitney chce pewnie z nim uzgodnić, kiedy będzie mogła zabrać Sarę Jane. Rhysowi wciąż jeszcze rozbrzmiewało w głowie echo słów sędziego obwieszczającego monotonnym, beznamiętnym głosem, że prawo do opieki nad dzieckiem przyznane zostało siostrze biologicznej matki, Whitney Sheffield.

Dla nikogo nie było to zaskoczeniem. Po badaniach krwi taka decyzja była nieuchronna. Whitney okazała wspaniałomyślność i poprosiła sąd, by pozwolił Sarze Jane zostać z nim i jego rodzicami do czasu załatwienia wszystkich formalności.

Łzy napłynęły mu do oczu. Zamrugął powiekami i wypił łyk gorącej, parującej kawy, parząc sobie język. Wkrótce będzie po wszystkim i życie straci dla niego wszelki sens.

Nie mógł się pozbyć uczucia, że zawiódł wiele osób. Nie miał w tej chwili pojęcia, jak można było nie dopuścić do takiego obrotu sprawy, ale coś mu mówiło, że taki sposób istniał. Teraz pozostaje mu tylko pomagać dalej synowi i żyć nadzieją, że los jeszcze się do niego uśmiechnie. I wyglądać z utęsknieniem spotkań z Sarą Jane.

Whitney weszła do restauracji i poszukała go wzrokiem.

Nigdy jeszcze nie widział jej w takim stroju. Miała na sobie jasnożółty kostium, włosy upięła wokół głowy, pozostawiając po obu stronach twarzy wiszące, złociste pasma. Podczas pobytu w Estrade ubierała się zawsze sportowo. Wyjątkiem był tamten pamiętny wieczór na bankiecie w Phoenix.

Podeszła do stolika.

- Przepraszam, że kazałam ci czekać - powiedziała.

Czy mu się wydawało, czy dostrzegął w jej oczach cień współczucia? Czego jak czego, ale współczucia od niej nie oczekiwał. Wyprostował się na krześle.

- Nic nie szkodzi. Mam mnóstwo czasu. Patrzyła mu w oczy. Uniósł szybko do ust filiżankę z kawą, żeby ukryć zmieszanie.

Zanim jeszcze usiadła, wyczuła dzielący ich mur. Nadal dręczyły ją wyrzuty sumienia, choć po przeprowadzeniu badań krwi, które wykluczyły ojcostwo R. J., innego wyjścia nie było. Rhys też o tym wiedział. I w końcu poddał się, uświadamiając sobie, że sprawa jest beznadziejna.

Whitney przygryzła wargi i skinęła na przechodzącą kelnerkę.

- Poproszę kawę. - Splotła dłonie na kolanach i spojrzała na swego towarzysza. - Przepraszam, Rhys. Naprawdę mi przykro, że sprawy tak się dla ciebie potoczyły. Ale muszę z tobą porozmawiać o Sarze Jane i o okresie przejściowym. Ściągnął brwi. Milczał.

Wzięła głęboki oddech i podjęła:

- Zdaję sobie sprawę, że byłby to dla Sary Jane wielki wstrząs, gdybym zjawiała się pewnego dnia i zabrała ją od was. Mam nadzieję, że mi w tym pomożesz.

Rhys uniósł brwi.

- Chodzi o to, że pewnie bardziej to przeżyje, jeśli będzie wiedziała, że nie chcesz się z nią rozstawać.

Rhys odchylił się na oparcie i parsknął szyderczym śmiechem.

- To co mam według ciebie zrobić? Udawać, że z lekkim sercem się jej pozbywam?

- Nie. Proszę cię tylko, żebyś jej to ułatwił, nie okazując po sobie, jak bardzo pragniesz, żeby została.

Whitney spuściła wzrok. Kiedy znowu go podniosła, napotkała przepelnione cierpieniem oczy Rhysa. Zagryzła wargi. Zbierało się jej na płacz.

- Nigdy nie skrzywdzę Sary Jane – powiedział Rhys łamiącym się głosem. A potem, biorąc się w garść, już spokojniej dodał: - Jak sobie to wyobrażasz?

Whitney dopiero teraz zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Spojrzała w bok, a potem znowu na niego.

- Sama... sama nie wiem - wyjąkała. - Muszę przygotować dom na przyjęcie Sary Jane. Zajmie mi to z tydzień albo dwa. Mam nadzieję, że Sara Jane będzie mogła zostać do tego czasu z tobą.

Kiwnął głową na znak, że czeka na dalszy ciąg.

- Może przywykniemy wszyscy do myśli, że ona zamieszka ze mną. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy to się uda, jeśli nie będziemy współpracowali. Proszę cię, obiecaj, że pomożesz. Uważam, że ty pierwszy powinienesz jej powiedzieć.

Rhys patrzył na nią przez chwilę, a potem pociągnął następny łyk kawy.

- Masz rację. Powiem jej. I zrobię tak jak mówisz, przetrzymam ją u siebie, dopóki wszystkiego nie przygotujesz.

Whitney przełknęła z trudem ślinę. Wiedziała, ile kosztowały Rhysa te słowa. I nie wątpiła, że mówił szczerze.

- Cieszę się - rzekła półgłosem. - Myślę, że sam najlepiej będziesz wiedział, kiedy jej o tym powiedzieć, a więc pozostawiam to tobie. Będę z wami w kontakcie.

Rhys kiwnął głową i wziął ją za rękę.

- Tak mi przykro z powodu twojej siostry, Whitney - powiedział cicho. - Nic nie wiedziałem...

Głos mu się załamał. Potrząsnął głową.

- Przepraszam za R. J.

Whitney uścisnęła jego dłoń, wstała i ruszyła do drzwi. Miała wrażenie, że dzieli ją od nich całe mile. Szła z nadzieją, że Rhys zawoła ją, poprosi, żeby wróciła. Nie zrobił tego. Z oczyma pełnymi łez wyszła na ulicę.

Rhys zaparkował samochód obok białego blazera ojca. Siedział przez chwilę za kierownicą, zastanawiając się, co powie rodzicom. Na pewno przeżyją bardzo stratę Sary Jane. Kochali ją tak samo jak on.

Chociaż adwokat Whitney zapewniał, że jego klientka chce nadal utrzymywać bliskie kontakty z dotychczasowymi opiekunami Sary Jane, on wiedział, jak to się w takich przypadkach dzieje. Zwłaszcza że będą mieszkali daleko od siebie.

A Sara Jane jest jeszcze tak mała, że szybko o nich zapomni. Podobnie jak R. J.

- Cześć, synu - powitał go w drzwiach uśmiechnięty Johnny.

- Cześć, tato. Jak tam w sklepie?

- Nieźle, ale nie zamieniłbym prowadzenia zajazdu na motocykle.

Było tu dwóch młodzieńców w typie Marlona Brando. Popatrzyli na mnie wilkiem i wyszli. Ja się chyba nie nadaję do prowadzenia tego interesu. - Johnny poklepał syna po ramieniu.

- Co ty opowiadasz? Bardzo dobrze sobie radzisz. - Rhys starał się rozpaczliwie podtrzymać rozmowę, która jakoś im się nie kleiła. W końcu, wiedząc, że ojciec pierwszy tego nie uczyni, przeszedł do rzeczy. - Stało się - oznajmił, wieszając kurtkę. - Powiem Sarze Jane najszybciej, jak to będzie możliwe. - Położył na biurku swój nesoser i otworzył go. - Nie wiem, jak zareaguje.

- To dzielna dziewczynka. Musisz tylko odpowiednio do niej podejść. Pytała o ciebie i o Whitney.

Rhys przeglądał pobieżnie papiery, które wyjął z neseseru. Znalazł wizytówkę z kalifornijskim numerem telefonu Whitney i przepisawszy go sobie, wręczył ją ojcu.

- Masz tu na wszelki wypadek numer Whitney. Nie wiem jeszcze, kiedy zabierze Sarę Jane. Prawdopodobnie za jakiś tydzień albo dwa. Musi najpierw załatwić parę spraw.

Johnny zrobił zdziwioną minę.

- Naprawdę? A cóż może być ważniejszego? Przecież przez cały czas dążyła do tego, żeby zabrać małą.

Rhys też był trochę zdziwiony. Whitney dopięła swego, a teraz prosi go, żeby przetrzymał dziewczynkę jeszcze jakiś czas. Może dręczą ją wyrzuty sumienia i próbuje mu to jakoś zrekompensować?

Z jego punktu widzenia było to tylko przedłużanie agonii. Wolałby mieć to już za sobą.

Wtedy mógłby zacząć układać sobie życie na nowo - bez Sary Jane. I bez Whitney.

Ciekawe, że ilekroć pomyśli o jednej, wspomina zaraz drugą. Ile czasu upłynie, zanim przywyknie do nieobecności Sary Jane, zanim przestanie widzieć jej uśmiech, słyszeć śmiech? Ile czasu upłynie, zanim zapomni o Whitney?

Podejrzewał, że nie nastąpi to nigdy.

- Tak. Do tego właśnie dążyła. I miała wszelkie prawo - przyznał Rhys. - Sara Jane jest jej siostrzenicą. Nic dodać, nic ująć.

Johnny zdjął z nosa okulary, wyciągnął z kieszeni czystą chustkę i zaczął przecierać szkła.

- Tak - mruknął. - Ale ja odnoszę dziwne wrażenie, że wy dwoje...

- Co my dwoje? - wpadł mu w słowo Rhys. - My dwoje staliśmy po przeciwnych stronach barykady. Byliśmy jak dwa fronty burzowe, które się ze sobą nagle zderzyły.

Johnny pokręcił głową.

- Nie. Nie to widziałem. A ja potrafię obserwować ludzi.

- No i co konkretnie zobaczyłeś? - spytał wyzywająco Rhys.

Obudziła się w nim iskierka nadziei.

- Widziałem dwoje ludzi, którzy powinni spędzić ze sobą resztę życia. Dwoje zakochanych.

Rhys prychnął.

- Dzięki, tato, ale nie zgodzę się z tobą. To tylko twoje pobożne życzenie.

Johnny wzruszył ramionami.

- Ja to widziałem.

- Niech ci będzie. Widziałeś. - Rhys spoważniał. - Ale ja mogę mówić tylko za siebie.

- I powiedziałeś?

Rhys pokręcił głową.

- A dlaczego? Co masz do stracenia?

Rhys rozprostował palce. Z jednej strony nie miał do stracenia nic, z drugiej mógł stracić wszystko. Na przykład szacunek do samego siebie. Pewnie, że mógł do niej pójść i powiedzieć, co czuje. I co by sobie



pomyślała? Pomyślałaby, że to ostatnia rozpaczliwa próba zatrzymania Sary Jane.

- To by nic nie dało, tato. Ona ma swoje życie, ja swoje. I niech tak lepiej zostanie.

Johnny założył powoli okulary.

- Słyszałeś o Charleyu?

Rhys kiwnął głową, zadowolony ze zmiany tematu.

- Obiło mi się o uszy, że pojechał do urzędu probierczego. Czyżby trafił wreszcie na żyłę złota?

- Tak, i to na tyle bogatą, że poprosił Mabel o rękę - powiedział Johnny z szerokim uśmiechem.

- A to stary szelma. - Rhys też się uśmiechnął. - Po tylu latach! Na co on czekał?

Johnny wszedł do kantorku po dokumenty, Rhys podążył za nim.

- Ubzdurał sobie chyba, że skoro Mabel jest właścicielką restauracji, a on nie ma centa przy duszy, to ona nie będzie go chciała.

Rhys roześmiał się.

- I z tego powodu zmarnował tyle czasu? Przecież wszyscy widzieli, że za sobą szaleją.

Johnny wziął z biurka plik dokumentów i przeglądając je, dodał:

- Widać miał klapki na oczach. Uważał, że ona jest dla niego za bogata.

Rhys klepnął ojca w ramię.

- Jesteś bardzo subtelny. Johnny odchrząknął.

- Jaki tam subtelny? Mam po prostu rację.

- To inna sytuacja.

- Ona cię kocha, chłopcze - oświadczył z naciskiem Johnny. Wyjął z szafy kurtkę i ruszył do drzwi. - Wszyscy to widzą.

Tego samego wieczoru, kiedy wrócił z Sarą Jane do domu, a ona po raz setny zapytała o Whitney, Rhys obiecał jej, że wkrótce będzie mogła do niej pojechać i zostać tam jakiś czas. Potem, układając małą do snu, zapytał, co by powiedziała, gdyby się okazało, że Whitney jest jej ciotką. Sara Jane rozpromieniła się.

- Chrissy ma ciocię. Ja też będę miała ciocię, jak Chrissy?

- Widzisz, kochanie... - Rhys przysiadł na brzegu łóżka i odgarnął dziewczynce z czoła kosmyk złotych włosów. - Ty już ją masz.

Sara Jane zrobiła wielkie oczy i uśmiechnęła się.

- A mamusię też będę miała? Jak Chrissy i Jennifer? - spytała z podnieceniem.

Rhysowi ścisnęło się serce.

- Jeśli tego chcesz, kochanie. Jestem pewien, że Whitney będzie dla ciebie jak mama. Kocha cię.

Sara Jane aż podskoczyła.

- Ja też ją kocham, tatusiu. Chcę, żeby była moją mamusią.

Rhys musnął ustami jej policzek i dotknął palcem czubka jej noska, a potem powiek. Sara Jane zamknęła oczy.

- Słodkich snów, malutka. Zobaczymy, co da się zrobić.

Wyszedł na palcach z pokoju. Będzie jej mówił etapami. Tak będzie najlepiej.

Whitney nie mogła się już doczekać przyjazdu Sary Jane.

Rozejrzała się po pokoju, upewniając się, czy aby o czymś nie zapomniała. Pluszowy miś, lalka podobna jak rodzona siostra do panny

Agaty, mała kuchenka, stół i krzeselka - wszystko, co Sara Jane miała w domu - w domu rodziców Rhysa.

Whitney nie pamiętała, żeby kiedykolwiek tak wspaniale się czuła. Sprzedała już mieszkanie w Nowym Jorku i podjęła kilka decyzji w sprawie matki. Po rozmowie z psychiatrą z kliniki spojrzała na matkę innym okiem i doszła do wniosku, że zasługują obie na jeszcze jedną szansę. Zgodziła się uczestniczyć w zajęciach terapeutycznych.

Zrobiła ten pierwszy krok i od razu poczuła się lepiej. Dzięki Rhysowi zrozumiała, że to możliwe.

I on, i jego rodzice, nie odwrócili się od R. J. Słyszała ostatnio od Grety, że chłopak przystąpił w więzieniu do programu resocjalizacyjnego i robi postępy.

Była wdzięczna Rhysowi i jego rodzicom za to, czego się od nich nauczyła. To oni uświadomili jej, że jeśli chce sobie pomóc, musi otworzyć serce.

Musi nauczyć się wybaczać - nie tylko swoim rodzicom, ale i sobie samej. Musiała wybaczyć sobie, że nie było jej przy Morgan. Nie mogła prowadzić Morgan za rączkę przez życie; ledwo dawała sobie radę ze swoim własnym.

Rozejrzała się jeszcze raz po pokoju Sary Jane. Był gotowy. Na przyjęcie dziecka gotowy był cały dom. Maddie wprowadziła się już do swojej kwatery. Whitney dziękowała Bogu za Maddie. Odbyła spotkania z dziesiątkami opiekunek do dzieci i w końcu znalazła tę idealną.

Tak, jest gotowa. Teraz pozostawało jej tylko czekać niecierpliwie na dziewczynkę. Kiedy zadzwoniła do Rhysa i powiedziała, że chce już

przylecieć po siostrzenicę, odparł, że ma w Kalifornii parę spraw do załatwienia i sam ją przywiezie.

Zgodziła się, bo pomyślała sobie, że może lżej mu się zrobi na sercu, kiedy zobaczy, gdzie będzie mieszkała Sara Jane i jak wygląda jej pokój.

Rhys skręcił w wąską uliczkę biegnącą między luksusowymi domami stojącymi nad brzegiem oceanu.

- Tatusiu! - zawołała podniecona Sara Jane ze swojego fotelika. - Zobacz, ile wody! Będę się mogła wykapać?

- To chyba nie jest najodpowiedniejsza pora roku na kąpiel, szkrabie, a już na pewno nie w oceanie. Jest za zimny, a poza tym za godzinę zrobi się już całkiem ciemno.

Gdy pomyślał, że Sara Jane będzie miała mnóstwo czasu na kąpiel w oceanie, ścisnęło mu się serce. Cholera! Sądził, że lepiej to zniesie. Sądził, że łatwiej mu będzie przywieźć tu Sarę Jane samemu, niż patrzeć, jak dziewczynka odjeżdża z Whitney.

Skręcił w kolisty podjazd przed wspaniałym piętrowym domem.

Gdy wysiadł z samochodu, ogarnęło go wilgotne, słone morskie powietrze. Było dość ciepło jak na koniec października.

Pomógł wysiąść Sarze Jane i podał jej mały plecak, który uparła się nosić, bo widziała taki u Whitney.

Wziął małą za rączkę i ruszyli w stronę drzwi frontowych. Sara Jane nacisnęła dzwonek. Otworzyła im kobieta po pięćdziesiątce. Rhys chciał już zapytać o Whitney, ale kobieta uklękła przed dziewczynką.

- Witaj, kochanie. Ty pewnie jesteś Sara Jane. Ja mam na imię Maddie. Czekamy na ciebie. - Jej serdeczność była chyba szczerą.

- Cześć - powiedziała Sara Jane. - Ja też się nie mogłam doczekać, kiedy tu przyjadę.

Kobieta roześmiała się i wstała. Spojrzała teraz na Rhysa.

- Witam, jestem Maddie Harrison - powtórzyła. - A pan jest pewnie Rhys. Proszę do środka.

Wkraczając za kobietą do salonu, Rhys zauważył Whitney wchodzącą przez rozsuwane drzwi z tarasu, z którego roztaczał się widok na ocean. Dech mu zaparło w piersiach. Była w prześwitujących spodniach koloru wanilii i zwiewnej tunice z rozcięciami do talii. Włosy miała rozpuszczone, tak jak lubił.

Podbiegła do nich, porwała Sarę Jane na ręce i zakręciła się z nią w kółko, a potem uśmiechnęła się przez ramię do Rhysa. Ciepło mu się robiło na sercu, kiedy na nie patrzył.

Tak, Sarze Jane będzie tu dobrze.

Whitney postawiła małą na ziemi i uścisnęła Rhysa jak starego przyjaciela. Już od dawna zastanawiał się, jak zareaguje na jej widok - co jej powie. I teraz już wiedział. Będą się zachowywali jak starzy przyjaciele, których nic nie poróżniło.

Po chwili siedzieli już przy stoliku na tarasie, popijając kawę i gawędząc. Sara Jane skubała polane czekoladą ciasteczka, które upiekła dla niej Whitney.

- Częstuj się - powiedziała Whitney do Rhysa, widząc, jak ten łakomie zerka na talerz ze słodyczami.

Rhys nie dał tego sobie dwa razy powtarzać i sięgnął po ciasteczko.

- Niezłe - orzekł po chwili. - Nie wiedziałem, że potrafisz piec.

- Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz. -Głos miała głęboki, wyzywający.

- Chyba tak. Ale coś tam jednak wiem. - Spojrzał jej w oczy i natychmiast zatracił się w ich błękitach. Wyczytał z nich, że nadal coś do niego czuje, że go pragnie.

Jezu, Gannon, weź się w garść. Zwariowałeś? Masz halucynacje? Odstawił filiżankę.

- To... chyba już sobie pójdę.

Poczuł, że ma wilgotne dłonie. Wstał, podszedł do Sary Jane i ukląkł przed nią.

- Posłuchaj, szkrabie... - Głos mu się załamał.

Sara Jane zarzuciła mu rączki na szyję i przytuliła się mocno. Objął ją i trzymał w ramionach trochę dłużej, niż powinien.

Patrzącej na nich Whitney ścisnęło się serce. W oczach Rhysa widziała łzy. Puścił Sarę Jane i wyprostował się.

- Chyba... - Odchrząknął. - Chyba już pora na mnie...

Whitney zaczęła drzeć broda.

- Wkrótce się zobaczymy, skarbie. Bądź... -Wziął głęboki oddech, głos mu drżał. - Bądź grzeczna. Nie sprawiaj Whitney kłopotu, dobrze?

- Tatusiu, nie idź! - Sara Jane objęła Rhysa za kolana. - Nie chcę, żebyś wychodził. Zostań z nami.

Rhys pogłaskał dziewczynkę po główce, odsunął ją od siebie na długość wyciągniętych ramion i spojrzał w oczy.

- Hej, zapomniałaś o naszej rozmowie? - powiedział wzruszony. - Zapomniałaś, jak się umawialiśmy?

Sara Jane pokiwała głową.

- Masz wszystkie numery telefonów, żeby do mnie dzwonić, kiedy będziesz chciała?

Dziewczynka znowu kiwnęła głową i pociągnęła głośno noskiem.

- Widzisz, nie będzie żadnych problemów. I pamiętaj... - Znowu odchrząknął. - Pamiętaj, że tatuś bardzo cię kocha. - Spojrzał na Whitney i łamiącym się głosem dodał: - I że Whitney też bardzo cię kocha.

- Dobrze - szepnęła Sara Jane.

- No to uściskaj jeszcze raz tatusia i idź się bawić.

Włożył w ten uścisk całe serce i duszę, kryjąc twarz na ramieniu dziewczynki.



## ROZDZIAŁ SIĘDEMNASTY

Boże. Jak mogła to zrobić? Jak mogła być tak okrutna? Skrywana rozpacz Rhysa łamała Whitney serce. Z trudem hamowała łzy. Kiedy puścił dziewczynkę i wyzwolił się z jej uścisku, odezwała się zdławionym ze wzruszenia głosem:

- Nie idź jeszcze, Rhys. - Dotknęła jego ramienia. - Chciałam z tobą porozmawiać.

Zerknęła na siostrzenicę. Dziewczynka patrzyła na nią z miłością i ufnością.

- Saro Jane, kochanie, może poproszę Maddie, żeby oprowadziła cię po domu, a my z tatusiem tymczasem porozmawiamy, dobrze?

Whitney dała znak głową Maddie i ta wzięła dziewczynkę za rękę. Gawędząc wesoło weszły do domu.

- Chcę cię o coś prosić, Rhys. - Patrzyła na niego, szukając słów i zbierając myśli. Odgarnęła włosy z twarzy.

Oddech... i na miłość boską, nie śpiesz się tak. Panuj nad sobą. Nie trać kontroli. Spokojny głos.

- Naprawdę bardzo mi głupio - powiedziała, rozkładając ręce. - Dostałam właśnie propozycję wyjazdu na sesję zdjęciową do Europy i... - roześmiała się nerwowo - i jest to propozycja nie do odrzucenia.

Rhys przyglądał się jej przez chwilę.

- Chyba się trochę zgubiłem - mruknął w końcu. - Co chcesz przez to powiedzieć?



- Widzisz, było już za późno, żeby się z tobą skontaktować, ale pomyślałam sobie, że może chciałbyś zatrzymać Sarę Jane u siebie trochę dłużej... do mojego powrotu.

Patrzył na nią podejrzliwie. Odwróciła wzrok. W tej chwili nie wiedziała, które z nich cierpi bardziej.

- Co ty na to? Umowa stoi? Ja lecę do Europy robić zdjęcia, a ty na ten czas zabierasz do siebie Sarę Jane? Może nawet na dłużej?

Na twarzy Rhysa odmalowało się niedowierzanie.

- Nie zrobię jej tego. Dobry Boże, Whitney! Już jej wszystko wytłumaczyłem. Jest gotowa tu zostać. Na jak długo chcesz wyjechać?

- Jeszcze nie wiem. - Whitney mobilizowała całą siłę woli, by zapanować nad głosem. - Na jakiś miesiąc.

Rhys nie krył już oburzenia.

- Chcesz zostawić tu na miesiąc albo i dłużej dziecko z nianią, praktycznie obcą osobą, a samej robić zdjęcia na Riwierze?

Pod koniec tego zdania podniósł głos. Nabrzmiały mu żyły na szyi, twarz poczerwieniała. Wręcz kipiał gniewem.

- Właśnie dlatego pomyślałam sobie, że lepiej będzie, jeśli zabierzesz ją z powrotem. - Serce waliło jej tak mocno, że była przekonana, że Rhys to widzi. - Możesz tu dzisiaj przenocować. Ja wychodzę, a więc nie będę ci przeszkadzała.

Nie mogła już znieść jego potępiającego wzroku. Wstała.

- Pójdę się przejść, a ty się zastanów.

Z tymi słowami zbiegła po schodkach na plażę i zniknęła mu z oczu. Stał z otwartymi ustami, przestępując niepewnie z nogi na nogę. Co to, u diabła, ma znaczyć?

Ta kobieta oszalała. Co ona sobie myśli? Przywiózł tu Sarę Jane, żeby ją zostawić. Tak jak to wcześniej zaplanowali.

A teraz Whitney, zamiast zająć się dzieckiem, oznajmia, że jedzie sobie do Europy robić zdjęcia? Cholera, co tu jest grane? Przeczesał palcami włosy i wszedł do domu, żeby poszukać Maddie i dziewczynki.

- Saro Jane! - zawołał. Coś tu było nie tak. - Saro Jane! - wrzasnął.

- Tutaj jestem, tatusiu, na górze. Z Maddie w moim nowym pokoju.

Nagle przestało się dla niego liczyć, że Whitney ma prawo do opieki nad dzieckiem. Zabiera małą do Estrade i Whitney dostanie ją z powrotem po jego trupie. Wbiegł po schodach na górę.

Idąc w stronę, skąd dobiegał go śmiech dziewczynki, trafił do jej pokoju i zatrzymał się w progu. Tak urządzone pomieszczenia widywał tylko w czasopiśmie poświęconych dekoracji wnętrz. Rozglądał się wokół z coraz większą konsternacją.

Pluszowe misie, lalki, kuchenka, domek dla lalek, o którym tak marzyła Sara Jane...

Serce zabiło mu żywiej, kiedy zobaczył na ścianie swoją fotografię oprawioną w porcelanowe ramki. Wisiały tam też inne fotografie jego i jego rodziców.

Coś tu jest stanowczo nie tak. Po co Whitney zadawała sobie tyle trudu, a potem...

Spojrzał na Sarę Jane, która bawiła się z Maddie domkiem dla lalek.

- Wszystko w porządku, kochanie - powiedział. - Zastanawiałem się tylko, gdzie jesteś.

Wycofał się na korytarz.

- Baw się, baw. Zaraz wracam.

Co, u diabła? To wszystko nie ma sensu. Zszedł powoli na dół, rozglądając się wokół z zaciekawieniem.

Dopiero teraz zauważał, że dom jest piękny, ciepły, przytulny i luksusowo urządzony.

Wszedł do pokoju rodzinnego. Całą jedną ścianę zajmowały półki z książkami i zestaw kina domowego. Pozostałe ściany były podejrzanie puste. Pod ścianą za jedną z dwóch przepastnych, obitych białą skórą kanap zobaczył kilka dużych, ustawionych pionowo fotografii w ramkach.

Podszedł tam i unióśł pierwszą z brzegu. Przedstawiała młodą, piękną dziewczynę, piękniejszą chyba, jeśli to w ogóle możliwe, od Whitney. Z litery M zawieszanej na łańcuszku zdobiącym szyję dziewczyny wydedukował, że to pewnie Morgan, siostra Whitney, a matka Sary Jane.

Przejrzał resztę fotografii. Whitney i Morgan jako dzieci, Whitney jako nastolatka trzymająca na kolanach kilkuletnią dziewczynkę, chyba Morgan, bo uderzająco podobną do Sary Jane.

Ostatnia z fotografii wstrząsnęła nim. Przedstawiała jego, Whitney i Sarę Jane na pikniku. Pamiętał, jak Whitney ustawiała wtedy samowyzwalacz, a potem biegła do nich ze śmiechem, żeby zająć swoje miejsce, zanim zadziała mechanizm migawki.

Musiała cenić sobie te fotografie, skoro je powiększyła i oprawiła w ramki.

„Ona cię kocha, chłopcze”. Usłyszał te słowa tak, jakby Johnny był teraz tu, w tym pokoju. Odetchnął głęboko. Pomimo cierpień, jakich mu przysporzyła, nadał ją kochał.

Wbiegł znowu na górę do pokoju Sary Jane i zatrzymał się w progu.

- Maddie? Wiadomo ci coś o jakiejś sesji zdjęciowej w Europie?

- Owszem, panie Gannon - odparł kobieta. - Pani Sheffield bez zastanowienia odrzuciła tę propozycję. Powiedziała, że nie ma teraz czasu, bo musi się opiekować tym słoneczkiem. - Pogłaskała Sarę Jane po włosach. - Powiedziała, że odtąd przyjmuje tylko zlecenia miejscowe.

Wreszcie wszystko zaczynało pasować. Jak mógł przeoczyć te sygnały? Ależ z niego idiota! Wypadł z pokoju i zbiegając po schodach, krzyknął przez ramię:

- Niedługo wracam, Maddie! Idę na chwilę na plażę!

Zeskoczył z tarasu na piasek i rozejrzał się. Nikogo. Serce waliło mu jak młotem. Dokąd Whitney poszła?

Spojrzał w stronę oceanu. Słońce jarzyło się tuż nad horyzontem. Wkrótce zrobi się zbyt ciemno, by jej szukać, bo na tym odcinku plaży nie było żadnych latarni ani nabrzeży.

Zdjął go lęk. Zaczął biec w kierunku ledwie widocznych śladów stóp na piasku. Po chwili minął jakąś skałkę i dostrzegł Whitney idącą powoli brzegiem. Głowę miała spuszczoną, ręce założone na piersi.

Odetchnął z ulgą.

- Whitney! - krzyknął. - Zaczekaj. - Dogonił ją. - Wracajmy do domu. Musimy porozmawiać.

Zawahała się. Była wyraźnie zaskoczona jego widokiem. Chwycił ją za ramię mocniej, niż zamierzał, i pociągnął za sobą w stronę domu.

- No chodź, porozmawiamy. Wyrwała mu rękę.

- Wybacz. Nie jestem w nastroju do szarpaniny. - Spojrzała na niego wilgotnymi oczami, rozcierając ramię w miejscu, gdzie ją trzymał. Ruszyła jednak za nim, w milczeniu.

- Whitney, powiedz mi jeszcze raz, dlaczego przyjąłeś to zlecenie?  
Cisza.

- Myślisz, że wolno ci przewracać komuś do góry nogami życie, a potem brać nogi za pas? -Musiał jakoś sprowokować ją do mówienia, nawet gdyby miał ją przy tym doprowadzić do furii. -Tak łatwo ci dążyć za wszelką cenę do celu, nie zważając, że kogoś krzywdzisz? Zawsze tak postępujesz?

Kiedy byli już w pobliżu domu, przystanęła i spojrzała na niego ze smutkiem.

- Nie będę robiła scen w obecności Sary Jane. Dostyc miałam takich atrakcji w dzieciństwie i nie będę jej narażała na to samo. Jeśli masz coś do powiedzenia na temat mojej decyzji w sprawie mojej pracy, to zrób to teraz. Jeśli nie chcesz zabrać ze sobą Sary Jane, to lepiej też od razu mi to powiedz.

Rhysa замуrowało. Na wpół rozgniewany, na wpół podniecony, wyrzucił z siebie:

- Tak, do ciężkiej cholery, mam ci coś do powiedzenia.

Chwytał ją znowu za ramiona, tym razem delikatniej, i spojrzał prosto w oczy.

- Kocham cię. To wszystko.

Whitney zmarszczyła czoło. Czy naprawdę usłyszała z jego ust „Kocham cię”? Obudziła się w niej nadzieja. Przysunęła się bliżej, tak blisko, że poczuła jego oddech na policzku. - Powiedziałem, że cię kocham - wyszeptał. -I będę to powtarzał, dopóki mi nie uwierzysz.

Serce wyprawiało jej w piersiach dzikie harce. Od pół godziny myślała z rozpaczą, że to koniec, że już nigdy się nie pozbiera po tym

ciosie, a tu nagle Rhys wypowiada słowa, na które czekała z takim utęsknieniem. Mężczyzna, którego kocha, mówi, że też ją kocha. Czy to możliwe?

Rhys uśmiechnął się.

- Kiedy wyszłaś, uświadomiłem sobie, że nie mogę bez ciebie żyć. - Spowaźniał, oczy mu zabłyśły. - Whitney, chcę, żebyś została moją żoną. Niczego bardziej w życiu nie pragnę.

Małżeństwo? To słowo ze wszystkimi jego implikacjami przepelniło ją lękiem. Zesztywniała, cofnęła się.

- Nie rób mi tego, Whitney. - Mocniej zacisnął dłonie na jej ramionach. - Wiem, co myślisz, i nie pozwolę ci się odtrącić. Tu chodzi o nas, tylko o nas. O ciebie, o mnie i o naszą przyszłość. - Urwał, żeby zaczerpnąć tchu. - Kocham cię, Whitney, i nie zamierzam przestać.

Przyciągnął ją do siebie, przytulił. Poczula gwałtowne bicie jego serca. Czy mu wierzy?

- Obojętne, gdzie będziesz, w Arizonie, w Kalifornii czy w Europie - powiedział z żarem. - Obojętne, czy Sara Jane będzie z tobą, czy ze mną, czy chcesz mnie, czy nie. Wciąż będę cię kochał.

Iskierka nadziei zarzająca się w sercu Whitney pojaśniała. Czyżby naprawdę miało im się udać?

- Och, Rhys, nie wiesz, co mówisz - wyszeptała. Ich usta niemal się stykały.

- Diabła tam, nie wiem. - Spojrzał jej głęboko w oczy, a potem odrzucił do tyłu głowę, roześmiał się głośno i wyrzucając w górę ręce, wykrzyczał do nieba: - Tak!

W następnej sekundzie znowu ją obejmował i mówił:

- Boże, Whitney. Po raz pierwszy w życiu dokładnie wiem, co mówię. Dokładnie wiem, czego chcę. Kocham cię i chcę, żebyś została moją żoną. Tak, pomimo wszystkich problemów, jakie mieliśmy. Możemy razem pracować. Ja mogę pomagać tobie, a ty mnie. Może nam się udać.

Urwał, bo zabrakło mu tchu.

- Ty, ja i Sara Jane możemy być rodziną. Whitney stanęło serce.

Rodzina...

- Wiem tylko... - Rhysowi rozszerzyły się źrenice, a głos złagodniał - że jesteśmy sobie przeznaczeni. Uwierz mi, że cię kocham, Whitney. I że nigdy nie przestanę.

Obsypał delikatnymi pocałunkami policzki Whitney, a potem przywarł wargami do jej ust. Były słone od jej własnych łez.

„Uwierz mi. Uwierz, że cię kocham”. Zalała ją fala ciepła. Och, tak... wierzyła mu. Wierzyła od dawna. Bo gdyby było inaczej, nigdy nie zostawiłaby Sary Jane pod jego opieką.

Nagle zakręciło się jej w głowie z miłości i uniesienia. I oddała mu pocałunek, a wraz z nim na zawsze swoje serce. Kiedy w końcu się od siebie oderwali, powiedziała:

- Ja też cię kocham, Rhys, i będę cię kochała aż do śmierci. -

Zabrzmiało to jak przysięga.

Za ich plecami rozległ się dziecięcy chichot. Zza wydm wybiegła Sara Jane. Drepcząca tuż za nią, lekko zasapana Maddie osunęła się ciężko na kępę trawy i wzniosła ręce do nieba.

Dziewczynka podbiegła do nich i objęła Whitney za kolana.

- Widzisz? Teraz nie możesz wyjechać - powiedziała i spojrzała na nią niewinnie. - Nie wyjeżdżaj, proszę. Obiecuję, że będę grzeczna.

Whitney schyliła się i wzięła małą na rękę.

O, Boże, jakiegoż błędu omal nie popełniła? Mało brakowało, a odepchnęłyby od siebie dwoje najważniejszych ludzi na świecie.

- Nie, kochanie - powiedziała cicho przez ściśnięte gardło. - Nigdzie nie wyjeżdżam. Kocham was bardzo, ciebie i tatusia. I bez was nigdzie się nie ruszę.

Sara Jane wepchnęła sobie paluszek do buzi.

- Obiecujesz?

Whitney wiedziała, że zatacza pełne koło. Tę samą obietnicę złożyła przed laty swojej siostrze Morgan.

Ale widząc miłość i ufność w oczach Sary Jane i taką samą miłość i ufność w oczach Rhysa, wiedziała, że tym razem obietnicy bez względu na wszystko musi dotrzymać.

Potarła nosek dziewczynki swoim i powiedziała czule:

- Obiecuję, aniołku.

Postawiła Sarę Jane na piasku. Dziewczynka stanęła w rozkroku, podparła się rączkami pod boki, przekrzywiła główkę i spojrzała na nich. W jej oczach tliły się iskierki przekory.

- Ty też zostajesz, tatusiu? Bo ja chcę mieć i ciebie, i mamusię.

Rhys spojrzał z powagą na Whitney.

- Zostanę, jeśli i ty zostaniesz. Whitney nie posiadała się ze szczęścia.

- Obiecujesz?

- Tak - szepnął Rhys. - Obiecuję, że zostanę z wami na zawsze.